

Sarah Challis

Zabić Helenę

Przełożyła Krystyna Chmiel

Od jakiegoś czasu planowałam zbrodnię doskonałą. Pikanterii dodawało sprawie to, że miałam zamiar zabić Helenę, nie pozostawiając żadnych śladów. W końcu nic mnie z nią nie łączyło, w jej pamiętniku czy notatniku adresowym ani razu nie pojawiało się moje nazwisko. Żaden jej sąsiad nie przypomniałby sobie, że widział w pobliżu drzwi kobietę o powierzchowności odpowiadającej mojemu rysopisowi. Helena też zresztą nie wiedziała o moim istnieniu i na tym właśnie polegała moja przewaga nad nią, gdyż to umożliwiało popełnienie zbrodni doskonałej. Inaczej ma się sprawa z Robertem – to już, jak nieraz mawiał, „zupełnie inna para kaloszy”, bo jego szybko objęłyby śledztwo policyjne.

Wyobrażam już sobie, jak tłumaczy się przed swą żoną Mary, że musi teraz udać się z policjantami na posterunek, aby odpowiedzieć na kilka pytań. Mary podnosi oczy znad katalogu nasion i jej zwykła obojętność szybko przechodzi w zaciekawienie. „Na posterunek? Po co, na miłość boską?”. – Już sama myśl o tym prowokuje do uśmiechu. W ich spokojne, uporządkowane życie od razu wkradłby się element niepokoju. Robert miałby to i owo do wyjaśnienia!

Mogłabym natomiast mieć pewne problemy techniczne z odszukaniem Heleny i zwabieniem jej do mojego domku w hrabstwie Somerset po to tylko, aby następnie palnąć ją w głowę cegłą, przejechać samochodem bądź strącić z Wieży Alfreda – naszego lokalnego punktu orientacyjnego o wysokości pięćdziesięciu metrów. Myśl ta przyszła mi go głowy jeszcze na Wielkanoc, kiedy na miękkich nogach wspierałam się na tę wieżę i stwierdziłam, że widać stamtąd oddalone Longleat i granice trzech hrabstw. Oczami duszy widziałam już, jak szybuje w powietrzu z otwartymi z przerażenia ustami, w eleganckich ciuchach wydętych wiatrem i z fryzurą od londyńskiego fryzjera, która nie uchroniłaby jej od brutalnego kontaktu z glebą...

Od razu zarzuciłam pomysł zasztyletowania Heleny. Nie paliłam się zbytnio do przelewu krwi i mocno wątpiłam, czy byłabym w stanie wbić nóż w żywe ciało. Zrzucić ją z wysokości to już co innego... Ostatnio, kiedy do niej zadzwoniłam,

odpowiedziała mi wyjątkowo niemiłym tonem, jakimś takim cienkim i piskliwym: „Haylo?...”. Już wolę Mary, która rzuca w słuchawkę opryskliwe „Ha-lo!” z wyraźnym akcentem na drugiej sylabie, jakbym jej przeszkodziła w czymś ważnym. Naturalnie zadzwoniłam do Heleny tylko dla sprawdzenia i od razu odłożyłam słuchawkę. Helena pasjami lubi haftować, a odkąd rok temu rzucił ją mąż – zaczęła także grywać w brydża i golfa. Trzeba trafu, że akurat te trzy czynności zajmują pierwsze miejsca w rankingu najbardziej znienawidzonych przeze mnie zajęć. Helena jest moim całkowitym przeciwieństwem – jej hobby wymagają cierpliwości, dokładności i uwagi, podczas gdy mnie zawsze pociągał ruch i pęd. To tak, jakby ścigał się zółw z zającem – można z góry przewidzieć, kto wygrałby ten wyścig.

Myśli te nawiedzały mnie w ciepłe, letnie noce, gdyż mieszkam na takim odludziu, że wystarczą światła przejeżdżającego w nocy samochodu, aby wyrwać mnie ze snu. Leżę wtedy po ciemku, obserwując firankę poruszającą się w otwartym oknie i z braku innych tematów planuję zbrodnię doskonałą na Helenie. Takie mordercze myśli nie oznaczają wcale, że jestem nieszczęśliwa – wręcz przeciwnie. Na farmie „Jeruzalem” całkiem dobrze mi się powodzi i w ogóle uwielbiam życie na wsi. Zazwyczaj nie tęsknię za Londynem. Wielkomiejskich ploteczek dostarcza mi kuzynka Loops i stara przyjaciółka Poppy, ale nie zazdroszczę im, że mają pod nosem King’s Road, nocne kluby i mogą bez problemów kupować, co chcą. W naszym wiejskim sklepie asortyment jest ograniczony do porcjowanego chleba tostowego i zielonego groszku w puszcze, nawet grejpfruty trafiają się z rzadka. Wynajmuję tu za to miły domek, trzymam psa, uczę gry na skrzypcach w miejscowej szkole żeńskiej, czyli usatkowałam się, jak nazwałaby to moja bardzo ze mnie dumna matka. Brakuje mi tylko jednego.

Mam już trzydzieści dwa lata, a jeszcze nie wyszłam za mąż!

Robert nie był tu niczemu winien. W końcu każdy z nas jest kowalem swego losu, a ja mogłam się spodziewać tego, co mnie spotkało. Jednak myślenie o Robercie staram się odkładać na rano, kiedy pierwsze promienie słońca rozpraszają moje mordercze zapędy. Wypuszczam wtedy do ogródka Pilgrima – dereszowatego charta, którego wzięłam ze schroniska dla

bezdolnych zwierząt, kiedy postanowiłam przenieść się na wieś. Jego poprzedni właściciel porzucił go, gdy pies zestarzał się i nie biegał już tak szybko jak kiedyś. U mnie nabrał ciała i nie przypomina już zwitka zardzewiałego drutu, ale trudno dociec, o czym myśli, kiedy ufnie kładzie mi na kolanach długi pysk i wpatruje się we mnie oczami koloru toffi. Najwidoczniej gotów jest znów pokochać człowieka, choć to człowiek skrzywdził go tak okrutnie.

Zanim Pilgrim, ostrożnie stąpając po rosie, znajdzie drogę do swego ulubionego krzaka, zdążę tymczasem zaparzyć poranną herbatę w filiżance ze specjalnej porcelany, którą, wraz ze spodeczkiem, Robert kupił mi w Paryżu na targu staroci. Odkąd żyję samotnie, celebрую takie rytuały, dobieram więc jeszcze ciasteczko dla Pilgrima i wracam do łóżka. Pilgrim biegnie już przede mną i jego umięśnione po karierze wyścigowej biodra migają na stromych schodach.

Wpuszczam go do swojego łóżka, ponieważ grzeje mnie jak rozpalone polano. Kiedy sapie z ukontentowania, zastanawiam się, gdzie w tej chwili budzi się Robert. Pewnie przeciąga się, chrząknięciem oczyszcza gardło, a przy tym puszcza wiatry, nie przejmując się zbyt swoimi funkcjami fizjologicznymi. Najwidoczniej jest mu dobrze we własnym towarzystwie. Czasem wodzę rękoma po swoich bokach, czując pod palcami miękką i gładką skórę. Robert też zapewne odniósłby takie wrażenie, ale oczywiście to nie jest to samo. Wzmaga tylko ból po jego stracie.

Jeśli zaczęło się to za przyczyną kogokolwiek innego poza mną, to tym kimś była Poppy. Pięć lat temu grałyśmy w tej samej orkiestrze smyczkowej, która dawała koncert w budynku nieużywanego kina w mało uczęszczanej dzielnicy północnego Londynu. Robert siedział wtedy na widowni, a że był wysoki, jego głowa górowała nad resztą publiczności. Rzucił się w oczy nie tylko z powodu wzrostu, nosił się też dumnie niczym rzymski cesarz. Jego długie, zaczesane do tyłu włosy zawijały się na kołnierzu wytworzonego płaszcza z drogiego materiału.

Znał Poppy, więc po koncercie podszedł do nas, aby zamienić parę słów. Okazał się miły i dowcipny, choć zadał mi to samo pytanie, jakie zwyczajowo stawia się początkującym muzykom – jak sobie radzę finansowo?

Zgodnie z prawdą odpowiedziałam, że nie za dobrze i wspomniałam, że zwróciłam się o dotację, aby móc wystąpić z cyklem koncertów w Irlandii Północnej. Zastanawiał się głośno, w jaki sposób mógłby mi pomóc, a na razie wręczył mi swoją wizytówkę.

– Proszę do mnie zadzwonić. – Patrzył mi w oczy trochę dłużej, niż się spodziewałam. Teraz już wiem, że był to jego celowy chwyt. Chodziło o wywarcie na określonej osobie wrażenia, że się nią specjalnie zainteresował, co prowokowało, zwłaszcza lekkomyślne kobiety, do zwierzeń.

Obracając wizytówkę w rękę, zdobyłam się jedynie na zdawkowe „dziękuję”. On zaś z uśmiechem ponownie skupił na sobie moje spojrzenie:

– Ma pani pojęcie, jak uroczo wygląda młoda, piękna kobieta grająca na skrzypcach? – zagadnął.

Powtórzyłam to później Poppy, kiedy czekałyśmy na jej męża, Chrisa, który miał po nas przyjechać. Pokazałam jej też otrzymaną wizytówkę, a Poppy parsknęła z pogardą:

– Ależ ty jesteś naiwna, Harriet! Byłe pochlebstwem można cię kupić. Tym razem jednak trafiłaś na niezłego facia. Robert Mackintosh jest dyrektorem Królewskiej Akademii Sztuki i kierownikiem działu wydawnictw muzycznych, czym rodzina Mackintoshów zajmuje się od dawna. Mój ojciec zna go bardzo dobrze.

Nawiasem mówiąc, ojciec Poppy był wybitnym instrumentalistą, wirtuozem gry na rożku angielskim.

– Czy jest żonaty? – spytałam.

– Oczywiście, ale nie afiszuje się z żoną, wszędzie pojawia się sam. Przystojny na swój wiek, prawda? Koniecznie zadzwoń do niego, bo dla sztuki warto się nawet puścić. Byłabyś dla niego wspianą kochanką!

Widać było, że Poppy żartuje, więc skwitowałam tę wypowiedź śmiechem.

Wizytówkę położyłam przy wezglowiu swojego łóżka i nawet często na nią spoglądałam, ale zadzwoniłam do niego dopiero po trzech dniach. Telefon odebrała sekretarka, która spławiła mnie chłodnym stwierdzeniem, że szef jest na ważnym zebraniu. Wprawdzie obiecała, że oddzwoni i zapisała mój numer telefonu,

ale samym tonem głosu dała do zrozumienia, że wyrzuci tę karteczkę do śmieci, kiedy tylko odwieszę słuchawkę.

Właściwie nie powinno mnie to zdenerwować, bo niby czego oczekiwałam? Mimo to jednak odczekałam chwilę, zanim się nie upewniłam, że w mieszkaniu cisza aż w uszach dzwoni, a mój telefon milczy jak zaklęty. W końcu zdecydowałam się zastosować starą i wypróbowaną metodę – wziąć gorącą kąpiel z dodatkiem aromatycznego olejku. Chciałam właśnie dać nura w pachnącą pianę, kiedy ten wredny telefon zadzwonił.

To był Robert. Od razu zachwyił mnie głęboki i aksamitny ton jego głosu, równocześnie odprężony i pewny siebie. Serce podeszło mi do gardła, rozmawiałam z nim całkiem nago, zostawiając mokre ślady stóp na dywanie, utkany przez jakąś indyjską manufakturę na cele dobroczynne. Pośrednio zdawał się sugerować, że rozmawiał już z kilkoma osobami na mój temat i mógł mi doradzić coś konkretnego.

– Może zjedlibyśmy razem lunch? – zaproponował. – Na przykład w środę?

Zabrzmiało to tak, jakby równocześnie przerzucił kartki swego terminarza.

– Z przyjemnością, tylko gdzie? – zgodziłam się natychmiast. Umówiliśmy się w Covent Garden. Rozmowa już zmierzała ku końcowi, kiedy nagle zapytał:

– A co pani ma na sobie?

– Trzeba trafu, że nic – zachichotałam nerwowo. – Brałam właśnie kąpiel.

Zapadła cisza, potem Robert rzucił tylko: „O rany!” i odwiesił słuchawkę. Natychmiast zadzwoniłam do Poppy i powtórzyłam jej tę wymianę zdań.

– Ma chęć na szybki numer w Londynie – zawyrokowała.

– Tak sądzisz? A wydawał się taki miły! Kurczę, dlaczego nigdy nie mogę poznać faceta bez problemów? Na cholerę mi stary, żonaty dziad?

– Lepiej przyjdź do mnie – podsunęła Poppy. W tle słychać było płacz jej małej córeczki Jess. – Mam już po uszy tej głupiej smarkatej!

Obie roześmiałyśmy się, gdyż wiedziałam, że Poppy uwielbia Jess. Od czterech lat była zamężna z Chrisem, bankowcem,

prostolinijnym blondynem o różowej cerze. On podziwiał w Poppy jej rozwiane, czarne włosy, egzotycznie wykrojone oczy i nieustabilizowany zawód skrzypaczki. Mało kto natomiast mógł odgadnąć, co ona w nim widziała. Tylko dla mnie było jasne, że chodziło jej o stabilizację materialną – jego kamienicę, polisę ubezpieczeniową i samochód służbowy, a ponadto poważny stosunek do życia. Takiego właśnie ojca pragnęła dla swego dziecka.

– Dobra, zaraz przyjdę.

Nałożyłam obcisłą spódniczkę i bawełnianą bluzkę w stylu cygańskim, a do tego zamszowe czółenka na wysokiej szpilce. Usta umalowałam na jaskrawoczerwono, więc czułam, że wyglądam seksownie, a nawet niebezpiecznie. Mimo to, kiedy idąc ulicą, potknęłam się na moich niebotycznych obcasach, wzbudziłam tylko śmiech kilku robotników, którzy to widzieli. Pokazałam im palcami nieprzyzwoity gest i poszłam dalej. Po drodze wstąpiłam do sklepu i kupiłam butelkę schłodzonego, białego wina dla Poppy. Dla jej małej córeczki kupiłam czekoladowe jajko, co nie było zbyt rozsądne, zważywszy upał panujący na dworze.

W metrze też było gorąco i duszno, a przez tunel przelatywały fale gorąca. Początkowy odcinek ulicy, przy której mieszkała Poppy, odznaczał się raczej zaniedbaną zabudową, natomiast im bliżej końca, tym więcej pojawiało się domów pieczołowicie odnowionych i utrzymanych. Do takich należał też dom, w którym trzy piętra zajmowała Poppy. Jej mąż, Chris, odmalował całe mieszkanie na żywe kolory w stylu śródziemnomorskim, co w tak słonecznym dniu jak ten prezentowało się wspaniale. Mała Jess tymczasem zasnęła. W taki upał spała w samej pieluszcze. Włoski miała zlepione potem, jedną rączkę zaciśniętą w piąstkę, a drugą leżącą luźno wzdłuż boku.

– Och, Pops, jaka ona jest słodka! – wyraziłam swój zachwyt.

– Takiego fajnego dzidziusia mogłabym mieć choćby jeszcze dzisiaj!

– Sama nie wiesz, co mówisz, głupia – zgasiła mnie. Wyglądała na zmęczoną, o czym świadczyły fioletowe kręgi pod oczami. – To ja raczej zazdroszczę tobie. Zapomniałam już, co to znaczy być wolną.

– To mocno przereklamowana przyjemność – zapewniłam ją.
– Wolałabym, żeby dla mnie ktoś się spieszył z pracy do domu. Czekałabym wtedy z dzidziusiem w oknie, żeby widział, jak tatuś wraca...

Poppy tylko jęknęła.

– Akurat! Jedyne, do czego Chris się spieszy, to łóżko. Nie myśli chyba o niczym innym, podczas gdy mnie to dawno wyleciało z głowy.

Chyba dopiero od niedawna zaczęłam słyszeć od Poppy takie teksty. Wyglądała przecież wyjątkowo korzystnie. Po dziecku odzyskała dawną, smukłą linię, miała długie nogi i gładką, opaloną skórę... Nie dziwiłam się, że wzbudza w Chrisie pożądanie, tymczasem okazało się, że powinnam raczej jej współczuć.

– Kiedy leżę z nim w łóżku, rozpaczliwie próbuję myśleć o czymś innym. Na przykład przepowiadam sobie nazwy wszystkich hrabstw w porządku alfabetycznym albo kolejność przystanków na Circle Line...

– Biedny Chris! – Nie wytrzymałam.

– Dlaczego on, a nie ja? Mam już powyżej uszu tego udawania, że jest cudownie, kiedy on przygniata mnie swoim ciężarem i dyszy mi w ucho. Chciałabym w końcu mieć własne ciało tylko dla siebie!

– Coś podobnego! – Zdziwiłam się. – W życiu nie wpadłabym na to, że ktoś może tak myśleć.

– Bo dla ciebie seks ciągle jest rozrywką, a nie obowiązkiem.

– Mówisz, jakby małżeństwo było wyrokiem skazującym.

– No, nie jest aż tak źle. W gruncie rzeczy to całkiem przyjemne, choć wolałabym, żeby było przytulniejsze. Takie na przykład pieszczoszki na kanapie... ale to nie dla niego. Woli w ciągu pięciu minut zrobić sobie dobrze, a potem włączyć telewizor i wyciągnąć piwo z lodówki. Rozumiesz, ciągle tylko zaspokajam jego apetyt! Wszyscy mi mówią, że to nerwica poporodowa i że minie. Mam nadzieję, że tak się stanie, zanim nauczę się na pamięć całego rozkładu londyńskiego metra! Nieraz się zastanawiam, co nastąpi po tym etapie, na którym obecnie utknęłam. Ile można sobie przypominać, jaka stacja jest następna po South Kensington...

– To chyba gorsze niż wyciąganie piwa z lodówki – przyznałam.

– Chyba tak.

Postanowiłam zmienić temat.

– Jak radzisz, w co mam się ubrać na tę randkę? Jak też może wyglądać jego żona?

– Na pewno jest bardzo elegancka... Włosy ma dobrze ostrzyżone i farbowane na blond, bo chyba już siwieje... Sądzę, że nosi drogie ciuchy w stylu klasycznym i markową biżuterię, bo stać ją na to. Mieszkają w Szkocji, więc pewnie ma wszystko z tweedu w kratę, a do tego celtyckie broszki. Ty za to, dla kontrastu, musisz włożyć coś wystrzałowego. Masz jakieś rzeczy, które nie byłyby złachane ani etniczne?

– Skąd, przecież wiesz, że chodzę jak dziadówka! – zażartowałam.

– No, dzisiaj wcale tak nie wyglądasz. Włóż to, co masz na sobie.

– Coś ty, żeby pomyślał, że jestem łatwa?

– A nie jesteś? Zresztą żonaci faceci w tym wieku lubią panienki, które są trochę wulgarne, bo eleganckie damy mają w domu.

Otworzyłyśmy wino, które przyniosłam. Wypiłyśmy je w kuchni, bo Poppy nie chciała zakłócać snu Jess. Obawiała się, że zbudzi małą, jeśli spróbuje wynieść ją do ogrodu, jak szumnie nazywała zasypany sadzą skrawek gruntu, obstawiony pelargoniami w donicach. Usiadłyśmy więc na parapecie okna i wywiesiłyśmy nogi na zewnątrz. Zrobiło mi się trochę wstyd, bo Poppy miała nogi o niebo dłuższe i bardziej opalone od moich, ale pocieszałam się, że on i tak nazwał mnie piękną.

Siedziałyśmy tak, śmiejąc się i plotkując. Kiedy Jess się obudziła, posadziłam ją sobie na kolanach i dałam jej soku. Jej małe ciało było rozgrzane, a blond włoski zlepione potem w uroczym zagłębieniu szyjki, delikatnej jak łydźka kwiatu. Poppy zaparzyła herbatę, a kiedy się napiłyśmy, ubrałyśmy Jess i poszłyśmy z nią do supermarketu, żeby kupić na kolację pomidorów i salami. Akurat wróciłyśmy, kiedy zadzwonił Chris i uprzedził Poppy, by nie czekała na niego z kolacją, bo przyjedzie później. Zwróciłam uwagę, że Poppy rozmawiała z nim bardzo

oschłym tonem.

– Czegoś taka zła? – spytałam.

– Mam już tego po uszy! – warknęła. – Wychodzi i przychodzi, kiedy chce, jakbym była jego pieprzoną służącą! Zresztą mam to gdzieś. Zostań, zjemy razem.

Chętnie usłuchałam. Wypiliśmy resztę wina, a kiedy Chris, wypompowany i zmiętoszony, wrócił wreszcie do domu, nawet Poppy poprawił się humor. Na powitanie ucałował nas obydwie, zaczynając ode mnie, po czym spytał, jakie ważne wydarzenie oblewamy.

– Hazy poderwała sobie faceta! – oświadczyła Poppy.

Może to głupie, ale poczułam się, jakby to była prawda. Ze śmiechem zaprzeczałam i żartobliwie odpowiadałam na pytania Chrisa. I właśnie od tego śmiechu wszystko się zaczęło.

W środę oczekiwałam umówionego lunchu z nerwowym podnieceniem. Wmawiałam sobie, że wszystko dzieje się według prawideł sztuki, a moje grzeszne myśli istnieją tylko w mojej wyobraźni. Wewnętrzny głos przekonywał mnie, że romans z żonatym facetem nie wróży nic dobrego. Dziś trudno mi uwierzyć, że nie myślałam wtedy o jego żonie. To znaczy, myślałam, ale tylko w tym duchu, że jeśli puszcza samopas tak przystojnego mężczyznę, to sama jest sobie winna i ma, na co zasłużyła. Dziś wstydzę się tego, gdyż stawia mnie to w jednym rzędzie z Heleną.

Inny głos wewnętrzny dowodził, że wymyśliłam sobie to wszystko, bo z jego żarcików i pikantnych aluzji nic nie wynika. Kiedy indziej znów odnosiłam wrażenie, jakbym żeglowała w stronę wierzchołka góry lodowej, nie dostrzegając jej większej części, ukrytej pod powierzchnią wody, podczas gdy tam właśnie czyhało na mnie największe niebezpieczeństwo.

Na razie najbardziej przejmowałam się swoim wyglądem. Przygotowania zajęły mi całe przedpołudnie, ale w końcu zdecydowałam się zrezygnować z wyzywającego stroju na rzecz obcisłych, białych dżinsów i żółtego, kaszmirowego sweterka, który wyglądał, jakby zbiegł się w praniu. Jestem raczej wysoka i mocno zbudowana, co lubię nazywać „nordyckim” typem urody. Podobno sprawiaam wrażenie, jakbym w czasach szkolnych osiągała dobre wyniki sportowe, gdy tymczasem uciekałam z zajęć wf i chowałam się w kotłowni, aby tam palić papierosy w towarzystwie podobnych sobie wagarowiczów.

Na pewno jednak w takim stroju czułam się młodo i świeżo, a starsi panowie zawsze lubili atrakcyjne, sprawne i seksowne dziewczyny. Dla spotęgowania pożądanego efektu rozpięłam kilka najwyższych guziczków i założyłam stanik maksymalnie podnoszący piersi. Umalowałam paznokcie u nóg, a na bose stopy wsunęłam sandaalki na płaskim obcasie, które ktoś zostawił u mnie po ostatniej imprezie. Musiały kosztować kupę szmalu, więc pewnie należały do Loops, która nieźle zarabiała jako modelka.

Nie przestając patrzeć na zegarek, obliczałam w myśli, ile

czasu zajmie mi dotarcie do wybranej przez niego restauracji na Covent Garden. Dopiero dużo później dowiedziałam się, że to Helena zabrała go tam po raz pierwszy i od tego czasu był to ich ulubiony lokal. Nie zdołałam zapanować nad sobą na tyle, aby taktycznie się spóźnić, zamiast tego przyszedłam za wcześnie. Chciało mi się sikać, ale krepowałam się wejść do lokalu pierwsza, poza tym odstraszył mnie widok dwóch lub trzech kelnerów wartujących przy wejściu i czujnie wyskakujących do przodu, ledwo spojrzałam na drzwi. Wołałam poczekać na zewnątrz, studiując wywieszone w oknie menu, wydrukowane dziwnym, pochyłym krojem liter. Lokal należał do ekskluzywnych, takich, w których kelnerzy uwijali się z serwetkami przewieszonymi przez ramię; zauważyłam także wysokie ceny serwowanych tam potraw. Rozglądałam się właśnie za damską toaletą, kiedy do krawężnika podjechała taksówka, a w niej roześmiany Robert, gestem wskazujący w stronę okna restauracji. Wsiadł głową naprzód, jak zwykle zachowują się wysocy mężczyźni lub byki wstające na nogi.

Czekałam na chodniku, aż zdąży podziękować kierowcy, zapłacić mu i wygłosić parę uwag na temat Szkocji. Wszystko to czynił z nieznośną wręcz lekkością i wdziękiem – później dowiedziałam się, że w ten sposób odnosił się właściwie do wszystkich. Nic dziwnego, że jego żona Mary stała się mrukliwa i zaczęła odpowiadać monosylabami. Jak mogłaby konkurować z tym jego zniewalającym urokiem osobistym?

W końcu odwrócił się do mnie, ujął mnie za ramiona i mierzył wzrokiem o sekundę dłużej, niż wynikałoby to z sytuacji. Pocałował mnie w oba policzki, mrużąc namiętnie „Mmmm...”.

– Pachniesz tak cudownie, że mógłbym cię zjeść! – rzucił. Wsunął palce w rękaw mojego swetra, przez cały czas patrząc mi w oczy.

Pierwszy ruszył do sali restauracyjnej, więc starszy kelner w lansadach wybiegł mu na spotkanie, wskazując stolik i odsuwając mi krzesło. Gdy zajęliśmy miejsca, Robert najpierw przyjrzał się uważnie innym gościom, zanim nałożył okulary i przystąpił do studiowania karty win. Czynił to w skupieniu i z dużą pewnością siebie, gdy ja tymczasem nadal bezskutecznie rozglądałam się za damską toaletą.

– Na co masz ochotę? – zapytał. – Polecałbym ci to... albo to...
– Wskazał palcem określone pozycje menu. Teraz wiem, że były to ulubione potrawy Heleny.

– Och, mogę zjeść cokolwiek – oświadczyłam. – W ogóle lubię jeść.

Zaśmiał się.

– Jak miło to słyszeć! Dzisiejsze dziewczęta przeważnie tylko skubią sałatę jak króliki.

– Ja nie jestem taka. Kto wie, czy to nie będzie mój jedyny posiłek w tym tygodniu? – zażartowałam.

– No, chyba nie jest z tobą aż tak źle?

– Pewnie, że nie, ale w lecie zawsze powodzi mi się trochę gorzej.

Rozmawialiśmy w tym duchu, a ja bezczelnie próbowałam go podrywać. Przyciskałam ramiona do boków, aby wypchnąć piersi bardziej do przodu i widziałam, jak go to rajcowało. Jadłam z apetytem wszystko, cokolwiek przede mną postawił i to też dawało mu satysfakcję.

Gdy sączyłam małymi łyżkami koniak, poczułam, jak wodzi palcem po mojej dłoni. Miałam już trochę w czubie, więc zagadnęłam:

– Ciekawe, dokąd to nas zaprowadzi?

– To już zależy od ciebie – odpowiedział. – Dobrze się czuję w twoim towarzystwie i na pewno zrobię wszystko, co będę mógł, aby ci pomóc. Natomiast co do innych rzeczy, to jestem żonaty i chcę, żeby tak pozostało. Nie wierzę w przelotne miłości, najwyżej w chwilowe uniesienia. Dlatego jedyne, co mogę ci ofiarować, to przyjaźń i seks. Decyzja należy do ciebie.

Pociągnął łyk koniaku i spojrzał mi głęboko w oczy.

– Jesteś strasznie zasadniczy w tych sprawach! – zauważyłam.

– No, nie tak bardzo, bo czuję w tej chwili gwałtowne bicie mojego starego serca! – Uśmiechnął się. – Zazwyczaj prowadzę dość unormowany tryb życia i nieczęsto mi się zdarza, że piękna, młoda kobieta wyraźnie mnie pragnie!

Alkohol trochę już uderzył mi do głowy, więc czułam się odprężona i pobudzona seksualnie. Ten wielki mężczyzna szalenie mi imponował, zwłaszcza odkąd zobaczyłam, jak płacił

rachunek platynową kartą kredytową. Wiem, że to prymitywne z mojej strony, ale w moim dotychczasowym życiu raczej mi się nie przelewało. Chłopcy, z którymi chodziłam, byli zazwyczaj bez grosza przy duszy i zawsze musiałam płacić sama za siebie, więc nic dziwnego, że tak łatwo było zawrócić mi w głowie. Na dodatek Robert okazał się uroczym gawędziarzem, choć potrafił także słuchać, więc czułam się w jego towarzystwie równie dobrze jak on w moim.

Kelnerzy odnosili się do mnie uprzejmie i z szacunkiem. Kiedy już opuszczaliśmy lokal, kierownik sali, przytrzymując przed nami drzwi, szepnął:

– Ale panu się poszczęściło, monsieur...

– Żeby pan wiedział! – Robert uśmiechnął się triumfalnie, biorąc mnie z rewerencją pod ramię.

Ulica na zewnątrz była zatłoczona i duszna, jak zwykle w upał. Promienie popołudniowego słońca odbijały się w asfalcie i karoseriach samochodów. Spojrzałam na zegarek i spostrzegłam, że jest dopiero 15.45, czyli pora, w której można było zrobić praktycznie wszystko. Przysięgam, że nie miałam pojęcia, na co się zanosi – to on przejął inicjatywę.

Robert zatrzymał taksówkę i przytrzymał mi drzwi, abym wsiadła. Nie dosłyszałam, jaką dyspozycję wydał taksówkarzowi.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam, opierając się o rozgrzane siedzenie. W odpowiedzi ujął moją rękę i zaczął się jej przyglądać.

– Typowa ręka skrzypaczki – orzekł. – Delikatne paluszki przy mocnym nadgarstku. A jakie piękne ramię!... – Mówiąc to, odciągnął kołnierz mojego sweterka i dodał: – Łopatka też.

Pocałował skórę tuż przy ramięczku stanika, zanim je delikatnie zsunął. Do dziś pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie ten pierwszy fizyczny kontakt. Od razu zmiękły mi nogi, tak rozpieierało mnie pożądanie!

– Jedziemy do mojego klubu – ujawnił wreszcie przede mną swoje plany. – Zwykle zatrzymuję się tam, ilekroć przyjeżdżam do Londynu. Nie jest to zbyt ekskluzywny lokal, w sam raz dla takich prowincjuszy jak ja, ale będziemy mogli czegoś się napić i zdecydować, co robimy dalej. Chyba, że jest jakieś inne miejsce, w którym chciałabyś się znaleźć?

– Z tobą w łóżku! – wyznałam.

Dalej wszystko się potoczyło jak zwykle w takich wypadkach. Zaliczyliśmy zarówno nerwowe napięcie przy pobieraniu klucza, jak wjazd na górę rozklekotaną windą i marsz długim, ciemnym korytarzem, aż w końcu dotarliśmy do ponurego pokoju z dwoma łózkami. Rzecz równie dobrze mogła się dziać w nocy, bo zasłonięte ciężką storą okno wychodziło na podwórko otoczone wysokimi gmaszyskami. Nastrój raczej nie sprzyjał romantycznym uniesieniom.

– Cóż, jest tu dosyć skromnie – przyznał Robert, kiedy rozglądałam się dookoła. – Gdybym wiedział, że do tego dojdzie, wybrałbym przyjemniejsze otoczenie.

– Ależ tu jest zupełnie miło! – skłamałam gładko.

Przyciągnął mnie do siebie, rozpiął sweter i zsunął go z moich ramion. Mruczając: „Mmmm, jakie piękne piersi...” zsunął także ramiączka stanika, a potem przesunął ręce na plecy i zręcznie odpiął zameczek. Na szczęście moje obnażone piersi prezentowały się dobrze, co widziałam bo odbijały się w szklanym blacie toaletki. Robert brał je po kolei w dłonie, głaskał, przesuwając brodawkę między palcami, aż w końcu pochylił się, aby po jednej brać je do ust. Ja tymczasem gmerałam palcami w jego jedwabistych, świeżo umytych włosach, rozwiązałam krawat i zaczęłam już odpinać guziki koszuli, podczas gdy on biedził się z zamkiem moich dżinsów. Nie szło mu łatwo, gdyż były obcisłe. Obawiałam się, że zauważy wałek tłuszczu nad paskiem.

– Poczekaj, ja to zrobię. – Uprzedziłam ten moment i sama ściągnęłam spodnie. Zostałam tylko w majtkach, które wybrałam dość starannie, ale i tak nagle ogarnął mnie wstyd. Wskoczyłam więc do pierwszego z brzegu łóżka i przykryłam się kołdrą, gdy tymczasem Robert pieczołowicie składał spodnie. Z trudem powstrzymałam się od śmiechu, widząc go przy tej czynności tylko w bokserskich spodenkach i skarpetkach. Bez cienia skrępowania zdjął także i te części garderoby, po czym wśliznął się do łóżka obok mnie.

Jego męski organ przedstawiał się imponująco – niezbyt długi, ale za to gruby. Sprawił się także należycie, więc przeżyliśmy upojne chwile. Robert okazał się niezmiernie czułym i troskliwym kochankiem. Nie przestał być takim, nawet gdy było już po wszystkim. Ja natomiast nie mogłam się pozbyć uczucia

smutku, jaki zwykle się pojawia, kiedy już „prysły zmysły”. Całe popołudnie minęło jak sen, a teraz przyszła pora na przebudzenie. Za chwilę trzeba będzie wstać, wziąć prysznic, ubrać się i wymienić kilka zwykłych banałów. On pocałuje mnie na pożegnanie i bajka się skończy. Okaze się, że to był po prostu „szybki numer”.

– O czym myślisz, moja śliczna? – zapytał, gdy jeszcze leżałam w jego ramionach.

– O tym, dlaczego tak mi teraz smutno.

– Widzisz, tak to jest, kiedy się uprawia seks bez miłości.

– Czy nigdy nie pokochasz mnie choć trochę? – Zaryzykowałam, choć obawiałam się, że wykorzysta ten moment, aby przypomnieć mi o granicach, które sam wyznaczył.

– Niestety, nie – odpowiedział zgodnie z przewidywaniem. – Owszem, myślę o tobie z czułością i pożądaniem, ale o miłości nie ma mowy. Uprzedzałem cię przecież.

– A żonę kochasz? – spytałam z ciekawości.

– Nie i nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek ją kochał. Żywię względem niej przyjaźń i szacunek, bo była wspaniałą matką naszych dzieci. Nigdy jej nie opuszczę, ale nasze życie seksualne jakoś się nie układało.

– Musisz pewnie mieć dużo kochanek?

– Wyobraź sobie, że wcale nie. Mam jedną długoletnią przyjaciółkę, z którą widuję się mniej więcej co trzy miesiące. W przeszłości miałem więcej romansów, ale sprawiało to przykrość Mary. Staram się więc ją chronić, a ona znów udaje, że o niczym nie wie.

– To co, dopiszesz teraz moje nazwisko na liście? – dopytywałam się uporczywie.

Roześmiał się.

– Nie bądź bezczelna, bo dam ci klapsa! Jeśli chcesz wiedzieć, to obecnie będziesz moją jedyną londyńską przyjaciółką, jeżeli się na to zdecydujesz.

– O, tak! – ucieszyłam się. – A klapsa możesz mi dać tak czy owak.

Pożegnaliśmy się jeszcze w pokoju, żebym mogła pierwsza zjechać windą na dół, nie narażając się na krępującą konfrontację z innymi członkami klubu. Robert wziął mnie tylko w ramiona

i czule ucałował.

– Jesteś taka... masywna!

– Jaka? Dziękuję pięknie!

– To miał być komplement. Lubię takie postawne, mocno zbudowane dziewczęta.

Dla mnie ten „komplement” stanowił krok wstecz w naszych stosunkach. Nie spodobało mi się bynajmniej określenie „masywna” – brzmiało zbyt podobnie do „krzepka”, a tak zwykle mówiło się o tęgich babach, szerokich w barach i biodrach. Myślałam o tym przez całą drogę do domu i analizowałam swoje odbicie w mijanych wystawach sklepowych. Coś podobnego, masywna! Zepsuł mi tak pięknie rozpoczęte popołudnie. Widział mnie naga, wyczyniał ze mną fikolki na łóżku, a przez cały czas myślał, jaka to ja jestem gruba! Czułam się tyleż urażona, co wściekła. A to dopiero drań! Z niego też był kawał chłopca, ale trzeba być mężczyzną, żeby coś takiego powiedzieć kobiecie. Oczywiście skwitowałam to śmiechem i udawałam, że nic się nie stało. On jeszcze raz mnie pocałował i zapewnił, że wprawdzie wyjeżdża teraz na kilka tygodni, ale odezwie się, kiedy tylko znów przyjedzie do Londynu.

W domu zrobiłam sobie na pocieszenie dużą kanapkę z serem i majonezem, potem rozebrałam się i usiłowałam obejrzeć swoje ciało w lustrze. Nie miałam lustra odpowiedniej wielkości, więc zbadałam swoje odbicie w oszklonej szafce łazienkowej. Owszem, nosiłam dosyć duże rozmiary odzieży, ale przy moim wzroście to nie raziło. Nie miałam nigdy nadwagi, ale jeśli chodzi o mocną budowę ciała, to faktycznie coś w tym było...

Zaraz zadzwoniłam do Poppy, ale telefon odebrał Chris.

– Czy uważasz, że jestem masywna? – zaatakowałam frontalnie.

– Chciałaś powiedzieć: tęga? – upewnił się.

– No, nie mam na myśli tęgiego umysłu, ale czy nazwałbyś mnie, na przykład, krzepką? Powiedz szczerze!

– Jesteś cudownie sklepiona – wykręcił się dyplomatycznie.

– Phi! – Prychnęłam z pogardą i zadzwoniłam do Loops.

Akurat zbudziłam ją ze snu, więc nie bardzo kontaktowałam, o co mi chodzi. Kiedy spytałam, czy według niej jestem masywna, wymamrotała coś niewyraźnego i w tle dała się słyszeć odgłos

strącania jakiegoś przedmiotu.

– Czy powiedziałaś o mnie, że jestem masywna? –
powtarzałam z uporem.

– Ma-szy-na? – przesylabizowała Loops, która cierpiała na
dysleksję.

– No, gruba! – Nie wytrzymałam.

– Jesteś, jesteś, a teraz odpieprz się i daj mi spać!

Tu, w hrabstwie Somerset, mieszkam już od roku, uznałam bowiem, że powinnam się wyprowadzić z Londynu. Od dłuższego czasu planowałam podjęcie pracy w szkole, ale nauczanie rozwydrzonych, londyńskich dzieciaków przypominało raczej poskramianie lwów. Trzeba trafu, że któregoś dnia, bezmyślnie przerzucając dodatek do „Timesa” poświęcony edukacji, znalazłam ogłoszenie, że szkoła klasztorna w Salisbury poszukuje nauczycielki gry na skrzypcach. Wprawdzie oferowano tylko trzy czwarte etatu, ale na początek i to wystarczyło. Pomyślnie przebrnęłam przez rozmowę kwalifikacyjną i otrzymałam tę posadę.

Mojej matce też spodobał się ten pomysł. Ponieważ od śmierci ojca, czyli od piętnastu lat, mieszka sama w małej wiosce niedaleko stamtąd, zaczęła przysyłać mi miejscowe gazety, aby ułatwić mi znalezienie mieszkania. Poppy i ja sporządziłyśmy listę domów do wynajęcia i któregoś dnia pojechałyśmy na zwiad jej nowym volvo, z Jess przypiętą pasami do fotelika na tylnym siedzeniu.

Farmę „Jeruzalem” trudno było znaleźć, gdyż leżała na dnie wijącej się zakosami doliny, właściwie oddalona od wszystkiego. Kiedy w końcu tam dotarliśmy, agent z biura nieruchomości miał się jak wściekły po ścieżce, nerwowo spoglądając na zegarek.

– Och, tak mi przykro! – usprawiedliwiła się Poppy przymilnym głosikiem.

Wystarczyło, że agent spojrział na jej zalotnie wykrojone oczy i burzę czarnych włosów, a od razu złagodniał. Natomiast mój widok chyba go rozczarował, kiedy wysiadłam od strony siedzenia dla pasażera i wyciągnęłam rękę do powitania. Oczywiście, nie zwrócił uwagi na mnie, tylko nie spuszczał oczu z niebotycznych nóg Poppy w szortach przerobionych z džinsów o obciętych nogawkach.

Poppy posadziła sobie Jess na biodrze i razem obeszyliśmy domek dookoła. W kuchni znajdował się brudny trzon kuchenny utrzymany w tonacji kremowej, a w salonie kominek i schody prowadzące do dwóch sypialni oraz uroczej łazienki wyłożonej

białą glazurą. Dach komponował się dobrze z mansardowymi oknami i otaczającym krajobrazem. Od razu oczarował mnie ten domek wtulony w zbocze przyległego pagórka, natomiast Poppy była innego zdania.

– Tak tu pusto! – orzekła. – Chryste, a co to znów takiego?

– To tylko krowa zaryczała! – Agent się zaśmiał, szczerze ubawiony.

– Brrr, co za okropny dźwięk! – Poppy się wzdrygnęła.

– A mnie się tu podoba! – oświadczyłam. – Mogę otworzyć to okno?

Mansardowe okienko sypialni otwierało się ciężko, ale wreszcie ustąpiło. Widać było przez nie zaśmiecony trawnik z pozostałościami rabaty kwiatowej, a w głębi sad. Dalej rozciągały się starannie utrzymane pola i łąki poprzecinane paskami lasów.

Poppy zadrżała jakby z zimna, szybko naciągnęła sweterek na ramiona.

– Czy tu czasem nie straszy? – upewniła się. – Na przykład duch powieszonygo zbrojcy albo uwiedzionej dziewczki z folwarku?

– Nigdy nie słyszałem o czymś takim – uspokoił ją z uśmiechem agent. – Z tego, co wiem, jest tu raczej spokojnie.

– Jeżeli straszy tu jakiś duch, to chyba dobry – oświadczyłam, odchodząc od okna. – Czuję to w kościach.

Sprawa więc wyglądała na załatwioną. Agentowi najwidoczniej podobało się, że wykonuję szacowny zawód nauczycielski, bo z jego słów wywnioskowałam, że poprzedni najemcy byli kimś w rodzaju hipisów, nie przykładającymi zbyt dużej wagi do porządku. Cieszył się też, że nie mam dzieci ani zwierząt i że nie odstraszyła mnie wysokość czynszu. Ja zaś zapomniałam spytać go o takie szczegóły, jak centralne ogrzewanie czy przejezdność drogi zimą. Poppy uważała, że z byka spadłam i powtarzała to przez całą drogę powrotną do Londynu, trwającą dwie i pół godziny. Natomiast ja byłam przekonana, że postąpiłam słusznie. W końcu zdecydowałam się poprosić Roberta, aby nas rozsądził.

Po pierwszym sam na sam z Robertem zachodziłam w głowę, czy się nie wygłupiłam i czy jeszcze kiedykolwiek o nim usłyszę. Zakochałam się w nim jak idiotka do tego stopnia, że napisałam

wiersz miłosny, nieporadnie sklecony, ale pełen uczucia. Wysłałam mu go na adres londyńskiego biura, w zwykłej, brązowej kopercie z adnotacją „do rąk własnych”, ale bez żadnego listu w środku. Zaraz następnego dnia zadzwonił do mnie, przed południem, w porze, kiedy większość ludzi jest w pracy. Okazało się, że jest na lotnisku, bo właśnie czekał na samolot do Amsterdamu. W tle słychać było nawet zgiełk typowy dla hali odlotów.

– Dziękuję ci, kochanie – powiedział. – Twój wiersz był wspaniały. Odwrotną pocztą posłałam ci swój. Przez cały czas myślę o tobie. Wkrótce się zobaczymy.

W tym momencie połączenie się urwało. Odłożyłam słuchawkę z narastającym podnieceniem. Byłam pewna, że i on się we mnie zakochał, bo znikł gdzieś jego poprzedni chłód. Teraz mówił głosem tak nabrzmiałym emocjami, że byłam pewna zwycięstwa. W końcu dysponowałam młodością, urodą i talentem, za pomocą których mogłam go zdobyć. Nie chciałam odrywać go od żony, pragnęłam tylko uzyskać zapewnienie o jego miłości. Fascynował mnie sam podbój, czy raczej świadomość tego, że będzie wzdychał i cierpiał z miłości do mnie. Raz po razie przywoływałam na pamięć naszą krótką rozmowę, mogłam nawet powtórzyć intonację jego głosu. Tylko sama nie zdążyłam prawie nic mu powiedzieć, bo nie miałam kiedy. I tak jednak czułam się podniesiona na duchu, a w promieniach słońca wpadającego przez okna sypialni – nawet szczęśliwa. Byłam już pewna, że mnie kocha!

Następnego dnia tak długo czekałam na listonosza, że spóźniłam się na próbę i musiałam wykrecać się wizytą u lekarza. Od razu złapałam sztywną, kremową kopertę zaadresowaną nieznanym mi charakterem pisma, z pochyłymi literami wykaligrafowanymi czarnym tuszem. Błyskawicznie rozciąłam kopertę i wyjęłam ze środka pojedynczą, sztywną kartkę z takiego samego papieru. Widniał na niej krótki, lapidarny wierszyk o prawidłowych rymach i rytmie, wyrażający bezbłędnie uczucia pana w średnim wieku.

„Gdy cię nie widzę, przeżywam tortury.

Bądź pewna uczuć mych temperatury...”.

I tak dalej w tym stylu. Wcisnęłam kopertę do kieszeni

i popędziłam do metra. Byłam zadowolona, że mi odpisał, ale i nieco rozczarowana brakiem namiętności. W metrze czytałam wiersz wielokrotnie, wmawiając sobie, że bawi mnie jego dowcip. W gruncie rzeczy powinnam była się tego spodziewać.

Chodziłam w tym czasie, choć bez specjalnego przekonania, z chłopakiem o imieniu Jeremy, pracującym w reklamie. Odkąd poznałam Roberta, moje uczucia wobec Jeremy'ego jeszcze bardziej ochłodziły. Mimo że miał dopiero dwadzieścia siedem lat, nagle wydał mi się nietaktowny i nieokrzesany. Zaczęła mnie drażnić jego wieczna pogoń za modą... Kiedy zadzwonił o zwykłej porze, aby umówić się ze mną na sobotnie wyjście do knajpy, nie przyjąłam jego zaproszenia. Tak czy siak, nie poszłabym z nim, bo miałam akurat koncert, ale też nie miałam nastroju na randkę. Wprawdzie sypialiśmy już ze sobą i nawet nam to wychodziło, jeśli dostatecznie dużo wypiliśmy, ale robiliśmy to bez większego przekonania. Wiedzieliśmy, że ten związek nie ma przyszłości, toteż kiedy powzięłam decyzję o zerwaniu, Jeremy nie rozpaczał. Spytał tylko, czy mam kogoś. Skłamałam, że nie.

Oczekiwanie na telefon stało się moją obsesją. Prześladował mnie lęk, że Robert zadzwoni, gdy mnie nie będzie w domu, więc jeśli nawet wyskakiwałam do kiosku po gazetę, ledwo wracałam, od razu wykręcałam 1471. Miałam już automatyczną sekretarkę, ale nie zarejestrowała ona żadnej wiadomości. Dopiero później dowiedziałam się, że Robert z zasady nie nagrywał się na sekretarkę, aby nie powierzać kompromitujących nieraz komunikatów bezdusznej maszynie. Wyciągałam kalendarzyk i obliczałam przypuszczalną datę jego powrotu, bo nie pamiętałam, na jak długo miał wyjechać. W końcu zadzwoniłam do jego biura i ta sama wredna sekretarka poinformowała mnie, że szef przebywa za granicą.

– Czy może mi pani powiedzieć, kiedy wróci? – spytałam.

– A z kim mam przyjemność? – Co za antypatyczna baba.

Wystraszyłam się wtedy i rzuciłam słuchawkę. Po chwili zdołałam się opanować i zadzwoniłam ponownie, tłumacząc się przerwany połączeniem. Przedstawiłam się jako artystka utrzymująca kontakty z panem Mackintosh na płaszczyźnie zawodowej. To spowodowało, że sekretarka wyzbyła się sztywności i puściła farbę, że jej przełożony zostanie

w Amsterdamie o dwa dni dłużej niż planował, dlatego zatrzyma się tylko na krótko w Londynie przed wyjazdem do rodzinnej Szkocji. Obiecała jednak przekazać mu, że dzwoniłam, tylko chciała wiedzieć, jaką mam do niego sprawę. W obawie, by się nie zaplątać, zbyłam ją krótkim: „To chodzi o koncert” i zakończyłam rozmowę.

Robert prosił mnie, abym nie mówiła Poppy o charakterze naszej znajomości. Jako żonaty mężczyzna musiał zachowywać ostrożność, gdyż wiedział, że w razie wpadki miał więcej do stracenia niż ja. Pochlebiał mi, oświadczając, że uważa mnie za osobę godną zaufania i na tyle inteligentną, abym zrozumiała jego sytuację. Rzeczywiście, poczułam się mile polectana, że uznał mnie za kobietę wyzwoloną, która byłaby skłonna akceptować romans bez zobowiązań, jeśli odpowiadałoby to potrzebom obojga. Sama zdecydowałam, że nie powiem Poppy całej prawdy, najwyżej opiszę jej nasz lunch z różnymi zabawnymi szczegółami. Miała za wielu znajomych, którzy znali Roberta i mogli wygadać się przed jej ojcem. Muzycy są strasznymi plotkarzami!

Trzymałam więc w tajemnicy moją przygodę miłosną z Robertem. No, może nie całkiem. Zwierzyłam się mojej kuzynce Loops, młodszej ode mnie o osiem lat, która nie знаła nikogo w sferach muzycznych, a przynajmniej związanych z muzyką klasyczną, bo gwiazdy rocka i ich sponsorzy czasem zapraszali modelki z jej agencji do swoich klubów. Loops zawsze chętnie wysłuchiwała zwierzeń, jeśli akurat nie budziłam jej ze snu, uznała więc moją opowieść za fascynującą.

– Mówisz, że to starszy facet... – Myślała głośno. – Pewnie nadziany, z willą, jachtem i tak dalej?

– Nic z tych rzeczy! – Roześmiałam się.

– W każdym razie dobrze, że pozbyłaś się Jeremy’ego.

Zaczęłam się odchudzać. Napisałam na arkuszu papieru wielkimi literami słowo „MASYWNA” i przyklepiłam go na ścianie w widocznym miejscu. Wytrzymałam dwa dni głodówki, aby potem razem z Loops, która wróciła z sesji zdjęciowej zmarznięta na kość i wygłodzona, najeść się po uszy chińszczyzny. Przez cały dzień musiała pozować w kostiumie bikini na tle suchego lodu i w dodatku o suchym pysku! Nic dziwnego, że wsadziłam ją do wanny z gorącą wodą i zamówiłam w chińskiej knajpie tyle żarcia,

że starczyłoby dla czworga. Wyskoczyłam na drugą stronę ulicy, żeby to wszystko odebrać, a kiedy wróciłam, zastałam Loops owiniętą w ręcznik i pętającą się po mieszkaniu z papierosem w ustach.

– Dzwonił ten twój facio – oznajmiła. – Tak mi się przynajmniej wydawało, bo cwaniaczek się nie przedstawił.

– No nie! – wykrzyknęłam. – I co mówił? Zostawił jakąś wiadomość?

– Powiedział, że jeszcze zadzwoni. Miał cholernie seksowny głos, taki głęboki... Czy jesteś pewna, że to nie Murzyn?

– A nie pytał, z kim ma przyjemność?

– Nie. – Loops pakowała do dzioba panierowane klopsiki wieprzowe. Z przykrością muszę wyznać, że zrobiłam to samo, tylko nie do jej dzioba, a do mojego.

Rzeczywiście, zadzwonił jeszcze raz, późnym wieczorem. Loops odjechała już na siodelku motocykla swego aktualnego chłopaka, ja zaś leżałam na kanapie wręcz nieprzyzwoicie nażarta. Jak zwykle wyrzucałam sobie tak karygodny brak umiaru i modliłam się o więcej silnej woli na przyszłość...

– Cześć! – odezwał się z charakterystyczną chrypką.

– Cześć – pisnęłam, nie umiejąc ukryć zaskoczenia.

– Jak się masz?

Nie wiedziałam, że można użyć tego zwrotu nie popadając w banał, ale jemu się to udało.

– Mam się zupełnie dobrze. – Odzyskałam już panowanie nad własnym głosem. – Staję się coraz bardziej masywna.

Nie zrozumiał aluzji, więc w rozmowie nastąpiła przerwa.

– Jaką miałaś podróż? – zaczęłam z innej beczki.

– Nudną jak flaki z olejem. Tyle tylko, że wzięłam udział w konferencji na temat praw autorskich i zasięgnąłem języka, co do jednego wydawnictwa, którym moja firma się interesuje. Może się spotkamy?

– Kiedy, teraz?

– Raczej jutro, bo dziś jestem za bardzo wypompowany. Może zjedlibyśmy razem śniadanie?

Dzięki Bogu nie miałam na jutro wyznaczonej żadnej próby, więc tylko spytałam:

– Gdzie?

Podał mi nazwę jakiegoś hotelu, którą słyszałam pierwszy raz w życiu.

– Może być – zgodziłam się, więc umówiliśmy się na określoną godzinę.

– No, to do jutra – pożegnał mnie. – Dobranoc, moja śliczna!

Wyprowadzka z Londynu nie sprawiła mi większych trudności. Zrezygnowałam z dalszego wynajmowania mieszkania, rada, że w swoim czasie nie dałam się namówić na jego kupno. Wybrałam meble, które zamierzałam zabrać ze sobą do Somerset i poprosiłam Loops i jej aktualnego przyjaciela, który podawał się za pakistańskiego księcia, o pomoc w przenosinach. Wynajęliśmy meblowóz i wczesnym rankiem wyruszyliśmy w drogę.

– Zegnaj, Knightsbridge! – podśpiewywałam, kiedy zmienialiśmy biegi najpierw na Brompton Road, potem na szosie M4, M3, A303, a w końcu na zielonej trawie przed moim nowym domem.

– Jeszcze tu wrócisz! – krakała Loops. Miała na sobie schodzone kowbojki obłożone imitacją skóry lamparta i wpuszczone w nie dzinsy tak obcisłe, że nasuwały myśl o zagrożeniu zdrowia. Po drodze wstąpiliśmy do baru Fleeta, żeby coś zjeść, ale wszystkich konsumentów zatkało na widok porcji, jaką Loops nałożyła na talerz. Nie żałowała sobie jajek, bekonu, kiełbasek, fasolki i grzanek, co obecni na sali mężczyźni kwitowali spojrzeniem pełnym podziwu, za to ich żony spoglądały z wyraźną dezaprobatą.

Rzekomy książę też wpadł w zły humor i przestał się odzywać. Nie poweselał, dopóki nie wypakowałyśmy całego mojego majątku ruchomego wprost na trawnik przed domem i nie przekonał się, że prócz niego nikt inny nie będzie się tu zachwycał urodą jego dziewczyny.

Małośmy się nie pozabijali przy wnoszeniu po schodach mojego łóżka i szafy. W takiej chwili pojawił się Toby, to znaczy agent z biura nieruchomości, który kazał mi zwracać się do siebie po imieniu. Już Poppy wywarta na nim wrażenie, ale to betka w porównaniu z furorą, jaką zrobiła Loops. Rozebrała się do skąpego topiku, spod którego wyglądały pępek i opalona na brąz skóra brzucha, a piersi rysowały się tak wyraźnie, że jasno było widać, iż nie nosi stanika. Widząc to, książę znowu się zasepił.

Przysiedliśmy więc na trawie, Loops zapaliła jakiegoś ohydneho skręta, a ja poczęstowałam wszystkich piwem przywiezionym w chłodziarce.

– I co o tym sądzisz, Loops? – zagadnęłam, opierając się na łokciu i ogarniając wzrokiem swoją nową siedzibę.

– Super! – orzekła. – Muszę urządzić tu kiedyś imprezę. Oczywiście, jeśli będziesz zapraszać mnie na weekendy... – Spojrzała wymownie.

Toby nie wydawał się zachwycony tą perspektywą. Najwidoczniej przerażało go nieprzyjazne spojrzenie młodego człowieka o egzotycznym wyglądem, siedzącego obok, choć równocześnie przyprawiało go to o dreszczyk emocji.

– Nie musisz czekać na zaproszenie, głuptasie! – ofuknęłam ją. – Dobrze wiesz, że co moje, to i twoje.

Tymczasem zaczęło padać, więc pochowaliśmy się pod wszelkie możliwe obiekty w pobliżu. Dopiero kiedy deszcz nieco ustał, podjechaliśmy do wiejskiej gospody, aby zjeść porządny lunch.

Przez najbliższe cztery dni deszcz padał niemal bez przerwy. Chwilowo nie mogłam korzystać z samochodu ani telefonu, bo Loops dopiero miała sprowadzić z Londynu moją starą renówkę, a na dobitkę zarzuciłam gdzieś ładowarkę do komórki. Nagle poczułam się więc strasznie samotna i odcięta od świata. W całym domku czuć było stęchlizną, płytki posadzki lśniły od wilgoci, a na domiar złego nie umiałam rozpalić pod kuchnią, co oznaczało, że będę pozbawiona cieplej wody, z wyjątkiem tej ilości, jaką sobie nagrzeję w czajniku.

Wprawdzie w Londynie mieszkałam sama, odkąd ukończyłam dwadzieścia lat, ale zawsze miałam świadomość bliskości innych ludzi. Przyzwyczaiłam się do odgłosu kroków sąsiadów mieszkających nade mną, muzyki dochodzącej z mieszkania pode mną, szmeru przytłumionych rozmów, trzaskania drzwiami i pijackich wrzasków na ulicy. Obecnie otaczała mnie niespotykana dotąd cisza, przerywana tylko brzęczeniem pracującej lodówki, tykaniem zegara i skrzypieniem podłogi pod moimi stopami. Mój wiejski domek zdawał się żyć własnym życiem. Powietrze w pokojach gęstniało wokół mnie, a kiedy kładłam się do łóżka, ciemność przytłaczała mnie swoim

ciężarem. Wydawało mi się, że jestem poddawana nieustającej próbie wytrzymałości.

Na trzeci dzień wpadła z wizytą matka, którą przywitałam z kiepsko skrywaną ulgą i zachwytem. Przywiozła ze sobą koszyk, który odpakowałam na kuchennym stole i stwierdziłam, że zawierał słoiki dżemu i miodu, aromatyzowaną świecę, biszkopt domowej roboty i bukiet kwiatów z jej ogródka. Na szczęście mama, gdy tylko zdjęła płaszcz, od razu zakasała rękawy i zabrała się do roboty. Pokazała mi, jak się rozpala pod kuchnią, używając do tego zgniecionego papieru, chrustu i małych bryłek węgla, które znalazła w drewnitni. Należało wcześniej odsunąć szyber w przewodzie kominowym.

– Czy ten głupi Toby nie mógł mi powiedzieć, jak to się robi? – narzekałam.

– Pewnie sądził, że wiesz. Większość ludzi dałaby sobie z tym radę.

– Akurat! – prychnęłam. – Nie miał czasu, bo gapił się na Loops!

Już po mniej więcej godzinie w kuchni zrobiło się ciepło, a do tego świeżo zaparzona herbata i kwiaty w dzbanku na stole wydatnie podniosły mnie na duchu.

– Podrzucę cię teraz do wsi, żebyś mogła zadzwonić do urzędu telekomunikacji i do Laury (tak brzmiało prawdziwe imię Loops) – zaproponowała matka. – Powinnaś także zrobić zakupy i zamówić węgiel do tego pieca.

Jak widać, mama na nowo przejęła ster mojego życia, za co w tej chwili byłam jej szczerze wdzięczna. Pamiętam, jak troszczyła się o mnie i moje rodzeństwo, kiedy złapaliśmy gripę. Poprawiała nam poduszki, przygotowywała gorącą herbatę z cytryną, ale głównie samopoczucie poprawiała nam świadomość, że mama w razie czego jest zawsze pod ręką.

– Moja kochana staruszka! – rozczuliłam się, gładząc ją po rękę.

– Tylko nie staruszka! – odparowała z miejsca. – No, tu jest całkiem ładnie, a nawet jeśli nie jest, to na pewno będzie.

Rzeczywiście, za oknem zaświeciło już anemiczne słońce, a ciepła woda zachęcająco popłynęła z kranu, gdy zmywałam.

– Musisz dobrze rozpalić pod kuchnią, zanim wyjedziemy –

zakomenderowała. – Nabierz węgla w drewnitni i postaw węglarkę przy drzwiach.

– Węglarkę? – powtórzyłam. – Nie przypuszczałam, że mam jakąś węglarkę.

– Powiedzmy, że użytkujesz – sprostowała sucho mama. – Należy do wyposażenia domu, który przecież nie jest twój.

– No tak, zgadza się.

We wsi nie było widać żywej duszy. Szybko kupiłam więc kilka puszek sardynek i duszonej fasolki, biały chleb, bekon i jajka (jak zdążyłam zauważyć, pochodzące z fermy przemysłowej). Poinformowałam ekspedientkę, że jestem nową lokatorką farmy „Jeruzalem”. Spodziewałam się, że okaże przynajmniej nikłe zainteresowanie, jak bohaterka powieści *Saga rodu Archerów*,

tymczasem dama za ladą bąknęła tylko „Ach, tak?” i na tym rozmowa się skończyła.

Następnie znalazłam typową, czerwoną budkę telefoniczną i zadzwoniłam do biura Brytyjskiej Telekomunikacji, aby załatwić przyłączenie mnie do linii – obiecali, że zrobią to pod koniec tygodnia. Pozostawiłam także wiadomość na automatycznej sekretarce Loops, że pilnie potrzebuję samochodu. Spróbowałam skontaktować się z Poppy, ale nie było jej w domu. Telefon odebrała jej nowa służąca, Dunka, która poinformowała mnie, że pani poszła do lekarza, gdyż spodziewa się drugiego dzidziusia. Przekazałam więc tylko pozdrowienia dla jej chlebodawczyni, jak również informację, że podam swój nowy numer telefonu, gdy tylko go dostanę. Mama cierpliwie czekała w samochodzie, więc jeszcze wykonałam telefon do Roberta. Zgłosiła się jego automatyczna sekretarka, więc rozłączyłam się, ułożyłam sobie w myśli treść wiadomości, którą chciałam mu zostawić, zadzwoniłam ponownie i tym razem nagrałam coś w tym rodzaju:

„Cześć, to ja. Jestem daleko stąd, ale przynajmniej pogoda już lepsza. Odezwę się, kiedy będę pod telefonem, gdzieś w końcu tego tygodnia. Na razie pa!”.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak będzie odbierał tę wiadomość w swoim domu na pograniczu Szkocji. Pewnie ma gabinet wyłożony dębową boazerią, a w nim potężnych rozmiarów biurko i podłużne okna wychodzące na tarasowato opadające ogrody, gdzie Mary wydawała właśnie dyspozycje

ogrodnikowi... Wychodziłam już z budki, kiedy nagle coś mnie tknęło i wróciłam do sklepu. Dobrze zauważyłam, że sprzedawano w nim także napoje alkoholowe. Ponieważ wszystko zaczynało nieźle się układać, poprosiłam jeszcze o dużą butelkę whisky. „To dla mojej mamy” skłamałam szybko, widząc pełne dezaprobaty spojrzenie ekspedientki pakującej butelkę. Chyba niezupełnie mi uwierzyła, bo wyjrzała przez okno, gdzie w zaparkowanym fordzie fiesta siedziała moja matka, słuchając radiowego kącika porad dla ogrodników.

Wyjście na umówione śniadanie z Robertem nie było takie proste, jak się mogło wydawać. Przede wszystkim miałam za sobą nieprzespaną noc. Sen z powiek spędzały mi obawy, że będę wyglądać nie tylko na „masywną”, lecz i zmęczoną, a ponadto nie mam co na siebie włożyć! W miarę jak związek dojrzewa, szybko zapomina się o napięciu towarzyszącym pierwszym randkom, o tym nerwowym oczekiwaniu spotkania z kimś, kto zdążył już zawładnąć naszymi myślami.

Planowałam wstać wcześniej i umyć włosy, ale ponieważ zasnąłam dopiero nad ranem, w końcu zasnęłam. Z mokrymi włosami miotalam się w pośpiechu, nie mogąc się zdecydować, jak właściwie chcę wyglądać. Ostatecznie wybrałam długą, lnianą spódnicę i prostą w kroju bluzkę – skromnie, ale szykownie. Po wczorajszym obżarstwie nawet nie próbowałam wbijać się w spodnie. Za to moje blond włosy po myciu zrobiły się lśniące i puszyste. „Jak to dobrze być blondynką!” myślałam, nie wiedząc jeszcze, że on i tak woli rude. Takie jak Helena.

Wzięłam taksówkę, ale po dotarciu do hotelu zorientowałam się, że mają tam dwie sale restauracyjne. Jedna nazywała się „Taras nad Tamizą”, a druga „Trafalgar”. Wybrałam „Taras nad Tamizą” i znalazłam go tam, czytającego gazetę; siedział tyłem do mnie, naprzeciwko siebie miał jednak wielkie lustro wiszące na ścianie, więc gdyby mu się chciało unieść głowę, widziałby, kto wchodzi do sali.

W ubraniu jego masywna budowa nie rzucała się w oczy – wyglądał szczupło i elegancko. Do antracytowego garnituru bez jednaj zmarszczki nosił jedwabny krawat i taką samą chusteczkę w kieszonce. Przy mankietach nieskazitelnie białej koszuli miał złote spinki, a kiedy wstał na moje powitanie, otrząsnął nogawki, aby zasłonić wyczyszczone do połysku pantofle. Był świeżo ogolony i pachniał płynem o zapachu cytrusów. Z niesmakiem myślałam, jak niegustownie ubierał się Jeremy, w jakieś ordynarne ciuchy z pastelowych lub błyszczących materiałów!

Robert pocałował mnie w usta. W lustrze zauważyłam, że inni konsumenci – w większości mężczyźni – zwrócili na to uwagę.

– No, zjedzmy coś wreszcie! – zaproponował. –

Przypuszczam, że musisz być głodna, bo ja jestem.

W tej sali bufet miał formę szwedzkiego stołu, zastawionego chyba wszelkimi możliwymi daniami na zimno i na gorąco. Wzięłam sobie jogurt i owoce, a on postąpił tak samo. Chętnie zjadłabym jajka na bekonie, ale nie chciałam, żeby wziął mnie za zdeklarowanego żarłoka. Ciekawe, że następnego dnia po przejeździe człowiek jest dwa razy bardziej głodny niż normalnie! Robert natomiast nie krępował się i wybrał sobie jeszcze coś na gorąco.

Kiedy usiedliśmy, kelnerka wyglądająca na cudzoziemkę podała nam do stolika gorącą i mocną kawę. Potem zorientowaliśmy się, że większość obsługujących w tej sali prawie nie mówi po angielsku, bo prośba Roberta o podanie łyżeczki wywołała ogólną konsternację. Nie pomogła chaotyczna wymiana zdań w języku zbliżonym do portugalskiego – w końcu musiał pójść i sam sobie przynieść tę łyżeczkę. Można by pomyśleć, że kto jak kto, ale personel restauracji powinien znać przynajmniej takie słowa, jak nóż, łyżeczka, widelec czy talerz!

Wcześniej trochę padało, ale tymczasem zdążyło się rozjaśnić. Wiatr rozegnał nieco chmury i odsłonił kawałek nieba, co widziałam przez okno restauracji. Głupio mi było jeść śniadanie z kimś, z kim nie spędziłam nocy. Wyglądało to tak, jakbyśmy zaczęli od końca.

– No i co porabiałaś? – Robert próbował zainicjować rozmowę.

– Tęskniłam za tobą.

O rany! Jak mogłam być taka bezwstydna?

– Jakie to miłe! – Złożył usta jak do pocałunku. Miał pełne, ładnie wykrojone wargi, jakby stworzone do uciech seksualnych. Zupełne przeciwieństwo facetów o wąskich, zaciętych ustach.

Pospiesznie zarzuciłam go wyliczanką prób i koncertów, jakie odbywałam pod jego nieobecność. Słuchając tej litanii, śmiał się, sprawiając wrażenie szczęśliwego i odprężonego. W rewanżu opowiedział mi o problemach, jakie miała rozwiązać jego wizyta w Amsterdamie i jaki ten wyjazd był nudny i męczący. Kelner ciągle dolewał nam kawy, aż w końcu Robert spojrzał na zegarek. Minęło już piętnaście po dziesiątej.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – zagadnął.

– Właściwie nic konkretnego.

– O drugiej mam samolot, który odlataje ze Stansted. Przedtem muszę jeszcze zabrać walizkę z klubu, ale to zaraz za rogiem. Może pójdziemy tam razem?

– Z przyjemnością! – Zgodziłam się skwapliwie. Poszłabym z nim wszędzie, dokąd chciałby.

Zapłacił rachunek i wyszliśmy z restauracji. Trzymałam go pod rękę. Byłam pewna, że kelnerzy gapią się na nas, bo przecież nie byliśmy małżeństwem i dzieliła nas tak duża różnica wieku – miałam dwadzieścia siedem lat, a on około pięćdziesiątki. Wyglądało to, jakby mnie uprowadzał! Podobało mi się, że nigdy nie miał wilgotnych ani lepkich rąk, tylko suche i mocne. Czasem podawał mi ramię, co było urocze. Tymczasem doszliśmy do jego klubu.

Robert wszedł pierwszy, a mnie poprosił, żebym przeszła się spacerkiem do rogu i z powrotem, a potem sama do niego dołączyła. Celowo szłam wolnym krokiem, nie spiesząc się. Przeczytałam gdzieś, że Marilyn Monroe stawiała stopy dokładnie jedna przed drugą i dlatego kręciła tyłeczkiem w niepowtarzalny sposób. Spróbowałam sama tak chodzić, ale nie szło mi to łatwo. Odpowiadała mi natomiast rola zakazanego owocu. W tym wcieleniu czułam się szczególnie atrakcyjna i pożądana.

– Dzień dobry pani! – przywitał mnie portier przy wejściu.

– Dzień dobry! – odpowiedziałam i przedfilowałam obok niego do windy, zalotnie kręcąc pupą. Zaczynałam się już przyzwyczajać do roli kochanki!

Oczywiście poszliśmy z Robertem do łóżka i wyszło nam lepiej niż za pierwszym razem, choć nie uszło mojej uwagi, że przez cały czas patrzył na zegarek. Potem zabrał się do pakowania swoich rzeczy, przy czym zauważyłam, że należał do tego rodzaju mężczyzn, którzy trzymają wszystko w oddzielnych futerałkach z przegródkami. Musiał mieć masę nadzianych krewnych, którzy silili się na pomysłowe prezenty gwiazdkowe! Na przykład do wymyślnego, skórzanego etui wsadził srebrną szczotkę do włosów, a do innego – przybory do czyszczenia butów.

Przyglądałam się temu z łóżka, nagle on, grzebiąc w swojej torbie podróżnej, powiedział:

– Ach, przecież przywozłem ci mały upominek

z Amsterdamu!

Z wrażenia aż usiadłam. Amsterdam od razu skojarzył mi się ze sklepami jubilerskimi. Czyżby szykowna, brylantowa kolia miała zapoczątkować nasz romans? Tymczasem Robert wręczył mi okrągły przedmiot większy od piłki krykietowej, owinięty w pognieciony papier. Odpakowałam go ostrożnie i przekonałam się, że był to... ser edamski! Szkoda, że od razu nie wyrzuciłam go przez okno!

Z Londynu wyprowadziłam się pod koniec lipca, ale do rozpoczęcia roku szkolnego pozostało jeszcze pięć tygodni. Na koncerty panował sezon ogórkowy – w terminarzu odnotowałam zaledwie kilka występów, a więc nie miałam prawie żadnych zobowiązań. Z gotówką też zrobiło się cienko, dlatego pewne zaplanowane przeze mnie prace remontowe musiały poczekać.

Loops w końcu przyprowadziła mój samochód, chociaż zanim do mnie trafiła, najeździła się po całym hrabstwie. Przekonałam się, że sieć autobusowa w tym okręgu praktycznie nie istniała. Na drodze do wsi mijały mnie tylko cysterny z mlekiem, przed którymi nieraz musiałam odskakiwać prosto w żywopłot. Teoretycznie mleczarze mogliby świadczyć usługi przewozowe, ale nie wyglądali zbyt sympatycznie. Zresztą z nimi można by najwyżej kursować od jednej farmy bydła mlecznego do drugiej, a nie tam, gdzie chciałabym pojechać, na przykład na pocztę lub do biblioteki. Pani sklepowa też nie była zanadto rozmowna. Najwidoczniej od razu zaliczyła mnie do grona „weekendowych klientów”, którzy nie rokowali nadziei na tak duży zarobek, aby jej Andy i Shuna mogli powrócić w rodzinne strony. Nieraz robiła w mojej obecności głośne uwagi na ten temat.

Któregoś dnia po południu wstąpiłam do kościoła i trochę posiedziałam w jego chłodnym wnętrzu. Zdążyłam już zapomnieć, że w kościołach unosi się zwykle charakterystyczny zapach, stanowiący mieszankę starych psalterzy, zakurzonych dywanów, politory i zatechłej wody z flakonów na kwiaty. Skojarzyło mi się to z uroczym wierszem Philipa Larkina, który dobrze oddawał moje aktualne uczucia. Niby nic już mnie nie łączyło z kościołem, ale jednak czułam się członkiem wspólnoty i w gruncie rzeczy byłam zadowolona, że ten solidny, szary budynek zawsze znajduje się na swoim miejscu, aby dawać ludziom poczucie

bezpieczeństwa. Na parafialnej tablicy ogłoszeń znalazłam grafik przynoszenia kwiatów do kościoła, rozkład zajęć szkółki niedzielnej, informacje o działalności młodzieżowego klubu i zawiadomienie o wycieczce. Sprawiało to wrażenie, jakby tutejszy proboszcz miał na głowie jeszcze cztery inne kościoły, a msze odprawiał zaledwie raz w miesiącu.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka weszła kobieta – pastor. Wydawała się zdziwiona, że tak sobie po prostu siedzę. Uśmiechnęłam się do niej zachęcająco, aby nie pomyślała, że przyszedłam prosić ją o pomoc w kłopotach. Wtedy podeszła bliżej. Była niska i tęga, miała krótko przycięte, siwe włosy i nosiła okrągłe okulary przypominające oczy sowy. Ubrana była po świecku, ale pod szyją miała koloratkę i usztywniony przodzik, co przy zwykłym stroju wyglądało śmiesznie i niezręcznie, jak krawat noszony przez kobietę.

Spytała mnie, czy jestem turystką. Odpowiedziałam przecząco, bo te strony miały swój urok, ale nie szczyły się żadnymi obiektami atrakcyjnymi dla turystów. Przyznałam się szczerze, że właśnie wprowadziłam się na farmę „Jeruzalem”. Wyraźnie zainteresowała się wtedy moją osobą. Pewnie chciała wiedzieć, czy mam dzieci, które mogłyby uczęszczać do jej szkółki niedzielnej, bo spytała:

– Czy pani przyjechała do nas z rodziną?

– Nie, jestem sama – odpowiedziałam możliwie lekkim tonem, aby jej uzmysłwić, że wcale mi to nie przeszkadza. Obiecała, że dopilnuje, abym regularnie otrzymywała biuletyn parafialny i dała mi do wypełnienia ankietę.

Dopiero kiedy Loops przyprowadziła mój samochód, mogłam naładować komórkę, bo okazało się, że ładowarkę zostawiłam na tylnym siedzeniu. Od razu poczułam się mniej odcięta od świata. Loops jak zawsze tryskała entuzjazmem i namówiła mnie na wypad do najbliższego miasteczka, gdzie w supermarkecie nakupiliśmy egzotycznych wiktuałów na wspólną kolację. Wyglądała się przy tym jak dziecko – jeździła wózkami po hali jak na hulajnodze, aż ludzie oglądali się za nią. Nic dziwnego, nawet w starych džinsach i powyciąganej koszulce szokowała swoją urodą.

Tęga dziewczyna przy kasie, z szopą przesuszonych jak siano

blond włosów, wpatrywała się w nią z mieszaniną podziwu i rozpaczki. Miałam ochotę ją pocieszyć, że znam ten ból, bo doznaję analogicznych uczuć, ilekroć spojrzę na Loops. Zdałam sobie sprawę, że tak bujnie rozkwitła uroda przewróciła Loops w głowie do tego stopnia, że prawie nie zauważała zwykłych śmiertelników. Nie zniżała się, aby dziękować im za drobne posługi czy zaszczycić ich bodaj spojrzeniem lub uśmiechem. Już w samochodzie zwróciłam jej na to uwagę:

– Czemu tak demonstracyjnie lekceważyłaś tę kasjerkę?

– O co ci chodzi? – Loops spojrzała na mnie jak na wariatkę.

– No, wiesz, nie powiedziałaś jej nawet „dziękuję” ani „do widzenia”...

– Za co, do jasnej Anielki, mam jej dziękować? W końcu wykonuje swój psi obowiązek i jeszcze do tego grzebie się jak mucha w smole!

Tę wypowiedź pozostawiłam już bez komentarza.

Robert prawie cały lipiec przebywał w rozjazdach. Nie pamiętam, dokąd wyjeżdżał, ale na pewno spędził część urlopu na pieszych wycieczkach we Włoszech. Wiedziałam, że Mary uznawała tylko ten rodzaj aktywnego odpoczynku. Mogłam sobie nawet wyobrazić, jak maszerowała dziarsko naprzód, podczas gdy on dreptał za nią zdyszany, marząc, aby nadeszła już pora lunchu. Miał też w planach wyjazd do USA i wyprawę na ryby do Irlandii, skąd wysyłał mi dowcipne i zabawne pocztówki. Ustawiłam je w swojej nowej kuchni za serwisem do kawy i od czasu do czasu rzucałam na nie okiem. Lubiłam także marzyć, że Robert odwiedzi mnie w mojej wiejskiej rezydencji. Prawdę mówiąc, wybrałam właśnie ten, a nie inny domek także z myślą o nim, gdyż obiecał mi, że kiedyś spędzi tu ze mną kilka dni. W moim londyńskim mieszkaniu nigdy mnie nie odwiedzał, ale na prowincji łatwiej było zachować dyskrecję. Cokolwiek robiłam, nie mogłam opędzić się od natrętnej myśli, że bardziej cieszyłaby mnie ta sama czynność wykonywana wspólnie z nim.

Wiedziałam, jak wygląda Mary, i to nie dlatego, że ją sobie wyobrażałam albo poskładałam jej portret pamięciowy ze strzępków zasłyszanych wypowiedzi Roberta. Nie, zwyczajnie pokazał mi jej fotografię! Chyba na naszej trzeciej randce poprosił mnie o przyniesienie zdjęć rodzinnych, abyśmy poznali nawzajem

nasze życiorysy. Nie mogłam się zdecydować, które wybrać, aż uznałam, że najładniejsze są moje zdjęcia z dzieciństwa, na których figurowałam wspólnie z bratem i siostrą na tle krajobrazów naszego rodzinnego Barnes. Jednak na wspomnienie ojca zrobiło mi się smutno. Był wykładowcą gry na organach klasycznych przy katedrze Św. Pawła i zmarł, kiedy miałam osiemnaście lat. Nie chciałam więc chwalić się jego zdjęciem, gdyż uznałam, że nie byłoby to na miejscu.

Robert za to przyniósł cały album rodzinny. Oglądaliśmy go, siedząc w łóżku i popijając wino ze szklanek do mycia zębów. Jego dom w Szkocji wyglądał na zdjęciu imponująco. Robert wyjaśnił, że należy on do Mary, która odziedziczyła go po wuju. Gmaszysko nie było zbyt gustowne, ale stanowiło wizytówkę pozycji społecznej jego mieszkańców – taki typowy, wiktoriański zameczek z wieżyczkami i gotyckimi oknami!

Wydałam okrzyk zachwytu, ale wolałam nie pokazywać Robertowi zdjęcia naszego domku w Barnes. Nie żebym się go wstydziła – nie chciałam tylko, żeby wypadł gorzej w zestawieniu z tamtym monumentalnym budynkiem. Wystarczyło, że go kochałam. Byłam dumna, że wyrosłam w wesołej, artystycznej rodzinie, w której uzupełnieniem ojca – łagodnego marzyciela, nie zdającego sobie jeszcze sprawy z choroby serca – była energiczna i pragmatyczna matka, idealna gospodyni domowa.

Tymczasem Robert pokazał palcem jakieś miejsce na którymś ze zdjęć i wyjaśnił:

– O, tu Mary chciałaby zrobić sztuczne jezioro.

To można chcieć czegoś takiego? Ciekawe, skąd wiadomo, że chce się właśnie tego. A co, jeśli po wykopaniu takiego zbiornika okaże się, że wcale się tego nie chciało? Temat skłaniał do przemyśleń.

Tymczasem Robert wyciągnął drugie zdjęcie.

– A to ona! – oznajmił.

Poczułam się głupio, bo jak można leżeć w łóżku z kochanką i pokazywać zdjęcie żony? Przyjrzałam mu się jednak z zainteresowaniem, bo przedstawiał damę niewiele powyżej pięćdziesiątki, wysoką i szczupłą, z włosami o odcieniu pomarańczowym, ściągniętymi do tyłu opaską. Miała na sobie bluzkę z riuszką przy szyi, jakie chętnie nosiły władcze damy

z wyższych sfer, rozpinany sweter od Marksa i Spencera – taki sam, jaki miała moja matka – i dzinsy zaprasowane w kant. Wprawdzie na zdjęciu była mile uśmiechnięta, ale wydatny podbródek świadczył o silnej woli.

– Wygląda sympatycznie. Czy jest ładna? – okazałam zainteresowanie.

– Nie tyle ładna, ile atrakcyjna, zadbana i bardzo sprawna fizycznie, dużo bardziej ode mnie. Zauważyłaś, jaką ma figurę? Kiedyś była nawet modelką.

Cudownie! I to już wystarczy, aby ją znienawidzić. Sam sposób, w jaki ją opisywał, nacechowany czułością i podziwem, dostatecznie wyprowadził mnie z równowagi.

– A więc nie jest masywna? – spytałam głośno.

– Słucham? – Nie zrozumiał aluzji do użytego poprzednio określenia.

– To znaczy, dlaczego jej nie kochasz? – zaczęłam z innej beczki.

– To trudne pytanie. Widzisz, Mary nie jest osobą łatwą we współżyciu. Wiecznie narzeka i podejrzewa wszystkich, że chcą ją zdyskredytować...

Może i ma rację, pomyślałam.

– Miała trudne dzieciństwo – mówił dalej Robert. – Ojciec, zawodowy wojskowy, wiecznie przebywał poza domem, a ta zdzira, jej mamuśka, nie zdołała nauczyć jej niczego pożytecznego. Przygotowała ją tylko do małżeństwa, więc Mary nie mogła się doczekać, kiedy ktoś ją zabierze z domu. Trzeba trafu, że akurat ja nawinąłem się w odpowiedniej chwili.

– To dlatego się z nią ożeniłeś? Czy ją wtedy kochałeś?

– Wydawało mi się, że tak. W każdym razie podobała mi się, zresztą nie mnie jednemu. Teraz też mi się podoba.

– To co tu, do jasnej cholery, robisz? – zapytałam.

– Widzisz, ona już nie ma ochoty na seks. Po dzieciach nabrała awersji do tych rzeczy, zresztą ma problemy z kręgosłupem. Śpimy oddzielnie. Może dajmy już spokój tym pytaniom i pokochajmy się trochę, dobrze? Tak też zrobiliśmy, ale jego słowa popsowały cały nastrój tego popołudnia. W powietrzu wisiało coś, co mogło wyprzeć mnie nawet z tej szczupłej przestrzeni, jaką zajmowałam w jego życiu.

Odwiozłam Loops na pociąg do Londynu i powoli wracałam na farmę labiryntem polnych dróg, tonących w powodzi zieleni, której wtedy nie umiałam nazwać, ale teraz już umiem. Przy wjeździe na moją drogę gruntową zatrzymałam się, aby urwać trochę gałęzi dziko rosnącej róży jerychońskiej. Przy okazji zauważyłam stadko uwijających się po polu bażantów. Okoliczni farmerzy korzystali z dobrej pogody – w drodze do domu mijałam wiele ciągników z przyczepami wyładowanymi ziarnem.

Wjeżdżając na teren farmy, wiedziałam już, czego naprawdę mi trzeba – nie sztucznego jeziora, ale psa. Przerzuciłam więc plik makulatury, aż znalazłam miejscową gazetę z zeszłego tygodnia. Odszukałam w niej rubrykę zatytułowaną „Nasz żywy inwentarz”. Zawsze śmieszył mnie ten zwrot, bo z tego, co wiem, bardziej pasowałaby tu nazwa „Martwy inwentarz”. Nasi rolnicy sprawiają przecież wrażenie, jakby zajmowali się głównie zabijaniem zwierząt. Jeśli nie strzelają do bażantów, to szczują lisy albo wiozą owce, jagnięta i bydło do rzeźni! Nie chciałam jednak podchodzić do tych spraw jak mieszczuch, tym bardziej, że przepadam za mięsem.

Znalazłam w końcu kolumnę, której szukałam i przebiegłam po niej wzrokiem. Uwagę moją przyciągnęło ogłoszenie opublikowane przez miejscowe schronisko dla bezdomnych zwierząt:

„Łagodny chart poszukuje spokojnego domu na wsi, bez kotów”.

Zadzwoiłam pod wskazany numer i dowiedziałam się od pracownicy schroniska, że pies nazywa się Pilgrims, ma cztery lata, a za sobą słabą karierę wyścigową. To było powodem, że jego właściciel go porzucił. Opiekunka zarzuciła mnie gradem pytań, ale moje odpowiedzi najwidoczniej przypadły jej do gustu, bo wyznaczyła mi termin spotkania. Czułam się jak na randce aranżowanej przez komputer.

Spotkało mnie też podobne rozczarowanie jakiego się doznaje na takiej randce, gdy niski, grubawy, starszy jegomość przedstawia się w ogłoszeniu matrymonialnym jako młody, wysoki i atrakcyjny brunet. Biedny Pilgrim, którego wyobrażałam sobie jako wysmukłe, pełne gracji stworzenie w rzeczywistości przypominał szkielet obciążony skórą, miejscami oblażłą

z sierści.

– Ma świerz – poinformowała mnie członkini towarzystwa opieki nad zwierzętami. – Znaleźliśmy go na wpół zagłodzonego i przywiązanego sznurkiem do drzewa.

I pokazała mi pręgę na szyi psa, wytartą do żywego mięsa.

– Potrzebuje czułości i troskliwej opieki – kontynuowała swoją przemowę. – Dlatego wolelibyśmy oddać go osobie samotnej. Nie jest jeszcze przygotowany do życia w rodzinie.

To całkiem jak ja, pomyślałam.

Mówiąc szczerze, pies sprawiał raczej odstręczające wrażenie, przynajmniej dopóki nie spojrział na mnie takimi oczami, że ugięły się pode mną nogi i nie miałam wyboru. Jego tymczasowa opiekunka dała mi listę koniecznego wyposażenia i środki przeciwświerzbowe, pouczyła, jak mam go karmić i zapewniła, że został odrobaczony. Chart żwawo wskoczył na tylne siedzenie mojego samochodu i ułożył się tam, opierając swój długi pysk na przednich łapach. W najbliższym miasteczku znalazłam sklep zoologiczny i kupiłam mu wymaganą wyprawkę, w tym smycz i specjalną obrozę dla chartów oraz wyściełany koszyk do spania. Zaniósłam to wszystko do wozu, a tam mój nowy nabytek stał już oparty łapami na przednim siedzeniu i trząsł się ze strachu. Pewnie bał się, że znów zostanie sam, bo na mój widok tak się ucieszył, że wzruszył mnie do łez. Przez całą drogę do domu pociągałam nosem i głośno zapewniałam psa, że nigdy, przenigdy go nie opuszczę.

Oczywiście nie dotrzymałam słowa. Wystarczyło, aby Robert chciał się ze mną spotkać w Londynie, a już zapakowałam Pilgrima do samochodu i odwiozłam do mojej matki.

Przypominam sobie dokładnie, kiedy dowiedziałam się o istnieniu Heleny. Z tamtego śniadania z Robertem wyniosłam więcej niż ten nieszczęsny ser edamski. Skorzystałam z okazji, kiedy Robert był w łazience, i przejrzałam jego kalendarzyk, który leżał na nocnym stoliku. Wiedziałam, że to brzydko, ale już na pierwszej stronie znalazłam jego domowy adres i numery telefonów, domowego i biurowego, z którego załatwiał służbowe rozmowy i wysyłał fakсы do domu w Szkocji. Szybko przepisałam te numery na świstek papieru, który schowałam do torebki.

Nie pamiętam już, kiedy uznałam, że powinnam postąpić w ten sposób. Pewnie wtedy, kiedy doszłam do wniosku, że Robert ukrywa przede mną więcej, niż ujawnia. Uznałam to za krzyczącą niesprawiedliwość, bo ja nie miałam przed nim nic do ukrycia, a on zaledwie pozwalał mi zajrzeć przez dziurkę w murze, którym otaczał swoje życie prywatne. Chciałam dzielić z nim radości i smutki, bo nasz związek grał główną rolę w moim życiu, tymczasem on traktował mnie tylko jak epizod. Lwia część jego energii była skierowana gdzie indziej. Z czasem sama zaczęłam wymyślać jakieś fikcyjne obiady, kolacje i spotkania z przyjaciółmi, żeby równomiernie rozłożyć akcenty po obu stronach i nie wzbudzać w nim tylko litości.

Już następnego dnia postanowiłam wykorzystać zdobyte informacje w ten sposób, że zadzwoniłam do niego do domu. Pragnęłam w jakiś sposób wtargnąć w jego drugie życie, które przede mną zamykał. Najpierw wykręciłam numer aparatu znajdującego się w jego gabinecie. Podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

– Czeeeeść! – zaszczebiotałam najbardziej zmysłowym tonem, na jaki mnie było stać.

– Helena? Ach, cześć, kochanie!

– To nie Helena. To ja.

Przerwa w rozmowie trwała tylko chwileczkę. Robert nie okazał najmniejszego zdziwienia.

– Harriet? Cześć, jak to miło, że dzwonisz.

Nie spytał nawet, skąd mam jego numer!

– Co to za Helena?

Znów nastąpiła krótka przerwa, a po chwili odpowiedź:

– Znajoma. A bo co?

– Nic, tylko zastanawiałam się, kim jest Helena, do której mówisz „kochanie”?

– Coś ty, nie wygłupiaj się.

– No więc powiedz mi, kto to jest? – Sama przeraziłam się nieprzyjaznego tonu własnego głosu.

– Po prostu znajoma.

– Hm.

– Cóż to znowu ma znaczyć?

– Cokolwiek chcesz.

Wiedziałam, że dalsza wymiana zdań w tym duchu do niczego nie doprowadzi, ale nie byłam w stanie jej przerwać. Robert zrobił to pierwszy.

– Słuchaj, wieczorem zadzwonię do ciebie. Tak nie będziemy rozmawiać, bo to nie ma sensu.

– Dobrze! – odwarknęłam, wściekła na niego i na siebie. Jego nic nie ruszało, a ja dęsałam się jak dziecko. Właściwie jakim prawem domagałam się informacji, kim jest tajemnicza Helena? Niby dlaczego miałyby mi to powiedzieć? Owszem, wiedziałam już, dlaczego. Podejrzywałam, że ma inną kochankę, której pozwolił dzwonić do siebie pod prywatny numer telefonu. Im więcej myślałam o tym, tym mocniej utwierdzałam się w swoim przekonaniu.

Przez resztę dnia nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Musiałam pójść na próbę, która ciągnęła się niemiłosiernie. Miałam wrażenie, że dyrygent się czepia, a jego uwagi są bezpodstawne. Grałam byle jak i nie mogłam się doczekać, kiedy wrócę do domu. Po próbie poszłam na drinka z kilkoma kolegami z orkiestry. Udawałam, że świetnie się bawię, bo nie mogłam przecież wyczekiwać w mieszkaniu na telefon!

Oddzwonił punktualnie, musiałam mu przyznać, że był przynajmniej słowny. Ja tymczasem próbowałam zdefiniować to, co aktualnie przeżywałam. Prawdopodobnie rościłam sobie pretensje do wyłączności. Pogodziłam się już z faktem, że muszę dzielić się z Mary, ale jej prawo do niego miało inny charakter. Uważałam ich za współtowarzyszy luksusowej podróży przez życie, których łączył związek małżeński i wspólne dzieci, ale nie

łączył seks. Sam Robert powiedział mi przecież, że jej nie kocha i z nią nie żyje. Nie mogłam natomiast pogodzić się z faktem istnienia innej kochanki, bo to ona stanowiłaby dla mnie konkurencję.

Mógł sobie określać nasz związek jako „przyjaźń nacechowaną seksem” i deklarować, że nie ma nic przeciwko temu, abym i ja miała innych kochanków. Wiedział przecież doskonale, że nie mam nikogo i nie mogłabym mieć, przynajmniej dopóki utrzymywałam z nim intymne stosunki. Nikt nie byłby w stanie wmówić mi, że można uprawiać seks bez zobowiązań i poczucia winy. Chyba tylko osoby całkowicie wyprane ze skrupułów moralnych mogą zmieniać partnerów jak rękawiczki i nic sobie z tego nie robić. Mężczyźni i kobiety obdarzeni przeciętną wrażliwością, do jakich i ja się zaliczałam, nie mogą leżeć nago w czyichś ramionach bez świadomości, że coś dla tego kogoś znaczą.

Przelotne związki bez zaangażowania uczuciowego nigdy mnie nie pociągały. Nawet z Jeremym próbowaliśmy nadać naszemu romansowi głębszy sens i liczyliśmy, że seks nam w tym dopomoże. Natomiast tym razem wydarzenia potoczyły się inaczej, niż planowałam. W związku z żonatym, dużo starszym od siebie mężczyzną widziałam początkowo podniecającą przygodę. Wierzyłam, że będzie mnie uwielbiał i rozpieszczał, podczas gdy ja dostosuję się do jego zasad, nie będę ingerować w jego drugie życie, najwyżej spróbuję przekonać go, że się myli, nie wierząc w miłość. Tymczasem okazało się, że w połowie meczu przesunięto słupki bramki.

Robert, jak obiecał, zadzwonił o wpół do dziesiątej wieczorem. Nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego ani spiętego – przeciwnie, mówił głosem swobodnym i odprężonym. Pierwsze chwile wypełniła nam niezobowiązująca pogawędka, w trakcie której starałam się dostosować do jego nastroju. On pierwszy nawiązał do właściwego tematu.

– No więc, co do Heleny: czy chcesz poznać prawdę, nawet przykrą i bolesną dla ciebie, czy też wolisz dać sobie z tym spokój i niech wszystko zostanie jak dawniej?

– Musisz powiedzieć mi prawdę – zdecydowałam od razu, bo nie uważałam, aby w tej sprawie istniała możliwość wyboru.

Robert wyznał mi więc, że Helena była jego młodzieńczą miłością, znali się jeszcze jako nastolatki. W wieku lat dziewiętnastu był w niej nieprzytomnie zadurzony, ale miała tylu adoratorów, że z ledwością go zauważała. Później każde z nich poszło w swoją stronę – ona wyprowadziła się, poszła na studia, potem on się ożenił, a ona wyszła za mąż.

Na początku wydawało się, że Helena zrobiła świetną partię, bowiem wyszła za prawnika, bogatego i przedsiębiorczego Żyda, właściciela wielu kamienic w ekskluzywnych dzielnicach Londynu. Urodziło się im dwoje inteligentnych i bystrych dzieci, natomiast trzecie przyszło na świat z zespołem Downa. Mąż Heleny nastawał na nią, aby oddała Bena do zakładu opiekuńczego, na co ona nie chciała się zgodzić, bo bardzo chłopca kochała. Mąż odsunął się wtedy od niej i utrzymywał jedną kochankę za drugą, toteż małżeństwo stopniowo rozpadało się, a gdy w wieku piętnastu lat upośledzony chłopiec zmarł, Helena odeszła od męża, czy też raczej wystąpiła o rozwód. W tym okresie ponownie zetknęły się drogi jej i Roberta.

– Jakim sposobem znów się spotkaliście? – zagadnęłam. – Myślałam, że przez tyle lat straciliście kontakt.

– To Helena mnie odnalazła. Nie miała z tym kłopotów, bo wiedziała, że prowadzę przedsiębiorstwo rodzinne. Po prostu zadzwoniła do mojego biura i zaprosiła mnie na kolację. Zgodziłem się, ponieważ Mary w tym czasie przeprowadziła się już do Szkocji i czułem się osamotniony w naszym londyńskim mieszkaniu. Zresztą ciekaw byłem, czy bardzo się zmieniła po tylu latach rozłąki. Helena przyprowadziła ze sobą córkę jako przyzwoitkę, ale Belinda zaraz po kolacji się ulotniła pod pretekstem randki ze swoim chłopakiem. Od razu zrozumiałem, że Helena daje mi zachęcające sygnały. Zadawała mi podchwytliwe pytania, prowokowała do picia... Później sama się przyznała, że zamierzała sprawdzić, czy jeszcze ją interesuję, a jeśli tak, to chciała mnie uwieść. Czowała się wtedy równie samotnie jak ja, a pięćdziesięcioletniej, świeżej rozwódce nie przychodzi zbyt łatwo nawiązywanie stosunków z mężczyznami...

Znałam doskonale takie typy i mogłam bezbłędnie prześledzić tok myślenia Heleny. Jeśli porzuciła męża, który wprawdzie ją ranił, lecz zapewniał wygodne życie, musiała szybko złapać

następnego, z tej samej klasy społecznej, by nadal opływać w luksusy, a przy tym czuć się atrakcyjna i pożądana. Do tej roli świetnie się nadawał dawny wielbiciel, z którym miałaby szansę na przeżycie drugiej młodości. Z punktu widzenia moralności jej motywy nie były bardziej naganne niż moje, ale może mnie łatwiej było z nimi żyć. Po prostu potrzebowałam chłopca, ale podejrzewałam, że Helena jeszcze bardziej.

– Czy nadal jest taka piękna, jak przedtem? – spytałam.

– Owszem, jak na kobietę po pięćdziesiątce jest całkiem atrakcyjna.

Spróbowałam wyobrazić sobie osobę w tym wieku, która pozostawałaby wciąż atrakcyjna, ale nikt taki nie przychodził mi na myśl. Przeciwnie, przypominałam sobie raczej zamożne, starsze damy o pomarszczonych szyjach i wyschniętych, opalonych na brąz ramionach, spędzające wakacje w luksusowych kurortach.

– No i co dalej? – spytałam bezbarwnym głosem.

– Ano to, że przy pożegnaniu uszczypnąłem ją w tyłek, na co ona zareagowała eksplozją namiętności. I tak się to zaczęło...

– W porządku, ale gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla mnie?

– Dla ciebie? A co ty masz do tego?

Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć na tak jaskrawą bezczelność. Mogłam najwyżej wybuchnąć, wołałam więc zmilczeć.

Robert ciągnął swój wywód.

– Myślisz, że to coś zmieni w naszych stosunkach? Dla mnie to jest nieistotne, ale widzę, że dla ciebie nie jest bez znaczenia.

– Owszem, nie jest – odparłam chłodno. – Czy Helena wie o moim istnieniu?

– Skąd, oczywiście, że nie wie.

– Niby dlaczego to ma być takie oczywiste? Zawsze tak się szczyciłeś swoją uczciwością...

– Uczciwość nie polega na robieniu komuś krzywdy. Nie chciałem mówić ci o tym, ale sama domagałaś się prawdy, zresztą uznałem, że na nią zasłużyłaś. W końcu jesteś ode mnie sporo młodsza, atrakcyjna, możesz więc mieć wzdychulców na pęczki. Pochlebiam ci, że akurat mnie wybrałaś, ale nigdy nie zakładałem,

że nasz związek może być czymś więcej niż zaspokojeniem wzajemnego pociągu. Helena jest dużo bardziej od ciebie wrażliwa i przeżyła ciężki szok, a gdyby jeszcze dowiedziała się o tobie, nie chciałaby mnie więcej widzieć. Zbyt wiele wycierpiała z tym draniem, swoim mężem, abym mógł ją dodatkowo ranić.

– Rzeczywiście, biedna Helena! A z jej strony to w porządku podrywać cudzych mężów? Czy wie, że w tym czasie twoja Mary spokojnie pracuje w swoim ogródku?

– One nigdy nie widziały jedna drugiej. Ja oczywiście nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie, ale ona mogłaby równie dobrze zapytać o to ciebie.

– No, a jak wam się udaje w łóżku? – Próbowałam sobie wyobrazić seks z osobą o wysuszonej skórze i powyciąganych cymbach.

– Jeśli już zadajesz takie niedyskretne pytania, to wspaniale.

W tym miejscu musiałam się roześmiać. Robert też zaniósł się spontanicznym śmiechem. Właściwie nie wiedziałam, co mnie tak bawi, ale przypuszczałam, że celowo staram się w ten sposób dowiedzieć, że nie jestem głupia i nie udało mu się mnie zmylić ani zranić.

– No i... – Próbował sprowokować jakąś reakcję z mojej strony.

– No i co?

– Dałabyś już spokój. Czego ty właściwie chcesz? – zniecierpliwiał się. – Tym nowoczesnym kobietom już całkiem odbiło.

– Masz na myśli, co ja chcę zrobić, czy co ja chcę, abyś ty zrobił?

– O to akurat nie pytałem, bo nie mam zamiaru nic robić.

– To się lepiej odpieprz, bo mnie nabrałeś. Miałam być twoją jedyną londyńską dupą!

– Zachwycająco to ujęłaś, ale cię nie nabrałem, bo Helena mieszka w Suffolk.

Zawsze udawało mu się wywołać u mnie poczucie winy, ale tym razem leżała ona wyłącznie po jego stronie. Nie zachowywał się bowiem tak, jak według mnie powinien, czyli wyłamał się z ram mojego scenariusza.

Potrzebowałam trochę czasu, aby przyzwyczaić się do zmiany

charakteru naszego związku. Długo rozmyślałam nad słowami Roberta i zastanawiałam się, jak powinnam się w takiej sytuacji zachować. Nie chciałam się wycofywać i oddawać pola Helenie, bo Robert zdążył porządnie zawrócić mi w głowie i nadal cholernie mnie rajcował. Staralam się traktować nasz związek lekko, aby się zbyt nie zaangażować, bo nie miałam już złudzeń co do jego stanowiska. I tak jednak Helena wszystko popsowała, bo odgrywanie roli drugoplanowej było dla mnie zbyt upokarzające. W końcu wpakowałam się w ten romans głównie po to, aby podbudować swoje poczucie własnej wartości i doświadczyć miłego uczucia kochania i bycia kochaną. Natomiast żadnej przyjemności nie sprawiał mi fakt, że mój kochanek wołał kobietę prawie dwukrotnie ode mnie starszą. Nie próbował nawet ukrywać, że nadal był w niej zakochany. Kiedyś kazał mi spacerować przez dziesięć minut naokoło jego klubu, bo chciał w tym czasie umówić się przez telefon z Heleną. Dziś trudno mi uwierzyć, że zgodziłam się na to, a jednak tak właśnie było.

W gruncie rzeczy należało natychmiast zerwać ten związek. Kilka razy, w rozmowach telefonicznych już prawie do tego dochodziło, ale zawsze odkładałam moment ostatecznego rozstania do następnej randki. Umówił się ze mną na kolację z kilkutygodniowym wyprzedzeniem, a do tego czasu pisał rozczulające listy. Wprowadzały mnie one w zakłopotanie, bo sama się dziwiłam, że chciało mi się odczytywać pięknie wykaligrafowane opisy jego ogrodu, poglądów na różne sprawy i sugestii na temat wartościowych lektur i utworów muzycznych. Z kolei przez telefon zapewniał mnie, że ze mną rozmawia mu się swobodniej niż z kimkolwiek innym.

– A z Heleną? – Nie darowałam sobie tego przytyku. Wprawdzie to ja pierwsza poruszyłam jej temat, ale zawsze prowokowała mnie do złośliwości. Robert jednak nie dał się wyprowadzić z równowagi.

– Nie, bo kiedy rozmawiam z Heleną, przeważnie tylko słucham i wspieram ją duchowo. Nie mam okazji mówić zbyt dużo o sobie.

A to samolubna małpa!, pomyślałam.

W końcu udało mu się uspić moją czujność na tyle, że

przynajmniej częściowo zaakceptowałam tę dziwną i dwuznaczną sytuację. Widywałam się także z innymi znajomymi, chodziłam z nimi na imprezy, czasem się nawet całowałam, ale Roberta trzymałam przez cały czas w zasięgu ręki.

Dzwonił do mnie prawie co wieczór, około wpół do dwunastej. Zwykle o tej porze siedział jeszcze przy biurku, bo miał naturę nocnego marka. Jego Mary była raczej typem skowronka, wstawała wcześniej, więc i wcześniej kładła się spać. Mnie też często jego telefon budził, więc prowadziłam rozmowę zaspanym głosem, aż zęgnął mnie, szepcząc: „Spij dobrze, kochanie. Żałuję, że nie mogę być w tej chwili przy tobie!”. Nie posiadałam się ze zdziwienia, jak on może mówić do mnie w ten sposób i jednocześnie pożądać Heleny.

Któregoś wieczoru podpytałam go, o jakiej porze zazwyczaj dzwoni do Heleny. Wiedziałam, że jest człowiekiem systematycznym, więc na pewno robił to w określonych, stałych godzinach. I rzeczywiście, szczerze wyznał, że dzwoni do niej regularnie o wpół do dziesiątej rano. Nawet kiedy odwiedzały ją dzieci, o tej porze zwykle już wychodziły.

Na próbę zadzwoniłam do niego o wpół do dziesiątej i stwierdziłam, że numer rzeczywiście jest zajęty. Dzwoniłam raz za razem i przekonałam się, że rozmawia z nią przez około pół godziny. Już sobie wyobraziłam, jakie musi płacić sążniste rachunki za telefon!

Jednak w miarę upływu czasu moja zazdrość nie słabła, tylko wzrastała, niczym zielony pęd z ziarna wsadzonego w ziemię. Tak samo nasilała się moja nienawiść do Heleny i wszystkiego, co z nią związane. Celowo zadawałam Robertowi pytania sformułowane w ten sposób, aby z odpowiedzi ukształtował się wizerunek mojej rywalki. Nie potrafiłam inaczej o niej myśleć, chociaż on uparcie temu zaprzeczał.

– Jak możecie być rywalkami, skoro tak się różnicie? – usiłował mi wmówić.

– No, przecież w najlepszym razie rywalizujemy o twoje uczucia.

– Nie macie powodu, bo lubię was obydwie, tylko każdą inaczej. Mam takie szczęście, że nie stanowicie dla siebie konkurencji. No już, dajmy temu spokój i chodź do mnie, moja

śliczna!

Mimo to nadal dąsałam się na niego, a Heleny nienawidziłam, bo zepsuła mi całą przyjemność.

– A czy jej mówisz, że ją kochasz? – dopytywałam się natarczywie.

– Nie, bo uprzedziłem ją, że nie mam zamiaru wchodzić w taki układ i ona na to przystała. Wie również, że nigdy nie opuszczę Mary i rozumie to doskonale.

Jak jasna cholera!, pomyślałam, a głośno zapytałam:

– Jesteś taki pewien? Ciekawe, dlaczego nie żąda więcej od ciebie. Przecież mogłaby jeszcze raz wyjść za męża, prawda?

– Na razie jest na tyle rozsądna, aby cieszyć się z tego, co ma. Uprzedziłem ją zresztą, że nie zamierzam stać jej na przeszkodzie w poznawaniu innych mężczyzn. Należy do tego rodzaju kobiet, które nie potrafią się obejść bez mężczyzny. Czuła się dobrze nawet w tak nieudanym małżeństwie, jak swoje. Sama mówi o sobie, że jest seryjną monogamistką.

– Dlaczego więc nie może dowiedzieć się o mnie?

– Ponieważ w tej chwili nie ma takiej potrzeby. Ona jest zupełnie inna niż ty i nie zniosłaby tego tak łatwo. Obawiam się, że zerwałaby ze mną, a z czysto egoistycznych pobudek nie chcę tego.

– Na jakiej podstawie sądzisz, że ja to łatwiej znoszę?

– Jesteś jeszcze młoda, kochanie, i masz przed sobą całe życie, więcej możliwości i większy wybór mężczyzn w twoim wieku. Poza tym nie załamujesz się tak szybko, raczej dałabyś mi kosza przy pierwszej sposobności, jak temu biednemu Jeremy'emu. To, że nie masz monopolu na moje uczucia, może cię najwyżej denerwować, ale nie jest w stanie cię zranić. A jeśli ci się to nie podoba, zawsze masz prawo ze mną zerwać.

– Mogę jeszcze powiedzieć o wszystkim Helenie! – przypomniałam mu cierpko.

– Nie przypuszczam, abyś to zrobiła – odpowiedział spokojnie, nie podnosząc głosu ani o oktawę.

– A niby dlaczego nie? Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Ponieważ jesteś dość inteligentna, aby zdawać sobie sprawę z konsekwencji takiego postępk.

Rzeczywiście myślałam o takiej ewentualności, ale przede

wszystkim nie znałam nazwiska Heleny, a Robert nie zamierzał mi go zdradzić. Kiedy próbowałam wyciągnąć z niego tę informację, uśmiechał się i zbywał mnie słowami: „Czy masz mnie za idiotę?”.

Tym sposobem blokował mi pole manewru, ponieważ nie znałam także jej adresu ani numeru telefonu. Miał zresztą rację, bo chyba nie zdobyłabym się, aby powiedzieć jej całą prawdę o niewiernym kochanku. Co by mi to właściwie dało? Wystarczający komfort psychiczny i poczucie własnej przewagi czerpałam z faktu, że ja wiedziałam o niej, a ona o mnie – nie. Chętnie wyobrażałam sobie, jak zadowolona z siebie siedzi w luksusowym domu, który zawdzięczała byłemu mężowi i ludzi się, że skutecznie poderwała Roberta. Nie wie biedaczka, że to piękne, czerwone jabłko toczy robak!

Jeszcze mi za to wszystko zapłacisz!, obiecywałam jej w myślach. Nie wiem jak, ale na pewno zapłacisz!

Po mniej więcej trzech tygodniach, odkąd zamieszkałam na farmie „Jeruzalem”, przyjechała mnie odwiedzić Poppy. Była już w czwartym miesiącu ciąży i zaczynał się jej rysować mały brzusek. Złościło ją to, bo gdy chodziła w ciąży z Jess, prawie nic nie przytyła i nie musiała sprzątać sobie specjalnych sukien. Na razie jeszcze nosiła zwykłe dżinsy, ale pokazała mi, że już się jej nie dopinają. Wyglądała natomiast na dużo szczęśliwszą i bardziej zadowoloną z życia niż w tamtej ciąży. Powiedziałam jej to, na co mruknęła: „Rzeczywiście, zupełnie jak krowa!”.

W małżeństwie z Chrisem też ostatnio lepiej się jej układało. Tak jak sądziłam, okazał się całkiem dobrym materiałem na męża. Troskliwy, uważający, uwielbiał zarówno Poppy, jak Jess, a to, że przy tym nie był bardziej interesujący niż woda w rowie, nie było aż tak wielką wadą. Ostatnio często zaglądałam do rowów i stwierdziłam, że i w nich dzieje się mnóstwo ciekawych rzeczy. W jednym, blisko mojego domku, bujnie krzewiły się kwiaty podobne do irysów, stale słychać było plusk wody i inne odgłosy świadczące o nieustannej aktywności.

Prawdziwym cudem w życiu Poppy była Jess – pogodne i szczęśliwe dziecko. Od razu oszalała na punkcie Pilgrima, który też chyba ją polubił. Biegała z nim po ogrodzie, ciągnąc go za obrozę, aż chwiał się na swoich patykowatych nogach.

– To jakiś strasznie bojaźliwy pies! – wybrzydzała Poppy. – Nie mogłaś raczej sprawić sobie takiego, który potrafiłby coś zrobić? Na przykład aportować albo kopać w ogródku?

Jess uczepliła się mojej ręce, kiedy oprowadzałam ją po tej części trawnika, którą udało mi się wykosić. Pokazałam jej starą kosiarkę, którą znalazłam w składziku i próbowałam nią kosić, dopóki nie zapchała się kłęczkami ściętej trawy. Powtórzyłam jej także obietnicę Toby’ego dotyczącą sprowadzenia owiec, które wygryzą trawę przy samej ziemi. Będą to śliczne, brązowo-białe owieczki, takie jak na obrazku w dziecięcym wydaniu Biblii, ukazującym stado Jakuba.

Zaprowadziłam też małą w miejsce, gdzie przydałby się ktoś w rodzaju jej tatusia, aby zawiesić huśtawkę na jabłonce. Obie z Poppy zgodziłyśmy się, że stanowimy raczej negatywne

przykłady wyemancypowanych kobiet. Żadna z nas nie wiedziała, jak należy się zabrać do zawieszania huśtawki, a linka do bielizny, którą próbowałam rozciągnąć między ścianą domku a drzewem, urwała się prawie natychmiast, ale nie wcześniej, niż powiesiłam na niej pranie. Okazało się, że gwóźdź, który wbiłam w fugę między ceglami, nie utrzymał się długo w tym miejscu.

– Chryste, może powinnaś użyć jakichś specjalnych gwoździ albo wiertarki? – wydziwiała Poppy. – Do takich rzeczy przydałby ci się facet. Najłatwiej zwabisz jakiegoś, jeśli będziesz się kręcić koło domu w koronkowej sukience i częstować wzmocnioną lemoniadą.

No, to już jakaś nadzieja, pomyślałam.

Jess miała w tym czasie prawie cztery lata i była czarującym dzieciaczkiem o dużych, piwnych oczach, jedwabistych, brązowych włosach, cerze koloru brzoskwini i ugodowej naturze. Od razu pokochałam ją do szaleństwa. Pokazywałam jej wszystkie zakamarki farmy, takie jak stara zagroda dla świń i obórka, w której, według słów Toby’ego, kiedyś trzymano byka. Obecnie gospodarze sprowadzają sobie pocztą mrożone nasienie i wszystkie te śliczne cielątka, które pasą się na naszych łąkach, są właściwie „dziećmi z próbówki”. W ogrodzie powschodziło też kilka krzaków kartofli, które kiedyś posadził tu jakiś stary, zasuszony farmer. Z dumą pokazałam je Poppy.

– Całkiem ci odbiło – zawyrokowała. – Chodźmy lepiej na piwo.

Później, kiedy już siedziałyśmy w ogródku miejscowej gospody, a Jess uganiała się za hodowanymi przez oberżystę kurkami-liliputkami, Poppy poruszyła temat Roberta.

– Zdążył cię już odwiedzić? – zapytała.

– Nie.

– Czy przez to, że wyprowadziłaś się na wieś, trudniej wam się teraz widywać? A może właśnie o to chodziło? Ustąpiłaś pola Helenie?

Tu już nie wytrzymałam i opowiedziałam Poppy o tej okropnej babie, która była mi solą w oku.

– I tak, i nie. Przecież w ciągu dwóch godzin mogę być w Londynie, a jemu łatwiej zachować dyskrecję tu, gdzie go nikt nie zna. Mam nadzieję, że kiedyś wpadnie, ale tak czy owak, dla

mnie to najwyższy czas, aby zacząć nowe życie. Słuchaj, Pops, jesteśmy równolatkami, a spojrzysz tylko na mnie i na siebie. Masz męża, dziecko, a właściwie półtora dziecka, dom, księgę wieczystą, volvo, niańkę do Jess i Bóg jeden wie, co jeszcze... A ja co? Kupę rupieci i debet na koncie. Dopiero teraz zrobiłam pierwszy krok w stronę jakiejś takiej stabilizacji. Po raz pierwszy w życiu mam stałą pracę i pewny dochód. Koszty utrzymania na wsi są dużo tańsze niż w mieście – sama widziałas, że nie ma tu zbyt wiele do kupienia. Jeśli miałabym zostać starą panną, to też lepiej będzie mi się żyło tu niż w Londynie. Co miałabym tam do roboty? Przesiadywać w knajpach, a nazajutrz leczyć kaca? Dotąd siedziałam i czekałam, aż zacznę prawdziwe życie, ale teraz postanowiłam wziąć sprawę w swoje ręce.

– Myślisz, że poznasz kogoś na takim odludziu? Ciekawe, gdzie się podziewają właściciele tych wszystkich majątków w okolicy? Czy w czasie, kiedy nie robią zakupów u Waitrose'a, nic, tylko zabijają jakieś biedne stworzenia?

– Nie zauważyłaś, że w barze było pełno facetów?

Poppy spojrzała na mnie z niesmakiem.

– No wiesz! Masz na myśli bezzębnych dziadków mamlających nad talerzem czy tych brzuchatych jegomościów w kamizelkach, którzy przychodzą do baru pograć w lotki? A propos, jak długo masz zamiar tolerować idiotyczną sytuację z tą Heleną?

W naszych rozmowach często wracałyśmy do tego tematu. Dla zyskania na czasie bawiłam się nóżką od kieliszka, starając się nie patrzeć Poppy w oczy.

– Widzisz, kiedy rozmawiam z nim, nie wydaje mi się to takie idiotyczne. On zawsze potrafi wszystko przekonująco uzasadnić. Zresztą, jaki mam wybór – przełknąć to albo polubić!

– Zaraz, zaraz... Dopiero co powiedziałaś, że bierzesz sprawę w swoje ręce, więc masz jakiś wybór. Pozycja kochanki jest i bez tego upokarzająca. Wystarczy, że nie możesz na niego liczyć w weekendy ani w święta, które spędza na łonie rodziny, to jeszcze tę resztkę wolnego czasu musisz dzielić z Heleną! Musisz go rzeczywiście kochać, żeby to znosić, ale dopóki tkwisz w tym związku, nie masz nawet szansy na rozpoczęcie nowego życia. I żebyś choć coś z tego miała! Gdzie te futra, brylanty, wypady do

Paryża i inne podobne rekompensaty za niepewną egzystencję kochanki? Mógłby przynajmniej opłacać czynsz za twoje mieszkanie w Londynie.

W tym miejscu przypomniałam sobie ser edamski, więc musiałam się uśmiechnąć.

– Wcale bym tego nie chciała! – zaproponowałam. – Czy sądzisz, że jestem utrzymanką? Nie należę do niego, tak samo jak on do mnie.

– Proszę, jaka niezależna kobieta! Dobrze, dajmy na to, że wystarczy ci, iż widzisz go dwa razy w miesiącu, ale czy tak ma być przez resztę twojego życia? Czy to znaczy, że nie chcesz mieć dzieci? Przepraszam, ale brutalnie mówiąc, czas nie działa na twoją korzyść. Twój pan pewnie wpadłby w popłoch, gdybyś zaszła w ciążę. Próboweś z nim o tym porozmawiać?

– Po co, i tak wiem, że on nie chce mieć więcej dzieci. Myślałam już o tym, ale wiem, że to by oznaczało koniec naszego związku, a z czego wtedy utrzymałabym dziecko? Mam kraść, czy co? Chcę mieć dziecko z kimś, kto też będzie tego chciał.

– No, to zacznym się poważnie martwić o ciebie.

– Ładnie z twojej strony, Poppy, że się o mnie troszczysz, ale wiem, co robię. Sama się zastanawiam, gdzie i kiedy spotkam odpowiedniego kandydata na męża. Sęk w tym, kto zechce się ze mną ożenić. Tylko dlaczego nie miałabym kogoś znaleźć, skoro przedtem miałam facetów na pęczki?

Poppy oparła się o ścianę baru i wyciągnęła przed siebie zgrabne nogi.

– Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że stajesz się coraz mniej atrakcyjną partią – wypaliła bez ogródek. – Mówię ci to wszystko, ponieważ wiesz, że jestem twoją przyjaciółką. Spójrz tylko na siebie z punktu widzenia mężczyzny: jesteś zaledwie nauczycielką gry na skrzypcach, bez majątku, bez większych osiągnięć, a w wieku trzydziestu dwóch lat wciąż jeszcze żyjesz z dnia na dzień. Nie umiesz nawet gotować, nie masz też do zaoferowania innych cnót domowych. Co innego jakaś prawniczka czy księgowa z dobrze prosperującej firmy, która nosi markowe ciuchy, jeździ bmw, ma mieszkanie na Chelsea, oszałamiające pobory i widoki na równie dobrą emeryturę. Taka dama może opowiadać, że nie wyszła za męża, bo świadomie wybrała karierę zawodową. A czym

ty możesz komukolwiek zaimponować? Na razie jeszcze masz ładne włosy i buzię, ale poczekaj, jak trochę pomieszkasz na wsi. Polatasz na słońcu i wietrze w kufajce i gumiakach i ani się obejrzyysz, jak popękają ci żyłki na policzkach. No i nie zapominaj, że czas już nie działa na twoją korzyść.

– Poppy, jesteś niesprawiedliwa! Niby dlaczego nie ma mi się trafić ktoś, kto pokocha mnie taką, jaka jestem? Sądzisz, że nie zasługuję na miłość? W swoim czasie wielu mnie kochało, tylko nie znalazł się wśród nich ten właściwy. A ja już wolę zostać sama, niż wyjść za byle dupka tylko po to, by się nazywało, że mam chłopca!

– Widzisz, panowie po trzydziestce myślą inaczej. Od kobiet w swoim wieku oczekują, że już coś osiągnęły. A ty wciąż czekasz, nie wiadomo na co. Musisz się ruszyć, zacząć korzystać z życia. Jeśli koniecznie chcesz uczyć, wybierz sobie najlepszą szkołę w kraju, nie jakąś klasztorną pensję dla panienek! Jaką masz szansę, że kogokolwiek tam poznasz? Dużo łatwiej byłoby ci złapać męża w koedukacyjnej szkole publicznej.

– Przestań mnie dołować, dobrze? Jeśli już mówimy o tym, czego szukają mężczyźni, to który facet chciałby ożenić się z kobietą wiecznie zestresowaną i ambitną do obrzydzenia? Gdybym była chłopem, wołałabym taką zadowoloną z życia i mało wymagającą babkę, jak na przykład ja. Nie stanowiłabym dla nikogo konkurencji. Gotować też już pomału zaczynam i zobaczysz, jaką kiedyś urzędę imprezę! Przyjedziecie tu z Chrisem i przywieziecie mi jakiegoś bogatego bankiera, który wdycha do ciepła domowego ogniska! Zresztą sama sobie zaprzeczasz. Pamiętam, jak kłóciliście się kiedyś z Chrisem, bo on chciał, żebyś rzuciła pracę i została prawdziwą żoną i matką. Więc czego właściwie chcą ci faceci?

– Imponują im kobiety, które osiągnęły sukces w swojej dziedzinie. Z takimi się żenią, a dopiero potem żądają od nich, żeby poświęciły wszystko dla domu i dzieci. Jeśli zarabiają wystarczająco dużo, chcieliby być jedynymi żywicielami rodziny, bo to daje im poczucie władzy. A propos, czy ten twój Robert chce, żebyś wyszła za męża? Obawiam się, że to nie byłoby w jego interesie. Na pewno by wołał, żeby zostało tak, jak jest.

– Bo ja wiem? Myślę, że nie ma nic przeciwko temu. Może

nawet by się cieszył, że ma mnie z głowy? Ale na razie pewnie woli, żeby nic się nie zmieniło.

Poppy wyszła, niby do toalety, zostawiając mnie samą z Jess i z moim problemem. Długo nie wracała, a gdy z Jess poszliśmy jej szukać, okazało się, że tymczasem dała się namówić na partyjkę bilarda z wyszydzanymi przedtem „jegomościami w kamizelkach”. Zdjęła sweter i obwiązała się nim w pasie, aby nie było widać niedopiętych džinsów. Kiedy nachyliła się nad stołem, aby wycelować kijem w bilę, jej tyłeczek i tak był dwa razy mniejszy od mojego. W drodze powrotnej, w samochodzie, zwierzyła się, że:

– Wiesz, właściwie oni byli całkiem sympatyczni. Ten czarny, Jason, chciał się ze mną umówić na wieczór.

Spoglądałam na nią z podziwem. Poppy czasem wydawała się istotą z zupełnie innej planety.

– Głowa do góry, Hazy! – Pocieszyła mnie. – Wiesz, że właściwie ci zazdroszczę? Przynajmniej możesz swobodnie być sobą, a ja muszę sprostać tylu oczekiwaniom... Wymaga się ode mnie, abym była równocześnie żoną, matką, przyszlą matką, córką, synową i nie wiadomo, czym jeszcze. Dobrze choć, że teraz jestem szczęśliwsza, bo dojrzałam na tyle, aby wiedzieć, że życie jest sztuką kompromisu. Chris świetnie sobie radzi i wstyd przyznać, ale dopiero teraz się zorientowałam, ile on dla mnie znaczy. Zrobię wszystko, by go zatrzymać przy sobie i uczynić szczęśliwym. W pracy ma do czynienia z takimi samotnymi kobietami, jakie ci opisałam. Poznałam niektóre z nich i wiem, że nie przebierają w środkach, aby złapać mężów. Wygryzłyby mnie razem z Jess na bruk, gdyby wyczuły, że mają choćby cień szansy. Ty przynajmniej nie musisz niczego udawać.

Po raz pierwszy zwierzyłam się Poppy na temat mojego romansu z Robertem zaraz potem, jak dowiedziałam się o istnieniu Heleny. Znałam Poppy na tyle dobrze, aby wiedzieć, jak zareaguje. Tym bardziej czułam się głupio i niezręcznie ze świadomością, że potrzebuję powiernika.

– A to skurwysyn! – wykrzyknęła Poppy. – Rzygać się chce od samego słuchania. Taki niby szanowany dżentelmen, człowiek na stanowisku, a prowadzi już nie podwójne, ale potrójne życie! Co za hipokryzja! Z jednej strony kochana żoneczka w Szkocji,

potrzebna po to, aby grzać mu kapcie przy kominku... Na pewno nie rozwiedzie się z nią, skądże! Przecież wyrzuciłaby go na zbity pysk i straciłby ciepłe domowe gniazdko. Woli robić sobie dobrze na boku, bo wtedy sam dyktuje warunki i dba o to, aby zgarnąć całą śmietankę.

– Wiem to dobrze, ale próbowałam spojrzeć na wszystko z jego punktu widzenia. Nie ma powodu rozbijać swojej rodziny, bo nie czuje się w niej źle. Ma udane dzieci, które kocha, a Mary jest dobrą żoną i prowadzi dom na wysokim poziomie, tylko że biedaczka nie lubi seksu. Jest jakaś oziębła czy coś w tym rodzaju, ale to nie powód, żeby obracać w gruzy cały dotychczasowy dorobek i zaczynać od nowa. Nigdy nie ukrywał, że nie o to mu idzie, i był pod tym względem szczery. Tak Helena, jak i ja wiedziałyśmy o tym od początku. Nie wiedziałyśmy tylko o sobie nawzajem. Gdybym w porę usłyszała o Helenie, pewnie nie pakowałabym się w ten romans, choć nie ukrywam, pochlebiało mi, że zainteresował się mną taki przystojny facet. Ona też zapewne pogoniłaby mu kota, gdyby dowiedziała się o mnie, a on nie chce jej stracić.

– A kogo by wybrał, gdyby musiał wybierać między wami? – Poppy zadała zasadnicze pytanie.

– Nie wiem – wyznałam szczerze. – Boję się zapytać go o to wprost. Kiedyś powiedział, że w młodości zawróciła mu w głowie. Chyba celowo mówi mi pewne rzeczy, na przykład, że nigdy mnie nie pokocha. Oczywiście nie powiedziałby tego Helenie, skądże znowu, przecież ona jest zupełnie inna ode mnie i na pewno by go rzuciła! Chryste, jak ja jej nienawidzę!

– W takim razie powinnaś powiedzieć mu, że nie masz zamiaru znosić tego ani chwili dłużej. Postaw go wobec konieczności dokonania wyboru i wtedy zobaczysz, co zrobi. Niby dlaczego miałabyś dzielić się nim z jakąś Heleną? Jeśli wybierze ją, nie jest wart ciebie i śmiało możesz się na niego wypiąć. Zaslugujesz na coś lepszego.

Spróbowałam więc zastosować się do jej rady, ale na następną randkę Robert przywiózł ze Szkocji wędzonego łososia i butelkę białego wina z własnej piwnicy. Najwidoczniej Mary nie zaglądała mu do teczek. Butelkę trzymał w specjalnym pojemniku, który zachowywał stałą temperaturę. Aż szkoda było tylu zabiegów dla

mnie, bo ja, kiedy chciałam schłodzić napoje, wkładałam butelki do zamrażalnika, a żeby je ogrzać – do duchówki. Robert jednak należał do ludzi, którzy nie szczydzili wysiłków, aby wszystko odbywało się dokładnie tak, jak należy. Kiedy po wszystkim leżeliśmy w łóżku przytuleni do siebie i on gładził mnie po plecach, odważyłam się zrobić początek.

– Tak sobie myślałam... – zaczęłam.

– Ojej!

– Cóż znaczy ten wykrzyknik?

– Bo wiem z doświadczenia, że taki wstęp zwykle zapowiada coś nieprzyjemnego.

– Chciałabym, żebyś się na coś zdecydował. – Uniosłam się na łokciu, aby widzieć jego twarz. – Jesteś gotów? No to słuchaj: albo Helena – albo ja! Nie mam zamiaru wiecznie grać drugich skrzypiec. Bardzo mi z tobą fajnie, ale psujesz wszystko, kiedy ode mnie odchodzisz do innej kobiety, robisz z nią to samo i pewnie to samo jej mówisz.

– A właśnie, że nie, a jeśli, to najwyżej w bardzo ogólnym zarysie. Powiedziałem ci przecież, że nasz związek ma zupełnie inny charakter, ale rozumiem, o co ci chodzi. Chcesz, żebym ci od razu dał odpowiedź, czy zostawisz mi trochę czasu do namysłu?

Mówiąc to, nie wyzywał się swej zwykłej flegmy i dalej machinalnie gładził mnie po ramionach.

– No nie, przemyśl to sobie jeszcze. Kiedy dasz mi znać, co postanowiłeś?

– Zadzwonię do ciebie dziś wieczorem.

Robił wrażenie, jakby nic go nie brało; zaczynałam już żałować, że posłuchałam rady Poppy. Była taka ładna i miała tak zadurzonego męża, że najwyraźniej przewróciło jej się w głowie. Liczyłam, że mój frontalny atak wprawi go przynajmniej w lekkie zakłopotanie, ale nic go nie ruszało, pozostał chłodny i obojętny. Ubieraliśmy się w pośpiechu, każde z osobna, prawie nie odzywając się do siebie – on rzucił we mnie moimi majtkami, które wpadły pod łóżko, a potem poprawiał przed lustrem krawat. Nigdy nie znosiłam pożegnań, a już szczególnie w takich okolicznościach. Robert pocałował mnie zdawkowo, zanim wypchnął mnie na korytarz klepinięciem po tyłku, rozejrzawszy się uprzednio, czy nikt tego nie widzi.

Wieczorem zadzwonił jak zwykle, o wpół do dwunastej. Poinformował mnie, że znajduje się w swoim klubie i właśnie ma zamiar położyć się spać. Przemyślał już sobie to, co mu powiedziałam i jego odpowiedź brzmi: „Nie”.

– Co nie?

– Nie mam zamiaru zerwać z Heleną.

Osiągnęłam więc, czego chciałam, i co mi z tego?

– W porządku – odpowiedziałam, chociaż ton mojego głosu zadawał kłam słowom.

– Wiem, że to wcale nie jest w porządku, kochanie. Rozumiem, co czujesz, ale nie chciałbym cię tak zostawiać.

– Aha.

– Będziemy w kontakcie – obiecał.

Tak wyglądało nasze pierwsze rozstanie. Następnego dnia zdałam Poppy dokładną relację. Uważałam, że jeżeli nawet porozumienie, do jakiego doszliśmy, nie było zadowalające, to i tak betka w porównaniu z moim bólem po jego stracie.

– Po co namówiłaś mnie do tego? – Ikałam. – Oddałaś mi niedźwiedzią przysługę!

– Nieprawda, dobrze, że to usłyszałaś – orzekła Poppy. – Teraz śmiało możesz określić pana Mackintosha grubą kreską i zacząć nowy rozdział.

Ten nowy rozdział w moim życiu zaczął się tak, że przez tydzień czy dwa kołam smutek objadaniem się do nieprzyzwoitości. W efekcie moje rzeczy zrobiły się ciasne w pasie. Podczas bezsennych nocy przeżywałam na nowo nasze czule uniesienia, rozpaczając po ich stracie. W tym stanie ducha znalazłam wśród przychodzącej poczty kopertę zaadresowaną znajomym charakterem pisma. Nogi się pode mną ugięły, więc rozerwałam ją gwałtownym ruchem. W środku znajdowała się pojedyncza kartka z jego kosztownej papeterii, a na niej wypisany cztero wiersz:

*Czegóż więc mogę oczekiwać,
gdy opuściła mnie dziewczyna?*

Do lustra wypić flaszkę piwa?

Samotnie trzepać kapucyna?

Jasne więc, że wszystko musiało się zacząć od początku!

Z czasem nauczyłam się akceptować istnienie Heleny jako „tej

trzeciej”, co nie znaczy, że przestałam jej nienawidzić. Przeżyliśmy jednak z Robertem tyle dobrych chwil, że udawało mi się nie myśleć o niej. Staralam się nie wymawiać jej imienia, ale jej cień stale był obecny wśród nas. Zastanawiałam się nieraz, jak często Robert się z nią widuje. Ile razy bez mojej wiedzy przyjeżdżał do Londynu? Czy zabrał ją na wakacje, które spędzał w Hiszpanii? Podejrzewałam, że tak. Mary nigdy nie zostawiała ogrodu w sezonie wegetacji, więc z reguły nie wyjeżdżali razem. Kiedyś wybrał się do Wexford na festiwal muzyki operowej. Ciekawe, czy była z nim Helena? A gdy pojawił się w Londynie z opaloną twarzą i pęcherzami na rękach po weekendzie spędzonym na żaglach, okazało się, że pływał nie gdzie indziej, ale wzdłuż wybrzeży Suffolk!

Podejrzewałam, że Helena wymaga od niego dużo więcej niż ja. Przy tym miała mu dużo więcej do zaoferowania pod względem materialnym, więc spotykali się jak równy z równym. Wyobrażałam sobie, jak w wyłożonym boazerią salonie nalewa mu słodową whisky do szklanki z grubego, rżniętego szkła. Salon był na pewno gustownie umeblowany antykami, bo oboje przywykli do łatwego życia dzięki swoim pieniądzom. Kiedyś przypadkiem odkryłam, że Helena wyjechała po niego na lotnisko. Okazało się, że wypróbowywała nowy samochód. Oczywiście bmw, ze składanym dachem, żeby było śmieszniej. Zabierała go do ekskluzywnych restauracji, kupowała mu drogie prezenty. Zauważyłam kiedyś u niego pióro ze złotą stalówką i emaliowaną obudową. Na moje pytanie, czy to od niej, odpowiedział tylko tajemniczym uśmiechem. Oczywiście kupili go razem na Burlington Arcade, kiedy Helena poprosiła go, aby pomógł jej wybrać kaszmirowy sweter.

Innym znów razem Robert opowiedział mi, jak Helena zarezerwowała dla nich stolik w nowej restauracji Conrana, bo chciała ją wypróbować. Jednak niedokładnie się umówili, wskutek czego ona czekała w sali na piętrze, a on na parterze. Nie doczekali się, więc zjedli w samotności. Żeby było śmieszniej, okazało się, że oboje, nie wiedząc o tym, zamówili to samo, najtańsze danie – risotto. Wiadomo, Szkoci! Robert opowiadał mi to zdarzenie jak dobry kawał, ale mnie wcale nie było do śmiechu. Chyba celowo chciał mnie rozdrażnić historyjką mającą świadczyć

o wyjątkowo poufałym charakterze ich stosunków, typową opowieścią kochanka!

Zacząłam podejrzewać, że zabiera mnie do tych samych lokali, gdzie bywał z Heleną. Kiedyś nie pokazywał się przez miesiąc – okazało się, że Helena w tym czasie brała udział we wspinaczce w Himalajach, organizowanej przez ekskluzywne biuro podróży dla wybrednych klientów, chcących przeżyć dreszczyk emocji gdzieś na krańcu świata. „Odważna dziewczyna, no nie?” zachwycał się, a ja miałam ochotę parsknąć: „Ładna mi dziewczyna!”. Głośno nie komentowałam zasłyszanych informacji, ale w środku skręcałam się ze złości. A najgorzej, że wciąż nie znałam jej nazwiska!

Ktoregoś dnia Robert oświadczył mi, że pokłócił się z Heleną i że była to najpoważniejsza kłótnia w jego życiu. Popsuła mu też humor bardziej niż kiedykolwiek. Świadomość, że ma ona taką władzę nad nim, doprowadzała mnie do szału, bo przy mnie zachowywał się zawsze chłodno i spokojnie. Zapytany o przyczynę kłótni odpowiedział, że pod nieobecność Mary Helena zatrzymała się w okolicy ich domu w Szkocji. Miło spędzali czas, dopóki Helena nie zaczęła wyśmiewać jego „białego małżeństwa”. Nazwała je fikcją i upierała się, że Mary z pewnością wie o niej, tylko dla wygody udaje, że niczego nie zauważa, aby uniknąć bezpośredniej konfrontacji. Uważała, że życie w kłamstwie jest nieuczciwe i świadczy o słabej woli. Jej zdaniem Robert powinien rozwieść się z Mary i pójść za głosem serca.

Rozgniewał się do tego stopnia, że zaczął krzyczeć, a wtedy ona ostentacyjnie odeszła. Wyobrażałam już sobie, jak odmaszerowała na przelaj przez wrzosowiska! Potem jednak się pogodzili, bo Helena przekonała go, że źle zrozumiał sens jej słów. Oczami duszy zobaczyłam tę scenę w tonacji czarno-białej, jak na starym filmie. Helena mogła wtedy nosić sweterek-bliźniak w stylu Deborah Kerr, a Robert, w luźnych, tweedowych spodniach, ścisnął ją za ramiona. Wszystko to działo się na tle wrzosowiska spowitego mgłą i nieba zasnutego chmurami.

– Pewnie byłeś zły dlatego, że powiedziała ci prawdę?

Zanim odpowiedział, przez dłuższą chwilę mierzył mnie wzrokiem.

– Chyba tak – wydusił w końcu.

Jedyną satysfakcję dawała mi świadomość, że ta wszystkowiedząca Helena, tak pewna swojej pozycji, odnosząca się do Mary z pobłażliwą wyższością, nie ma pojęcia o moim istnieniu. Na tym polegała moja przewaga nad nią, chociaż na razie nie wiedziałam, jaki mogę z niej zrobić użytek. Aż nadszedł dzień, kiedy Robert napisał do mnie liścik na odwrocie kartki zadrukowanej innym tekstem. Nieraz, z typowo szkockim upodobaniem do oszczędności, lubił posługiwać się papierem „z odzysku”. Z ciekawości przeczytałam tekst na odwrocie, który okazał się wydrukiem rachunku za telefon,

z billingiem przeprowadzonych rozmów. Wyszczególniono w nim około dwudziestu numerów, które szybko rozszyfrowałam.

Osiem połączeń dotyczyło londyńskich telefonów, z których jeden był mój, a drugi – jego biurowy. Z satysfakcją stwierdziłam, że raz rozmawiał ze mną przez pełne dwadzieścia minut! Spróbowałam zadzwonić pod pozostałe numery i przekonałam się, że jeden należał do jego syna, który pracował w Londynie. Jego głos, nagrany na automatycznej sekretarce, był bardzo podobny do głosu ojca. Po nim następował jakiś telefon służbowy, jeszcze dwa inne i zaczęły się numery kierunkowe central międzymiastowych. Pod jeden z nich Robert dzwonił dwa razy w ciągu dnia. Sprawdziłam u telefonistki, że telefon o tym numerze znajdował się w Southwold, w hrabstwie Suffolk! I tym sposobem byłam w domu!

Skrupulatnie przestudiowałam zarejestrowane godziny rozmów. Na minutę przed pierwszym wykręceniem numeru w Suffolk Robert próbował najpierw dzwonić pod jakiś numer londyński, ale się nie dodzwonił. Jeszcze raz skorzystałam z uprzejmości telefonistki i dowiedziałam się, że ten numer obsługuje centrala w Hampstead. Zadzwoniłam tam i usłyszałam komunikat nagrany na automatyczną sekretarkę, egzaltowanym głosem typowym dla kobiet z klasy średniej. Spróbowałam więc połączyć się z numerem w Suffolk, instynktownie dodając zastrzeżony numer kierunkowy 141. Po trzecim dzwonku w słuchawce rozległ się ten sam głos, przeciągając „Haylo?”.

– Helena? – spytałam.

– Tak, a kto mówi?

Szybko odłożyłam słuchawkę. Na szczęście nie zdążyła mnie

zidentyfikować. W tym momencie czułam się już jak przestępczyni.

Kiedy już namierzyłam Helenę, musiałam zachować ostrożność. Nie mogłam ulec pokusie wykonania zbyt wielkiej liczby tajemniczych, głuchych telefonów, bo wzbudziłabym jej podejrzenia i zawiadomiłaby policję albo zmieniła numer. Musiałam więc nakazać sobie rozwagę i z rzadka dzwoniłam do niej, odkładając słuchawkę, gdy tylko się zgłaszała. Raz czy drugi mówiłam zmienionym głosem, udając, że wykręciłam zły numer. Czułam się wtedy, jakbym rozmawiała z nią wprost. Kiedyś na przykład poprosiłam do telefonu osobę o nazwisku, które właśnie przyszło mi do głowy.

– Pani się chyba pomyliła – oświadczyła rozdrażnionym tonem.

– Ach, przepraszam najmocniej!

– Zaraz, zaraz... Pani chciała mówić z Michaeliem... jak nazwisko?

Typowa reakcja dla Heleny, której wydawało się, że ma w głowie całą londyńską księżkę telefoniczną!

– Michael O’Ryan – zmyśliłam błyskawicznie, bo zaskoczyły mnie jej pytania.

– Nie, pani na pewno się pomyliła – oświadczyła z głębokim przekonaniem. – Pod jaki numer pani chciała dzwonić?

Podalam ten, pod który dzwoniłam, tylko zmieniłam w nim dwie cyfry.

– Źle pani wybrała numer! – pouczyła mnie. Zdziwiła mnie jej władcza natura, bo większość ludzi odpowiedziałaby po prostu „Pomyłka” i odłożyła słuchawkę. Ona zaś potraktowała błędnie wykręcony numer jako okazję do wszczęcia śledztwa. Następnym razem namówiłam więc Loops, aby udawała, że chce poprosić do telefonu jej córkę Belinę.

– Nie ma jej w domu – odpowiedziała Helena. – A kto mówi?

– Koleżanka – bąknęła niewyraźnie Loops.

– Co za koleżanka? Proszę o nazwisko!

– Proszę pozdrowić Belinę. Do widzenia! – wycedziła Loops, a gdy się rozłączyła, skomentowała: Chryste! Co to, agentka policji?

Za pomocą telefonu mogłam teraz potwierdzić moje

podejrzenia, że Robert i Helena wyjeżdżali razem. Kiedy Robert zapowiadał, że leci na dziesięć dni do Nowego Jorku, również Heleny w tym czasie nie było w domu. W dniu swego powrotu dzwonił do mnie, aby umówić się na randkę, ale i Helena była już z powrotem, co poznawałam po zajęтым telefonie u niej. Czasem zostawiał mnie, wymawiając się obowiązkami służbowymi w Londynie, a wtedy sprawdzałam, że i ona była uchwytna pod londyńskim numerem. Raz nawet przysięgłabym, że w tle słyszałam jego głos!

Zdobyte tym sposobem informacje nie przynosiły mi specjalnej korzyści poza świadomością, że zyskuję pewną kontrolę nad sytuacją i nie jestem już całkiem bezradna. Prawdziwie mistrzowskie posunięcie udało się dopiero Loops, która podstępem dowiedziała się nazwiska Heleny! Do wykonania tego telefonu podpuściłam ją pewnego wieczoru, kiedy powzięłam podejrzenie, że Robert wcześniej pożegnał się ze mną, aby spotkać się z Heleną.

– Cześć! – przywitała się Loops z osobą odbierającą telefon..

– Czy mogę mówić z Fi?

Loops miała zwyczaj nazywania swoich przyjaciół i znajomych, prawdziwych czy wymyślonych, oryginalnymi zdrobnieniami ich imion.

Po chwili przerwy odezwała się znów.

– O rany, to z jakim numerem się połączyłam? Z kim mówię? Z uśmiechem triumfu odłożyła słuchawkę.

– Mamy ją! – oświadczyła. – To była chyba jej córka, która mówi, że nazywa się Belinda Caplan. Dużo sympatyczniejsza niż mamuśka, musiała się wdać w tatusia.

A więc znałam już nazwisko mojej rywalki. Teraz dokładnie wiedziałam, kogo mam nienawidzić.

Robert nie miał pojęcia o tych wszystkich działaniach. Celowo udawałam, że przesłam do porządku dziennego nad sprawą Heleny, aby uspić jego czujność. Nie miał również prawa się dowiedzieć, do jakiego stopnia zaprzętała ona moje myśli, ani jakie mordercze plany wobec niej żywiłam. Chętnie przyjrzałabym się jej bliżej, ale tak, aby nie wiedziała, że jest obserwowana. Zanadto była cwana i pewna siebie, myślała, że ze swoimi pieniędzmi i pozycją zawojuje cały świat, więc dobrze by

jej zrobiło, gdyby poczuła jakieś zagrożenie.

– Możesz mnie wynająć, żeby ją załatwiła – podpuszczała mnie Loops, sądząc, że mi całkiem odbiło. – Ale byłyby jaja, gdybym udusiła ją w windzie u Harrodsa albo wepchnęła pod wagon metra! Masz pojęcie, jakie to jest łatwe, kiedy stoisz na peronie w godzinach szczytu?

– Ona pewnie wszędzie jeździ taksówkami – zgasiłam ją. Loops żartowała, nie wiedząc, że ja myślałam śmiertelnie poważnie!

W mojej szkole w Salisbury zaczął się nowy semestr, musiałam więc wziąć udział w zebraniu ciała pedagogicznego. W tym celu poświęciłam cały wieczór poprzedniego dnia na przegląd garderoby, aby wybrać coś odpowiedniego na tę okazję. W końcu zdecydowałam się na długą, czarną spódnicę, którą nosiłam zwykle na występy oraz białą bluzkę, którą specjalnie odprasowałam. W tym stroju, przepisowo pruderyjnym i bezbarwnym, wsadziłam Pilgrima do samochodu i wyruszyłam debiutować w nowej roli.

Wyglądało to mniej więcej tak, jak się spodziewałam i przypominało mi szkołę, do której sama chodziłam. Grono nauczycielskie od razu dało się poznać, gdyż poza jednym czy dwoma mężczyznami, w większości składało się z kobiet w średnim wieku, ubranych szaro i pospolicie. Niektóre, prawdopodobnie nauczające przedmiotów artystycznych, wyróżniały się z ogólnej szarzyzny powiewnymi dodatkami w rodzaju fantazyjnie udrapowanych szali, ale prawie wszystkie miały spuchnięte kostki u nóg i rozklapane buciory dużych rozmiarów. Tu i ówdzie któraś nauczycielka odważyła się błysnąć barwnym akcentem, na przykład jaskrawym sweterkiem, różową szminką do ust czy zielonym cieniem do powiek. Mimo sierpniowego upału wszystkie miały na sobie rajstopy, toteż ja w swoich sandałkach założonych na bose nogi czułam się niekompletnie ubrana. Dla pewności dopięłam bluzkę na ostatni guzik.

Na początku zebrani musieli dopilnować prawidłowego wypełniania dzienników klasowych i układania planów lekcji. Na mnie mało kto zwracał uwagę, bo zatrudnieni w niepełnym wymiarze czasu nauczyciele muzyki zajmowali miejsce na szarym końcu szkolnej społeczności. Moją bezpośrednią przełożoną była panna Arthur, energiczna kobieta około pięćdziesiątki. Zachowywała się wobec mnie przyjaźnie i zachęcająco, podobnie jak inni pracownicy działu muzyki. Niektórych zdążyłam już wcześniej poznać na niwie zawodowej, więc z chęcią wymieniliśmy najnowsze ploteczki ze świata artystycznego. Przydzielono mi nauczanie gry na skrzypcach w kilku klasach

i trochę lekcji indywidualnych. Potem poszliśmy całym działem muzyki na kawę, do której panna Arthur postawiła torbę paczków. Trochę porozmawialiśmy, pośmialiśmy się, a szczególnie miłą atmosferę stworzył specjalista od instrumentów dętych, wybuchający często salwami grzmiącego śmiechu. Odjeżdżałam do domu zadowolona z wyboru pracy, z nadzieją myśląc o następnym dniu.

Mijał pierwszy semestr i milowymi krokami zbliżała się zima. Ja tymczasem coraz bardziej przyzwyczajałam się do nowego życia, choć przez dłuższy czas bałam się wracać do domu po zmroku i w ciemnościach szukać klucza do drzwi wejściowych. Noc na tym pustkowiu sprawiała dużo bardziej przytłaczające wrażenie niż w gwarnej Londynie, oświetlonym latarniami ulicznymi. Życie na prowincji nie sprzyjało osobom samotnym, bo rześkie oświetlone domostwa w sąsiedztwie promieniowały rodzinnym ciepłem. Nawet te, które przez cały tydzień stały puste, w weekendy ożywały ruchem i hałasem za sprawą przyjeżdżających małżeństw z dziećmi.

Na przystanku autobusowym co rano zbierały się grupy młodych matek, odwożących dzieci do szkoły czy przedszkola. Rozmawiały ze sobą, śmiały się i przekrzykiwały z własnymi dziećmi, a ja, mijając je samochodem, myślałam, że z tej grupy jestem wykluczona, choć większość jej członkiń wyglądała ode mnie młodziej. Z długimi włosami, w kozaczkach na wysokich obcasach i z kolczykami w nosach przypominały raczej nastolatki.

Większość tych rodzin mieszkała w małym, komunalnym osiedlu za sklepem. Ich ojcowie pracowali przeważnie na roli, w mleczarni lub dojeżdżali do pracy w dzielnicy przemysłowej najbliższego miasta. W sobotnie popołudnia nieraz widziałam, jak majstrowali przy swoich rozklekotanych samochodach, podczas gdy ich dzieci zataczały na rowerach kółka w ślepych uliczkach.

Inną grupę matek stanowiły te, które angażowały się w akcję dowożenia dzieci do miejscowej szkoły przygotowawczej. Prowadziły duże, wielomiejscowe samochody, zabierając po drodze dzieci z różnych domów. Skręcając w zwirowane podjazdy po jakąś Zosię czy Karolka ucinały sobie przy okazji pogawędkę z ich matką, jeszcze nieuczesaną i z kubkiem kawy w ręku. Przejeżdżając obok tych domów, w biegu chwyciłam migawkę

z ich życia, ale ich mieszkańcy nie interesowali się moim.

Zdawałam sobie sprawę, że odpowiedniejszym środowiskiem życia dla samotnej kobiety są osiedla na obrzeżach wielkich miast. Mogłabym tam brać udział w życiu towarzyskim miejscowej społeczności, chodzić do kina czy baru, a nawet spacerować samotnie w nocy bez wzbudzania sensacji. Na prowincji uchodziłam za dziwadło izolujące się od świata, jak czarownica w dawnych wiekach. Nie mogłam uczestniczyć w życiu tamtejszych rodzin, ponieważ nie miałam z nimi nic wspólnego, żyjąc zupełnie innym rytmem.

Zastanawiałam się nieraz, jak kobiety niezamężne żyły w czasach, kiedy farmę „Jeruzalem” zamieszkiwali jej dawni właściciele, a mniejszą sypialnię ogrzewały ciepłem swych ciał dzieci śpiące na jednym łóżku. Czy ówczesne stare panny potrafiły dopasować się do wymogów wspólnoty parafialnej? Jeśli nie urodziły się w bogatych i ustosunkowanych rodzinach, musiały, tak jak obecnie, same zarabiać na utrzymanie. Panną bywała zwykle nauczycielka wiejskiej szkółki. Jej miejsce w wioskowej społeczności było tradycyjnie na szarym końcu, w jednym rzędzie z niezamężnymi szwaczkami, kucharkami, robotnicami rolnymi i sklepikarkami. Nie szanowano bowiem wówczas kobiet, których nie chciał żaden mężczyzna.

Ja natomiast z własnej woli wybrałam samotność i bardzo ceniłam sobie niezależne życie. Inaczej niż moje siostry z przeszłości, nie musiałam być przywiązana do miejsca pobytu i mogłam elastycznie dostosowywać się do sytuacji. W granicach nakreślonych przez charakter mojej pracy mogłam postępować, jak zechcę, i być tym, kim zechcę. Czulałam się jak ptak przelotny zniesiony z kursu.

Na początku wszystko mnie tutaj denerwowało. Kupiłam sobie dokładną mapę topograficzną z naniesionymi ścieżkami, których gęsta siatka oplatała tutejsze pola i lasy. Dopóki wracałam z pracy za dnia, ścieżki te wyglądały nawet zachęcająco, ale i tak przejeżdżałam tamtędy spięta i czujna. Na każdym zakręcie mogło czyhać niebezpieczeństwo, a za byle krzakiem mógł się kryć morderca lub gwałcieciel! W lasach złowieszczo szumiały gałęzie, a pola wydawały się puste i nieprzyjazne.

Trzeba było tygodni, żebyśmy poczuła się mniej zagrożona,

bardziej obeznana z otoczeniem. Stopniowo nauczyłam się rozpoznawać drzewa. I tak to, które rosło za zakrętem ścieżki, okazało się starym dębem o poskręcanych, wężlastych gałęziach przypominających ręce. Żywopłot składał się z krzewów jeżyny, które we wrześniu pokrywały się smacznymi owocami. Nazbierałam ich tyle, że wystarczyło na sześć słoików dżemu. A znów na tamtym trawiastym zboczu zachodzące słońce prześwitywało przez gaik leszczynowy. W mało spostrzegawczych oczach mieszczucha każde drzewo wydawało się po prostu drzewem, musiałam więc dopiero nauczyć się dostrzegać różniące je cechy.

Musiałam się także przyzwyczaić do drastycznych widoków, raczej niespotykanych w mieście. Pilgrim łapał króliki i przynosił mi ich wiotkie ciała – dobrze przynajmniej, że zabijał je na miejscu! Niektóre z jego ofiar miały oczy zaropiałe lub zaszele bielmem, potem dowiedziałam się, że chorowały na myksomatozę. Nie szokowały mnie już rozjechane borsuki, które czasem znajdowało się na drogach, leżące upazurzonymi łapkami do góry. Kiedyś na pastwisku zauważyłam owcę, która na pozór spokojnie gryzła trawę, podczas gdy spod ogona wyciekała jej krew zmieszana z ropą. Widziałam już także kruki wywlekające wnętrzności z padłych owiec i zdychające jagnię, któremu wydziobały oczy...

Mimo wszystko cieszyłam się, że opuściłam Londyn, zmieniłam tempo życia i zyskałam możliwość odosobnienia. Zaczęłam nawet sobie dogadzać. Takimi małymi przyjemnościami był zakup wyjątkowo delikatnego befsztyka, dywanika przed łóżko, kwiatów na stół kuchenny, ale też dłuższe wylegiwanie się w sobotę, z filiżanką herbaty, radiem i Pilgrimem. Pozbyłam się większości dawnych stresów, co nie znaczy, że zapomniałam o Helenie. Małe radości uprzyjemniały mi codzienne życie, ale zawsze zagrażała mi zmiana nastroju, prowadząca do dołka psychicznego i negacji wszystkich dotychczasowych osiągnięć.

Dopiero teraz doceniłam obecność Pilgrima, który w takich chwilach ratował mnie przede mną samą. Myślałam wtedy o matce, która nigdy nie traciła pogody ducha ani nie narzekała na samotność, chociaż od lat już mieszkała sama. Podczas burz,

przerw w dopływie prądu lub kiedy w nocy wyrwał mnie ze snu jakiś niespodziewany dźwięk, też myślałam o niej, ale ze wstydem. Miałam bowiem wyrzuty sumienia, że okazywałam jej tak mało zainteresowania. Zdawałam sobie sprawę, że jestem tu całkiem sama, więc kiedy w nocy belki chałupy podejrzanie trzeszczały, leżałam w łóżku zeszywniała ze strachu. Próbowалам wciągnąć na górę koszyk Pilgrima, ale wystarczyło, że wpuściłam go do pokoju, wskakiwał na łóżko albo budził mnie lizaniem lub chrapaniem, czego nie znosiłam. Chciałam, żeby strzegł sypialni od zewnątrz, na podeście schodów, ale chart z dwojga złego wolał spać w kuchni, bo tam było cieplej, więc piskiem i drapaniem w drzwi domagał się, by go tam wpuścić.

Z czasem przywykłam do samotnego życia i przestałam się bać wszystkiego, co mnie otaczało. Czułam się tak, jakby nowy dom ostatecznie mnie zaakceptował, przyjął pod swój dach. Ciemność też przestała być groźna, i to do tego stopnia, że kiedy chciałam w nocy wziąć sobie szklankę wody, schodziłam do kuchni, nie zapalając światła. Po omacku czułam pod palcami kształt balasków poręczy, pamiętałam kąt nachylenia schodów. Nawet trzeszczenie starych belek bardziej mnie uspokajało, niż przerażało. Jednym słowem, zdołałam oswoić duchy zamieszkujące chałupkę i przeciągnąć je na swoją stronę.

Matka przywiozła mi parę starych, uroczo wypłowiałych zasłon, które wypatrzyła gdzieś na pchlim targu. Klęcząc na podłodze, dopasowała szerokość zakładu tak, aby odpowiadały wielkością oknom w salonie. Dzięki grubej podszewce odgradzały mnie od zewnętrznego świata równie skutecznie, jak podwójne szyby. Mama odstąpiła mi również niektóre meble ze swego lamusa, w tym stare biurko ojca, które ucieszyło mnie najbardziej.

– Chciał, żebyś je dostała – zapewniła mnie. – Ciekawe dlaczego, przecież nigdy nie miałaś zainteresowań naukowych.

Nauczyłam się zostawiać klucz od drzwi kuchennych w umówionym miejscu pod kamieniem, aby mama mogła wpadać do mnie także pod moją nieobecność. Od tej pory nieraz po powrocie z pracy znajdowałam świeże kwiaty we flakonie lub bochenek chleba domowej roboty z karteczką informującą, że złożyła mi niezapowiedzianą wizytę.

Źródłem nieoczekiwanej satysfakcji stał się również stary piec kuchenny. Odczyściłam go z brudu i zapiekłego tłuszczu, udało mi się także wywabić prawie wszystkie plamy z rdzy. Nauczyłam się, jak ograniczyć zużycie opału, a mimo to utrzymywać żar w palenisku tak w dzień, jak i w nocy. W kuchni zrobiło się teraz tak przyjemnie ciepło, że w chłodne poranki Pilgrim nie chciał wychodzić na spacer. Kiedy schodziłam na dół zrobić sobie herbaty i chciałam wypuścić go na dwór, głębiej zagrzebywał się w posłaniu i udawał, że nie słyszy wołania.

Często kupowałam tańsze mięso, które potem dusiłam cały dzień na małym ogniu. Kiedy wracałam z pracy, już w progu witał mnie apetyczny zapach, a w duchówce czekała gotowa kolacja. Spróbowałam także samodzielnie wypiekać chleb. W efekcie pierwszych prób w ogrodzie piętrzyła się góra twardych jak cegły, nieudanych bochenków; żartowałam, że zbuduję z nich ekologiczny, pełnoziarnisty mur. Wkrótce doszłam jednak do takiej wprawy, że wypiekałam chleb nie tylko jadalny, ale i bardzo smaczny.

Uznałam więc, że najwyższy czas zaprosić Poppy i Chrisa na weekend. Poppy jednak zaprotestowała:

– O, nie, dziękuję! Co byśmy tam robili wśród pól, krów i sapiących byków? Możemy przyjechać najwyżej na dzień. I tak będziesz musiała przesuwac meble, żeby mój brzuch się zmieścił.

Na cześć miłych gości upiekłam kawał wołowiny zamówiony u miejscowego rzeźnika. Chris nie krył swego zachwytu, ale Poppy po obfitym posiłku musiała się położyć na kanapie przy kominku. My z Chrisem i Jess zabraliśmy tymczasem Pilgrima na długi spacer leśną przecinką. Wzięłam Jess za rączkę, a Chris podał mi ramię i bąknął coś na temat, jak ładnie wyglądam i jakie śliczne miejsce wybrałam do zamieszkania.

– Myślę, że słusznie zdecydowałaś o opuszczeniu Londynu. Tu jest tak zdrowo, tak spokojnie... To nawet pasuje do ciebie! – mówił, a para z jego ust tworzyła w chłodnym powietrzu obłoczki. W lesie czuć było wilgocia i pleśnią, a zachodzące słońce poznażyło niebo czerwonymi pręgami. Czulałam się szczęśliwa, gdy Chrisowi zebrało się na zwierzenia. Wyznał mi, że chętnie sam wyprowadziłby się z miasta, zwłaszcza teraz, kiedy Poppy oczekuje drugiego dziecka, ale ona nie chce o tym nawet słyszeć.

Uważa, że na wsi zanudziłaby się na śmierć, szczególnie kiedy Chris przesiadywałby do późna w pracy, a ją zostawiał samą w domu. Te rozważania wprowadziły go w sentymentalny nastrój, więc zmieniłam temat i zaproponowałam, aby nabierał chrustu na podpałkę. Zebrał całe naręczce i wyznał, że całkiem odpowiadałby mu łowiecko-zbieracki tryb życia. Szybko się ściemniło, ale postaliśmy jeszcze trochę, nasłuchując pohukiwania sów.

Po powrocie do domu obiecałam Jess, że na podwieczorek dostanie czekoladowe ciasteczka. Pognała więc budzić Poppy, gdy nagle Chris zatrzymał mnie w drzwiach kuchni, pocałował w usta i wy dyszał: „Och, Hazy!” tonem, jaki później przypisałam chyba... napięciu przedporodowemu. Zareagowałam na to zupełnie jawnym uśmiechem i ostentacyjnie głośno krzyknęłam w stronę salonu:

– Poppy, ten twój chłop jest tak samo kochliwy jak ty. Wyobraź sobie, że próbuje mnie poderwać!

– A niech tam! – usłyszeliśmy stamtąd. – Przez ostatnie tygodnie nie mógł się do mnie nawet zbliżyć!

Cmoknęłam więc Chrisa w policzek i czym prędzej pobiegłam do kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę. Najłatwiej było obrócić wszystko w żart.

Robert nadal utrzymywał ze mną kontakt. Delikatnie dał mi do zrozumienia, że moja wypowiedzka do Somerset nieco utrudnia nasze spotkania, ale nie jest to znów aż tak daleko. Miałam teraz stałą pracę, więc nie mogłam spędzać z nim zbyt wielu godzin popołudniami, ale zawsze zostawały jeszcze święta i weekendy. Czasem nie widzieliśmy się przez pięć tygodni, a czasem aż trzy razy w ciągu pięciu dni. Jazda pociągiem z Salisbury do Londynu zabierała tylko półtorej godziny.

Moja matka była tak miła, że w tym czasie opiekowała się Pilgrimem. Musiałam jednak uważać, żeby się nie wygadać, co wtedy robię i z kim. Głupio się czułam, kiedy potem mówiła: „Ależ bardzo się cieszę, kiedy mogę ci pomóc. Już się martwiłam, że za rzadko widzisz swoich znajomych. Pilgrim nie sprawia żadnego kłopotu, to bardzo spokojny pies”.

Święta Bożego Narodzenia spędziłam w tym roku na łonie rodziny. Moja siostra Isabel, zdolna prawniczka, a przy tym

wzorowa gospodyni i matka trzech synów w wieku lat dwunastu, dziewięciu i siedmiu, zaprosiła nas do swego dużego domu w Richmond. Razem zebrało się nas szesnaścioro, co oznaczało dużo hałasu, lecz i świetną zabawę. Spałyśmy z Loops na polowych łóżkach i przegadałyśmy pół nocy. Z Robertem umówiłam się, że o oznaczonej porze w pierwszy dzień świąt zadzwonię do niego do Szkocji. Zawczasu ofiarowałam mu w prezencie gwiazdkowym myśliwskie skarpety w jadownicie zielonym kolorze pokrytej rzesą wody w stawie. Kupiłam je w wyjątkowo nieprzyjemnym sklepie w Salisbury, gdzie cały personel dawał do zrozumienia, że został stworzony do wyższych celów niż obsługa klientów.

Ostatnio spotkaliśmy się w Londynie na tydzień przed świętami. Robert dał mi wtedy prezent na gwiazdkę – antologię kobiecej prozy o tematyce podróżniczej. Potem spędziłyśmy upojne chwile w łóżku, ale on wstał pierwszy, bo wybierał się na oficjalne przyjęcie.

Obserwowałam, jak ubiera się w aksamitny smoking, gdyż miał na tym przyjęciu wygłosić uroczysty toast. Jedwabna muszka i dobrana do niej chusteczka pochodziły z eleganckiego magazynu. Kiedy wyciągał te rzeczy z błyszczącej reklamówki i odpakowywał z warstw bibułki, nie mogłam się opędzić od myśli, w jakim opakowaniu muszą tam sprzedawać luksusową bieliznę! Tymczasem Robert, podśpiewując pod nosem, analizował przed lustrem szczegóły własnego wyglądu i przyglądał imponującą grzywę włosów. Nie był człowiekiem próżnym, ale jego aparycja dużo dla niego znaczyła. Przypatrywałam się temu, wciąż leżąc nago w łóżku.

– Musisz już wstawać, kochanie! – powiedział z czułością. W stroju Ewy przesłam więc przez cały pokój, żeby wziąć prysznic. Kiedy wyszłam z łazienki, czekał na mnie ze szklanką wina. Podał mi ją, a wtedy opadł ze mnie ręcznik, odsłaniając zaróżowione, parujące ciało.

– Wykapana „Kobieta w kąpeli” z obrazu Rubensa! – orzekł, poklepując mnie po pośladkach.

Przypomniałam sobie te słowa, kiedy wykręcałam jego numer w gabinecie mego szwagra. Jake jest dziennikarzem zajmującym się tematyką naukową, więc zawsze panuje u niego bałagan, a na

każdym wolnym skrawku przestrzeni piętrzą się góry książek i gazet.

Robert zgłosił się od razu.

– Wesołych Świąt, kochanie! Co porabiasz? – Tryskał wesołym nastrojem. Opowiedziałam mu, jak spędzamy święta, podziękowałam za książkę i spytałam:

– A co u ciebie?

– Och, Mary uwielbia uroczystości rodzinne, więc jest u nas w tej chwili w domu dwadzieścia pięć osób. Najważniejsze przyjęcie odbędzie się jutro w porze lunchu. Zaprosiliśmy około sześćdziesięciu ludzi na drinka, a najbliżsi znajomi zostaną na lunch.

Mogłam to sobie z łatwością wyobrazić. Jak widać,

całkiem dobrze obywali się beze mnie, bo do niczego im nie byłam potrzebna. Mogłam najwyżej wegetować na obrzeżach życia rodzinnego mojej siostry, podczas gdy on odgrywał pierwszoplanowe role w niedostępnych dla mnie sferach. Pewnie brylował w nowym, kaszmirowym swetrze otrzymanym w prezencie od Mary, degustował wina i donosił drwa do kominka albo po prostu drzemał w fotelu. Bardzo pragnęłam odgrywać choćby mało znaczącą rolę w tym na pozór zwyczajnym życiu domowym! To, do czego nie miałam prawa, stało się nagle dla mnie najbardziej atrakcyjne. Kiedyś, gdy mu to powiedziałam, zbył mnie żartem:

– Głuptasku, ciesz się, że widzisz mnie tylko z najlepszej strony. W domu prędko zmieniam się w wrzędliwego, starego pierdołę.

– A gdzie teraz przebywa Helena?

– Pewnie w Suffolk, ze swoimi dziećmi. Dopiero w Nowy Rok wybiera się na narty.

– A jaki prezent dostałaś od niej pod choinkę?

Że też musiałam zadać to pytanie!

– Żebyś wiedziała, że nadzwyczajny! Kupiła dla nas dwojga bilety na sezon koncertowy w Salzburgu.

– No, to bawcie się dobrze! – Zakończyłam rozmowę i delikatnie odłożyłam słuchawkę.

Robert już więcej nie zadzwonił, więc chwilę przesiadziałam przy biurku Jake'a z głową opartą na rękach, przytłoczona

bezmiarem smutku. Moje poważne rozmyślania przerwała dopiero Loops, wsadzając głowę w drzwi – Ładny mi nastrój świąteczny! – parsknęła. – Chodź do nas, gramy w szarady!

Po świętach odwiozłam matkę do domu. Samochód miałam pełen prezentów i pozostałego po gościach jedzenia. Przy tej okazji Pilgrim dał się poznać jako zręczny złodziej, bo najchętniej jadł to, co zdołał zwędzić, dlatego podczas podróży każdy sposób był dobry, byle tylko odgrodzić go od placka z kruszonką, szynki i zimnego indyka.

Od momentu, kiedy skręciłyśmy na zachód i miejsce przedmieść zajęły widoki Stonehenge, czułam już, że wracam do domu. Najpierw jednak dowiozłam matkę do jej miejsca zamieszkania. Razem włączyłyśmy ogrzewanie i odkręciłyśmy wodę, sprawdzając, czy wszystko w porządku. Na wycieracze znalazłyśmy kilka spóźnionych kart świątecznych, a na suszarce umyty spodek i filiżankę po kawie. Cały dom sprawiał wrażenie gotowego do natychmiastowego włączenia się na nowo w rytm życia. Nie miałam wątpliwości, że mama radzi sobie z tym życiem dużo lepiej ode mnie.

– Dasz sobie radę, kochanie? A może zostałabyś na noc? – Mama traktowała mnie ze zwykłą dla niej opiekuńczością.

– Nie, dziękuję, mamo! – wymawiałam się. – Jeśli u ciebie wszystko w porządku, to raczej będę lecieć, zanim zrobi się ciemno.

– Tak, oczywiście, masz rację. Miłe mieliśmy te święta, prawda? Takie naprawdę rodzinne...

Na odjeźdym wcisnęła mi butelkę mleka i bochenek chleba przechowywany w zamrażalniku. Na ostatnich metrach drogi na farmę „Jeruzalem” Pilgrim stał już z łapami opartymi o przednie siedzenie i podrygiwał z radości. Nie trwało to długo, gdyż piec zdążył całkowicie wystygnąć i wewnątrz domu wyziębilo się jak lodownia. Wyrzuciłam to, co przywiozłam, na podłogę w salonie i na razie nie miałam zamiaru odpakowywać. I tak leżały tam w nieładzie porozrzucane części garderoby, bo przed wyjazdem ubierałam się w pośpiechu. W kuchni pozostawiłam brudną podłogę, a w zlewie niepozmywane talerze.

Pilgrim zgarbił swój kościsty grzbiet i ostentacyjnie drżąc z zimna, stał skulony nad jakąś plamą na dywanie. Okryłam go

kocem, ale nie okazał wdzięczności i nadal trzął się jak osika na wietrze, patrząc mi w oczy z niemym wyrzutem. Zewsząd wyzierała upiorna pustka, więc pozapalałam wszystkie światła, włączyłam telewizor, otworzyłam butelkę wina, które dostałam na gwiazdkę od rodziców jednego z moich uczniów i spróbowałam rozpalić pod kuchnią. Niestety, drewno było wilgotne, więc bryłki węgla nie chciały się zająć. Pilgrim z niecierpliwości zaczął piszczeć.

– A niech to jasny szlag trafi! – krzyknęłam w końcu, z wściekłością rzucając o podłogę wiązką chrustu. Byłam zbyt przemarznięta, aby się rozplakać.

– Może w czymś pomóc? – rozległ się nagle głos zza okna.

Aluzja do moich rubensowskich kształtów przypomniała mi, że Robert nie był specjalnym zwolennikiem komplementów. Pod tym względem miał w sobie coś z postaci Stanleya, odtwarzanej przez Marlona Brando w filmie „Tramwaj zwany pożądaniem”. Z ust tego bohatera padały teksty w rodzaju: „Raz baba mi mówi «Popatrz, jaka jestem seksowna». A ja jej na to: «Zgoda, jesteś seksowna, no i co z tego?»„. Zdawał się uważać za pewnik, że samo zainteresowanie mną powinno mi już wystarczyć za najlepszy komplement. Rzadko słyszałam od niego, że na przykład pięknie wyglądam, podoba mu się to, co mam na sobie lub że mam ładne włosy, zęby, oczy, cokolwiek... Częściej sama musiałam go prowokować.

– Dobrze mi w tym kolorze? Nie uważasz, że to jest wspaniały odcień błękitu? – Rozpaczliwie usiłowałam wycisnąć z niego choć słowo aprobaty, ale on skąpo udzielał mi tej łaski.

– Nie musisz żądać potwierdzenia swojej atrakcyjności – powtarzał. Wolał żartować z moich wielkich stóp lub „cygańskiego”, jak to nazywał, stylu ubierania się.

– Coś podobnego, to takie rzeczy można naprawdę kupić w sklepach? – Nabijał się z mojej aksamitnej spódnicy.

– Jesteś źle wychowany! – ofuknęłam go w końcu.

– No, głuptasku, przecież nie pragnę cię dla twoich arcydzieł sztuki krawieckiej! Chodź do mnie, jesteś naprawdę dużo ładniejsza bez tych ciuszków. Chyba nie masz mi tego za złe?

Zwierzyłam się Poppy ze swoich problemów.

– To zupełnie normalne – orzekła, wyciągając dużą, ciemną

brodawkę sutkową z buzi nowo narodzonego niemowlęcia. Towarzyszył temu chłupoczący odgłos. Kiedy przełożyła pokrytą delikatnym puchem główkę dzidziusia do prawego sutka, przyssał się do niego jak odkurzacz, pracowicie tankując mleko.

– Jak to normalne? – Nie zrozumiałam.

– Po prostu potrzebujesz ojcowskiego wzorca. Twój tato zmarł, kiedy miałaś osiemnaście lat, prawda? To dlatego zakochałaś się w facecie mniej więcej w takim wieku, w jakim on byłby teraz, i wyłazisz ze skóry, żeby go zadowolić.

– Wiem, że to typowe wyjaśnienie – przyznałam – ale akurat w moim przypadku zupełnie się nie zgadza. Robert w niczym nie przypomina mojego ojca, który był zawsze tak cholernie zasadniczy, jakby nie z tego świata. W życiu nie wplątałyby się w takie intrygi jak Robert! Mój ojciec przez całe życie panował nad swym pożądaniem fizycznym, bo kochał się w Wergiliuszu, Owidiuszu i tym podobnych. Płakał, kiedy czytał nam o śmierci Sokratesa! Typowy mózgowiec, ale kochał nas taką doskonałą miłością, że po jego śmierci rozpaczaliśmy, ale nie czuliśmy żadnego niedosytu. Nie kochał nas za to, że byliśmy mądrzy, ładni czy muzycalni, tylko po prostu za to, że byliśmy sobą, bez żadnych warunków. Żył o wiele za krótko, ale nie przyprowadził nas o żaden uraz psychiczny. Takiego spadku nam nie zostawił.

– Chodź, niech cię ucałuję! – orzekła Poppy. Sama przyciągnęła moją głowę ku sobie i pocałowała mnie w policzek. W tym czasie jej mały Tom, z zamkniętymi oczkami i wyrazem błogości na buzi, miętosił jej pierś małą łapką w kształcie rozgwiazdy. Zapadł w sen równie szybko, jak przerwał ssanie.

– Pozbądź się tego drania – doradziła później, gdy siedziałyśmy już przy herbacie i ciasteczkach. – Albo z nim zerwij, albo przestań się nim tak przejmować. Jesteś dla niego o niebo za dobra.

– Może i tak – przyznałam. – Niech się Helena nim udławi. Zwycięzca bierze wszystko.

Nie mogłam znieść tylko tego, że Helena nie cierpi takich katuszy jak ja. Wydawało mi się, że czerpie same korzyści z romansu z Robertem. On ją wyraźnie adorował, a ona pławiła się w ciepłe jego uczucia. Owszem, denerwowało ją, że nie mógł się z nią ożenić, ale poza tym знаła same dobre strony bycia

kochanką, nie dręczyła jej świadomość, że nie jest jedyną. Oczami duszy widziałam, jak co rano wklepuje w policzki krem przed lustrem, w którym widzi twarz okrywaną jego pocałunkami. Szczotkując włosy, zachwyca się ich ciepłym odcieniem pomarańczowej marmolady, bo wie, że Robert nade wszystko woli rude. Ubiera się, wiedząc, że jej sylwetka i całe ciało są obiektem jego westchnień i pieszczot. Czuje się uwielbiana i pożądana, co łagodzi ból z powodu nielojalności jej męża.

Wprawdzie była przez cały czas oszukiwana, ale nie przeszkadzało jej to, gdyż nie zdawała sobie z tego sprawy. To, że ja znałam prawdę, nie sprawiało mi żadnej satysfakcji, natomiast odbierało całą przyjemność z zalotów Roberta. W każdej chwili uświadamiałam sobie, że zajmuję w jego sercu drugie miejsce. To, co widziałam w lustrze, nie rajcowało go tak bardzo, jak analogiczne części ciała u Heleny – ani moja twarz, ani piersi, ani uda, czy to najważniejsze, co otwierałam przed nim, aby go zadowolić. Ocenił mnie raz na zawsze, przyznając drugą lokatę. Jednak w jego ramionach to wszystko wyglądało inaczej. Kiedy leżeliśmy obok siebie, relaksując się po chwilach największych uniesień, kiedy trzymał mnie czule w ramionach, to co czuł do Heleny całkiem się nie liczyło. Pieścił mnie z takim uczuciem, manifestował moment całkowitego spełnienia tak wylewnie, jednym słowem – robiliśmy „te rzeczy” tak, jakbym była jedyną kobietą na świecie.

– Jesteś wspaniałą dziewczyną – powtarzał. – Nie zasłużyłam na takie szczęście!

Wydawało mu się to wszystko dziecinnie łatwe. Chciał po prostu mieć nas obie.

Mało nie zemdlałam, kiedy w pierwszą noc po Bożym Narodzeniu ujrzałam w oknie czyjąś twarz. Przyciśnięta do szyby, zniekształconymi rysami i niezdrową bladością przypominała upiora z horrorów filmowych. Zdążyłam krzyknąć i w tym samym momencie uświadomiłam sobie, że to przecież Toby.

– Niech cię gęś kopnie, Toby! Aleś mnie przestraszył! – Odetchnąłam z ulgą. – Co tu robisz o tej porze?

– Akurat tędy przejeżdżałem, kiedy zobaczyłem światło w oknie. Na wszelki wypadek postanowiłem sprawdzić, czy wszystko w porządku, bo wiedziałem, że dziś miałaś wracać.

Chciałem zaprosić cię na drinka, ale widzę, że trafiłem na dołek psychiczny.

– Żebyś wiedział, jak mnie przestraszyłeś! Widzisz, jak zbladłam. Rzeczywiście, muszę się czegoś napić.

Nalałam Toby'emu i sobie po szklance chłodnego, czerwonego wina.

– Przepraszam, wiem, że ma mieć temperaturę pokojową, ale w tym pokoju jest zimno jak w psiarni. Na dodatek nie udało mi się rozpalić pod kuchnią.

– Pozwól, niech spróbuję – zaoferował się kochany Toby, zdejmując tweedową marynarkę i kucając przy kuchni. Miał na sobie wełniany sweter i sztruksowe spodnie, opięte na umięśnionych udach.

– Wyglądasz całkiem jak z katalogu Bodena – skomentowałam, stając za nim i popijając wino, które szybko zaczęło uderzać mi do głowy. – Figurowałbyś w nim jako „zarządca majątku ziemskiego, w sztruksowych spodniach koloru kukurydzy i gołębioszarym swetrze”. Dostałeś te rzeczy na gwiazdkę?

Zaczęłam już spekulować, że pewnie ma dziewczynę, która lubi, żeby się elegancko ubierał...

– Nie żartuj ze mnie, jeśli chcesz, abym dalej to robił – odparł chłodno.

Aż mnie zatkało!

– Wcale nie żartuję! – zaprotestowałam. – Co cię napadło?

– Bo tak to brzmiało. Wy, z Londynu, macie całkiem poprzewracane w głowach. Tak się ubieram, bo mi w tym wygodnie, jasne?

– No, już dobrze, nie gniewaj się, naprawdę ani mi w głowie śmiać się z ciebie. Zresztą, spójrz na mnie! – Wskazałam palcem na dzinsy, sweter i wyleniałe, sztuczne futerko pożyczone od Loops. – Sama wyglądam jak łachmaniara, a miałabym się śmiać z cudzego stroju? Toby, przykro mi, że w ogóle mogłeś tak o mnie pomyśleć!

– Dobra już, przymknij się!

Akurat w palenisku buchnął żywy ogień i oświetlił twarz Toby'ego, który dorzucił węgla i zakręcił drzwiczki, a za to odsunął szyber. Nie minęło kilka sekund, a już piec chwycił ciąg.

Zadowolona, dolałam Tobie wina.

– Naprawdę bardzo ci dziękuję! – wyznałam szczerze. – Usiądź, proszę!

Próbowałam na oko ocenić, ile może mieć lat. Pewnie ze trzydzieści trzy? Wiedziałam, że nie jest żonaty, ale, niestety, byłam aż nadto pewna, że nie jest w moim typie. Był jednak miły, no i zawdzięczałam mu, że w domu zrobiło się ciepło. Powoli zaczęłam uprzątać graty zalegające podłogę, a Pilgrim podczołgał się do woreczka z fasolą, którym lubił się bawić.

– Może masz ochotę na indyka, szynkę czy coś z tych poświątecznych reminiscencji? – zwróciłam się do Tobie. – Wstawię je do piecyka i odgrzeją się, zanim wrócimy z baru. A może lepiej zostanemy tutaj? Mam gdzieś schowaną butelkę porto, w mieszkaniu szybko powinno się nagrzać, a zresztą mogę rozpalić w kominku w salonie.

Tobie przeciągnął się leniwie w kuchennym fotelu.

– A wiesz, że to całkiem dobry pomysł? Rzeczywiście, zostanemy raczej tutaj. Chyba już najwyższy czas, żebyśmy się lepiej poznali, prawda?

Tej nocy spiliśmy się z Tobym jak baki. Najpierw wypiliśmy do dna wino, które otworzyłam, potem Toby przyniósł swoje, które, jak się okazało, miał w wozie. Przegryzaliśmy je szynką i indykiem na zimno z ketchupem i chlebem otrzymanym od mojej matki, a kiedy w butelce pokazało się dno, sięgnęliśmy po porto. Przy zasuniętych zasłonach w domku zrobiło się znów ciepło i przytulnie. Na początku czuliśmy się trochę niezręcznie, bo nie znaliśmy się jeszcze na tyle dobrze, aby w pełni się rozluźnić. Rozmowa się nie kleiła, dopóki wino nie rozwiązało nam języków. Atmosfera stała się lżejsza, ale czułam, że za wszystkimi wypowiedzianymi tu słowami coś się kryje. Nie mogliśmy przecież ignorować faktów, że oboje byliśmy stanu wolnego i mniej więcej w tym samym wieku. Prędzej czy później coś musiało się zdarzyć, bo natura nie znosi próżni.

Zapaliłam dla nastroju świece i rozsiedliśmy się wygodnie na podłodze przed kominkiem. W trakcie rozmowy okazało się, że Toby ma masę wiadomości o tych stronach, bo urodził się i wychował niedaleko stąd, a do szkoły chodził w Devonie. Jego krewni nadal gospodarzyli na farmie w sąsiedniej dolinie. Wyznał mi, że kocha to miejsce, a kiedy poskarżyłam się na niedogodności życia tutaj, zwłaszcza dla osoby samotnej, orzekł, że sama jestem sobie winna, bo dzieje się tu mnóstwo ciekawych rzeczy, tylko trzeba zadać sobie trochę trudu, żeby się rozejrzeć.

Zazdrościłam mu jego poczucia przynależności, gdyż z racji swego upodobania do tych stron znał tu praktycznie każdego. On z kolei pozazdrościł mi talentu do muzyki. Nie upłynęło dużo czasu, a już namówił mnie, żebym zagrała mu coś na skrzypcach. Wybrałam kilka polskich kolęd z ich charakterystycznymi, wpadającymi w ucho melodiami. Toby przyznał się, że umie grać na fortepianie i od razu zaproponował, abym zagrała w duecie z nim kilka kawałków na jakiejś kościelnej uroczystości, na przykład wspólnej kolacji w parafialnej sali zebrań z okazji święta Trzech Króli. Nie miałam zbytnej ochoty na taki występ.

– Jestem zawodowym muzykiem – protestowałam. – Gra musi stanowić dla mnie źródło utrzymania...

– Ludzie różnych zawodów nieraz udzielają się społecznie na

rzecz wspólnoty parafialnej! – upomniał mnie. – Księgowi pomagają w prowadzeniu rachunkowości, prawnicy w interpretacji przepisów...

– Dobra, dobra, chwytam, o co ci chodzi – przerwałam mu. – Nie jestem do tego przyzwyczajona, bo nigdy nie żyłam w żadnej wspólnocie. Tam, gdzie przedtem mieszkałam, każdy pilnował swego nosa.

Skorzystałam z okazji, aby wyciągnąć z Toby’ego jak najwięcej informacji o wsi, a szczególnie o „mojej” farmie. Byłam ciekawa, jaki duch tam straszny.

– Wiem, że to głupio brzmi, ale naprawdę wciąż mam wrażenie, jakbym nie była sama. Jakby w tym domu mieszkał jeszcze ktoś oprócz mnie, nikt straszny ani groźny, chciałabym jednak wiedzieć, kto to jest.

Obawiałam się, że Toby parsknie śmiechem, ale nic takiego się nie stało.

– Nie znam zbyt odległej przeszłości tego miejsca, zaledwie jakieś dziesięć lat wstecz – odpowiedział szczerze. – Wtedy też sprowadzili się tutaj jacyś ludzie z Londynu. Natomiast w naszym sklepie można kupić historię naszej wsi. To poważna książka, napisana w oparciu o wiarygodne źródła, a cały dochód z jej rozpowszechniania zasila nasz lokalny budżet. Na pewno znajdziesz w niej wiadomości na temat tej farmy, ale teraz chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o tobie.

– Ciężka sprawa – wykręcałam się. – Właściwie nigdy nie umiałam mówić o sobie. A co konkretnie chciałbyś wiedzieć?

– No więc, zacznijmy od tego, skąd się tu wzięłaś. Opowiedziałam mu wszystko po kolei, nie wspominając tylko o swoich związkach uczuciowych.

– Jesteś zamężna? – indagował Toby.

– Uchowaj Boże! Widzisz przecież, że nie mam obrączki.

– To o niczym nie świadczy, bo możesz jej po prostu nie nosić. To może jesteś rozwiedziona?

– Nie, wolna i nietknięta – rzuciłam lekko. Roberta nie chciałam w to mieszać. – A ty?

Zaskoczyła mnie jego odpowiedź, że był żonaty przez pięć lat, nim się rozwiódł.

– Chryste! Nie chcę być wścibska, ale za młodo wyglądasz,

żeby mieć tyle przejść za sobą.

– Niestety, nie – odparł smutno Toby, wpatrując się w dogasający ogień. W półmroku zalegającym pokój czuł się swobodniej i miał większą chęć do rozmowy. – Ożeniłem się z tutejszą dziewczyną, Susie, córką farmera, z którą znaleźliśmy się od lat. Sęk w tym, że interesowała się głównie jazdą konną, zwłaszcza biegami myśliwskimi i terenowymi. Żyła jakby w innym świecie, a ja stopniowo nabierałem przekonania, że ją tracę. Przemęczyliśmy się jeszcze tak mniej więcej rok, po czym oznajmiła mi, że odchodzi. Obecnie żyje z Davidem Middletonem, specem od konnych polowań z psami. Podobno dobrze im ze sobą. Nawet często ją widuję, ale dla mnie to już zamknięty rozdział.

– Tak mi przykro, Toby. Musiałeś ciężko to przeżyć.

– Po części to moja wina – wzruszył ramionami. – Może nie tyle nie mogłem dostosować się do jej stylu życia, ile po prostu nie chciałem. Trochę potrwało, nim przestałem odczuwać zazdrość, ale w tej chwili nie myślę już o tym bez przerwy, tak jak przedtem.

– Nadal jeszcze ją kochasz?

Toby podniósł głowę, a na jego poczciwej, okrągłej twarzy odmalował się wyraz zakłopotania.

– Teraz chyba już nie. Owszem, dopóki byliśmy małżeństwem, kochałem ją, ale później wybiłem sobie to z głowy, bo bym się chyba wykończył. A najbardziej kochałem ją, gdy miała ode mnie odejść. To było najgorsze w tej całej historii.

– Mogę to sobie wyobrazić, bo zawsze tak jest. A teraz mieszkasz sam? Nie czujesz się samotny?

– Oczywiście, że czasami tak się czuję, ale należę do osób z natury samodzielnych. I tak przeważnie ja gotowałem, a po rozwodzie zostałem w domu, który przedtem zajmowaliśmy, bo to Susie się wyprowadziła. Zresztą przyzwyczałem się, że jeśli nie można zmienić sytuacji, należy się z nią pogodzić.

– Wiem, też tak nieraz robię – przyznałam.

– Myślę, że teraz mam więcej szacunku dla samego siebie niż wtedy. Wielokrotnie podejrzewałem, że dzieje się coś niedobrego, ale bałem się bezpośredniej konfrontacji. Woląłem udawać, że nic nie wiem o jej schadzках z Davidem, bo nie chciałem jej stracić. Wygodniej było schować głowę w piasek, ale na dłuższą metę taka

sytuacja stawała się nie do zniesienia. Czulem się jak zawieszony w próżni, zzerany zazdrością i niepewnością. W którymś momencie wydawało się, że sytuacja się unormowała i wtedy sam siebie przekonywałem, że to tylko ja wyobrażałem sobie niestworzone rzeczy. W pewnym sensie może to i lepiej, że właśnie ona doprowadziła do rozpadu naszego małżeństwa i dała mi swobodę, ale dużo przykrzejsza była świadomość, że poniosłem klęskę. Nawet moi rodzice nie bardzo chcieli wierzyć w taką wersję wydarzeń i niedwuznacznie sugerowali, że wina musiała leżeć po mojej stronie. Problem w tym, że zawsze lubili Susie, a o mnie nie mieli zbyt dobrego zdania. Z czasem jednak zorientowałem się, że to nie mogło skończyć się inaczej i że nie było w tym mojej winy. Susie po prostu przestała mnie kochać, a pragnęła kogoś, kto bardziej do niej pasował. To ona się zmieniła, a ja, nawet gdybym najbardziej się starał, nie dorównałbym jej ideałowi.

– Biedaku, musiało cię to porządnie wnerwić! – Ze współczuciem ucisnęłam jego rękę.

– W swoim czasie rzeczywiście tak, ale cóż, było, minęło.

Stopniowo pod wpływem wina i osobistego charakteru zwierzeń Toby'ego rozwiązywał mi się język. Zwierzyłam mu się więc, że sama też chciałabym zapomnieć o swojej nieszczęśliwej miłości.

– Wiem, że to do niczego nie prowadzi, ale nie mogę już się wycofać – wyznałam szczerze.

– Bzdura! – podsumował Tony. – Na pewno byś mogła, gdybyś tylko tego pragnęła.

Nie chciałam ciągnąć tego tematu. Oczekiwałam od niego współczucia, a nie kazania.

– Chodzisz teraz z jakąś dziewczyną? – Zwekslowałam rozmowę na inne tory.

– Na razie nie na poważnie. Jeszcze nie czuję się na siłach, aby się całkowicie zaangażować.

– To zupełnie tak samo jak ja. Gdybym teraz nawiązała nową znajomość, miałabym wrażenie, że tylko połowa mnie bierze w tym udział.

– No więc czemu te nasze dwie połówki nie miałyby gdzieś razem wyjść? – zaproponował Toby.

– Ależ bardzo chętnie! – Mówiłam to całkiem szczerze. – Będiesz wtedy mógł przedstawić mnie wszystkim twoim znajomym. Może trafi się pośród nich jakiś samotny pan, który zechce się mną zająć?

– To miałyby szczęście! – wypalił odważnie Toby.

W tej chwili zadzwonił telefon. Wiedziałam, kto to może być, więc popędziłam do kuchni, aby nie odkrywać się przed Tobym ze swoją słabością do Roberta. Ledwo jednak podniosłam słuchawkę i powiedziałam »Słucham?“ – usłyszałam odgłos powoli odkładanej słuchawki po drugiej stronie. Kiedy dla próby wykręciłam 1471, numer nie odpowiadał. Po chwili zadzwonił znowu i cała zabawa się powtórzyła. Opisałam więc Toby’emu te dziwne, głuche telefony.

– Ktoś sobie robi jaja. – Wzruszył ramionami i dopełnił moją szklankę. Potem byliśmy już tak pijani, że nie pamiętam prawie nic więcej. Zdołałam jakoś wgramolić się na łóżko, a Toby przespał się na podłodze pod kocem. Nic więc dziwnego, że następnego dnia czuliśmy się dostatecznie podle, aby nie mieć nastroju do rozmowy. Grunt jednak, że wytworzyła się między nami więź przyjaźni. Najlepszy dowód, że po kilku dniach zadzwonił, aby zawiadomić mnie o próbie przed mającym się odbyć koncertem w parafialnej sali zebrań. Postawiono mnie więc przed faktem dokonanym, z czego byłam umiarkowanie zadowolona.

Przy najbliższej bytności w sklepie od razu zauważyłam na ladzie stos książek, o których wspominał Toby. Kartkując jeden egzemplarz, znalazłam w nim gruboziarniste, czarno-białe odbitki starych zdjęć i szczegółowe opisy wszystkich posesji znajdujących się na terenie parafii. Niektóre sięgały czasów Wilhelma Zdobywcy. Kupiłam książeczkę, choć dziesięć funtów wydawało mi się ceną dosyć wygórowaną, ale skoro te pieniądze miały być spożytkowane z korzyścią dla wioski... Zresztą książka była opracowana w sposób naukowy, w oparciu o bogate materiały źródłowe. Do czytania zabrałam się jednak dopiero wieczorem, kiedy usiadłam w fotelu ze szklanką wina pod ręką i Pilgrimem u stóp. Potrwało trochę, zanim odnalazłam właściwą stronę, a na niej następujący tekst:

„Farma «Jeruzalem». Fragmenty wiejskiego dworku liczą

sobie ponad 300 lat. Pani Lucy Sharpstone w roku 1964 w liście do ówczesnych właścicieli posiadłości, państwa Foote, napisała, że domek nie zmienił się od czasów jej wczesnego dzieciństwa, tj. od lat 1890-tych. Już wtedy znajdowała się tam kuchnia, salon, warsztat, piwnica, ogród warzywny, chlew, stajnia, a na pastwisku szopa dla krów. Wyposażenie piwnicy w otwieraną od zewnątrz klapę i w kamienną pochylnię, która mogła służyć do staczania beczek, sugeruje, że w pewnym okresie mieściła się tam być może piwiarnia. Brat pani Sharpstone, Thos Frost, który w roku 1887, na pięćdziesięciolecie panowania królowej Wiktorii, śpiewał w kościelnym chórze, wspominał, że za jego młodości w tej piwnicy trzymano przeważnie ziemniaki i inne produkty. Dworek należał do rodziny Frostów przez blisko 200 lat. W 1848 posiadłość znajdowała się jeszcze w rękach rodziny, której głową był wtedy Henry Frost. Według spisu na rok 1851 miał on żonę Betsy, trzech synów i trzy córki. W roku 1891 na terenie farmy znajdowało się jedno gospodarstwo domowe, zarządzane przez Alicję Frost, dwudziestodzieciuletnią wdowę z sześciorgiem dzieci. Najmłodsze z nich nosiło imię Lucy (może późniejsza Lucy Sharpstone?) Według relacji pani Sharpstone rodzina wyprowadziła się z dworku po śmierci matki w 1895 r. Mniej więcej w okresie między rokiem 1850 a 1890 farmę wcielono do majątku Harston i jej pierwszymi dzierżawcami byli pracownicy majątku”.

Pociągnęłam łyk wina, myślami łącząc się z owdowiałą Alicją i jej sześciorgiem dzieci. Pokoje rozbrzmiewały zapewne ich głosami, a małe nóżki z tupotem wbiegały i zbiegały po schodach. Wyobraziłam sobie, jak musiała być zmęczona, kiedy po całodzienniej harówce siadała wieczorami w kuchni przy świetle lampy naftowej. Ile pracy wymagało samo tylko wykarmienie sześciu gąb! Szczególnie zimą, kiedy dołączało się do tego przenikliwe zimno i wilgoć, wiecznie przemoczona odzież i zabłocone buty. Ciekawe, czy w wieku dwudziestu dziewięciu lat jeszcze pamiętała, że była kiedyś młoda i piękna? Prawem kontrastu moje życie i zmartwienia wydały mi się całkiem niepoważne... Dalsze rozważania nad tą kwestią przerwał dzwonek telefonu. Oczywiście,

kiedy go odebrałam, połączenie się przerwało. Zadzwoiłam

do Roberta i tym razem zastałam go w jego gabinecie, o sześćset mil stąd.

– Słuchaj, musisz powiedzieć mi prawdę, czy Helena wie o mnie? – zażądałam.

– Skąd, kochanie, przecież już ci mówiłem.

– Jesteś tego pewien? Kto inny mógłby do mnie wydzwaniać i odkładać słuchawkę, gdy tylko ją podniosę?

– Ależ zrozum, gdyby Helena jakoś wpadła na twój trop, ja dowiedziałbym się o tym w następnej kolejności. Ręczę ci, że nie utrzymałaby języka za zębami. Jeśli ktoś nęka cię głuchymi telefonami, zawiadom o tym centralę. Oni potrafią takiego dowcipnisią namierzyć.

– No, jeszcze na razie nie jest aż tak źle. To jest tylko denerwujące.

Przed pójściem spać przygotowałam sobie gorącą kąpiel z dodatkiem kosztownego olejku o zapachu cytryny i bazylii. Dostałam go w prezencie od siostry. Wyciągnęłam się na wznak w obłokach wonnej pary i przymknęłam oczy, a wtedy znów przypomniałam sobie o Alicji. Ona nie mogła pozwolić sobie na taki luksus! Zapewne pod ciężkimi spódnicami i grubą bielizną wydzielala rybi odór niedomytego ciała, miała wiecznie zabłocony obrębek sukni, pocerowane pończochy i przepocone pachy. Od zimna i brudu popękała jej skóra na dłoniach, a wąskie, złote pasemko obrączki wrzynało się w obrzękły wskutek odmrożenia palec...

Jakie ciężkie musiało być jej życie! Po tylu ciążyach i porodach jej skóra zwiotczała i powyciągała się, a piersi obwisły i pokryły się drobnymi żyłkami. Ciekawe, czy jej młody mąż zmarł w domu? A ona? Czy pochowano ją na przykościelnym cmentarzu? Czy jej trumna, znoszona ze stromych schodów, obijała się o stopnie jak moje meble, kiedy się wprowadzałam? A czy jej szóstka wystraszonych, osieroconych dzieci płakała na półpiętrze? Zrobiło mi się żal Alicji, że żyła nie tylko krótko, ale smutno i ubogo.

Tej nocy po raz pierwszy wyrwał mnie ze snu atak panicznego strachu. Miałam wrażenie, że gdzieś w nieprzeniknionych ciemnościach coś się rusza. Leżałam z bijącym sercem, czując pulsowanie krwi w skroniach i w napięciu nasłuchiwałam, czy

znów usłyszę ten sam dźwięk. Wtedy z dołu wyraźnie dał się słyszeć odgłos podnoszonej i opuszczanej zasuwki w drzwiach frontowych. Sparaliżowana strachem nie byłam w stanie się ruszyć, a co dopiero sięgnąć po lampę czy słuchawkę telefonu. Leżałam nieruchomo, czekając na najgorsze. Nie rozumiałam tylko, dlaczego Pilgrim nie szczeka? Uderzeniom mojego serca wtórowało obojętne tykanie budzika. Poza tym dźwiękiem cisza aż dzwoniła w uszach.

Po pewnym czasie ochłonęłam na tyle, że mogłam zapalić światło. Czy możliwe, by to mi się tylko przyśniło? Na wszelki wypadek wstałam z łóżka, wzięłam ze sobą lampę, która w razie czego mogła pełnić funkcję zaimprovizowanej broni i podeszłam do szczytu schodów. Zapaliłam światło na klatce schodowej, ale nikogo nie dostrzegłam, nie słyhać też było najlżejszego dźwięku. Ponieważ jednak ze strachu odchodziłam od zmysłów, resztę nocy przeleżałam przy zapalanej lampie. Dopiero kiedy niebo zaczęło szarzeć, usłyszałam zgrzyt roweru pasterza, który, pogwizdując, zjechał właśnie w drogę polną. Wtedy poczułam się bezpiecznie.

Zeszłam do kuchni i spostrzegłam, że Pilgrim nie ruszył się ze swego posłania. Zrobiłam sobie herbatę i zaczęłam się ubierać, ale kiedy spojrzałam przy tym w lustro zobaczyłam w nim twarz bladą i wymęczoną.

Nadal nie przestawałam myśleć o Helenie. Któregoś dnia u Waitrose'a stałam w kolejce do kasy za kobietą,

która z powodzeniem mogła być nią. Na oko miała około pięćdziesiątki, była szczupła, wysoka i zadbana. Ubrana była w szarą spódniczkę do kolan, czarne rajstopy i mokasy na płaskim obcasie, a srebrne włosy modnie przycięte. Jej wózek na zakupy zawierał same zdrowe, lecz i odpowiednio drogie, ekologiczne produkty; na palcu nie dostrzegłam obrączki. Takie właśnie kobiety podobały się Robertowi, a ja przy niej wyglądałam na wielką, niezgrabną, zaniedbaną dziewczuchę.

Wózki na zakupy zdradzają wiele cech osobowości ich użytkownika. Na przykład w moim znajdowało się między innymi opakowanie lodów „familijnych” o smaku orzechowo-karmelowym, które miałam zamiar zjeść na jedno posiedzenie. Nie świadczyło to zbyt dobrze o moim rozsądku. Mało tego, po drodze do domu, na przekór wszystkiemu,

wstąpiłam do smażalni ryb, gdzie kupiłam sobie całego dorsza i dużą porcję frytek. Posoliłam to obficie i jadłam prosto z zatłuszczonego papieru. Elegancka dama z kolejki pewnie w tym czasie dystyngowanie podjadała sardynkę z rusztu, a do niej zieloną sałatę skropioną sokiem cytrynowym... A, niech tam je na zdrowie!

Teraz już znałam nazwisko i numer telefonu Heleny, ale jeszcze nie namierzyłam dokładnie jej miejsca zamieszkania. A miałam przecież wziąć pod obserwację jej dom, aby ją zabić! Tyle, że dziwnym trafem ostatnio dosyć dużo pisano w gazetach o kochankach, które mordowały rywalki. Jak na złość, wszystkie ponosiły klęskę, bo nawet jeśli zabójstwo doszło do skutku, szybko wykrywano i aresztowano sprawczynię. Pozostawały im tylko spektakularne akty skruchy, tłumaczenie się chwilową niepoczytalnością spowodowaną napadem patologicznej zazdrości. Jako narzędzia zbrodni używano na ogół pistoletu, noża, trucizny lub samochodu. Nie odnotowano jak dotąd przypadku zatłuczenia rywalki na śmierć bochenkiem pełnoziarnistego, ekologicznego chleba, ale całkiem poważnie brałam pod uwagę taką możliwość.

Nieraz w samotności rozmyślałam o tych kobietach, które przed popełnieniem zbrodni prowadziły całkiem normalny tryb życia. Wykonywały różne zawody – pracowały jako rejestratorki w gabinetach lekarskich, urzędniczki w przedsiębiorstwach budowlanych lub fryzjerki. Znalazła się wśród nich nawet żona farmera, sfotografowana we wdzięcznej pozie z krową na pastwisku – o myślącej, nieumalowanej twarzy z wydatnymi rysami. Inna zbrodniarka okazała się pięćdziesięcioczeroletnią dyrektorką szkoły podstawowej. Sąsiedzi tych pań określali je jako miłe, towarzyskie osoby, udzielające się społecznie, dobre żony i matki. Zazwyczaj wszystkie one wychodziły za mąż z miłości. Gotowały, prasowały, szorowały podłogi, jeździły autobusami, rezerwowały miejsca na wakacje, kochały dzieci i zwierzęta, wieczorami oglądały telewizję i nagle, ni stąd, ni zowąd, przeobrażały się w morderczynie. Czy to samo stałoby się ze mną? A właściwie – czy to ja chciałam zabić Helenę, czy to ona usposabiała mnie do takich myśli?

Telefony od Roberta coraz bardziej mnie denerwowały.

Czasem rozmawiał krótko, wymawiając się zmęczeniem. Kończył wtedy rozmowę zdawkowym: „Muszę już lecieć. Pa, kochanie!”. Nigdy nie tracił czasu na czule słówka, a nieraz sprawiał wrażenie, jakby załatwiał służbowe rozmowy, aby potem odhaczyć je w swoim terminarzu. Zaczynał od „Jak się masz?”, ale wiedziałam, że nie oczekuje szczegółowych wynurzeń, więc odpowiadałam lakonicznie „Wszystko w porządku”, czyli tak, jak tego chciał. Kiedy indziej znów różniliśmy się nastrojem. Bywało, że dzwoniłam do niego, bo czułam gwałtowny przypływ miłości, chciałam podzielić się z nim szczególnie miłym wspomnieniem chwil spędzonych razem lub po prostu usłyszeć jego głos. Jak na złość, akurat wtedy nie mógł podejść do telefonu, był zajęty lub rozkojarzony. Jeżeli mówiłam mu, co o tym myślę, prawił mi kazanie: „Nie wyobrażaj sobie, że będę zawsze na twoje zawołanie tylko dlatego, że właśnie masz ochotę porozmawiać. Ja nie dzwonię do ciebie, kiedy jesteś w pracy”. To akurat było prawdą!

Za którymś razem bezczelnie zapytał, czy nie cierpię czasem na napięcie przedmiesiączkowe. Tym zupełnie wyprowadził mnie z równowagi, bo sugerował, jakobym zachowywała się inaczej niż zwykle. Nie rozumiał, iż chciałam tylko wyczuć z tonu jego głosu, czy rozmowa ze mną sprawia mu przyjemność, choćby mówił mi właśnie, że w tej chwili nie może rozmawiać. Nie mogłam natomiast znieść jego chłodu i aptekarskiego wydzielenia czułości. Po takiej rozmowie zazwyczaj zdejmowałam kurtkę z kołka, wołałam Pilgrima i ruszałam na przechadzkę. Taki późnojesienny spacer błotnistymi ścieżkami, pod wiatr, z rękami w kieszeniach, często w strugach deszczu, dokonywał cudownego oczyszczenia, a jeśli trwał dostatecznie długo, ruch na świeżym powietrzu poprawiał mi humor. Czasem po powrocie do domu pisałam do Roberta kartkę z przeprosinami. Zdarzało się także, choć nieczęsto, że w pamięci mojego telefonu znajdowałam jego numer, co świadczyło, że dzwonił do mnie pod moją nieobecność. Nieraz zastanawiałam się, czy tak samo postępuje wobec Heleny i czy jej tak samo zależy na nim jak mnie? A on, czy też mrozi ją swą nagłą oschłością? Zaraz jednak odpowiadałam sobie, że na pewno nie ośmieliliby się tak postąpić, bo nie chciałby jej stracić.

Kiedyś, w chwili zadumy, przyznał mi się, że chyba czasem źle mnie traktuje. Oczywiście żarliwie temu zaprzeczyłam, ale kiedy

później przemyślałam te jego słowa, doszłam do wniosku, że właściwie dobrze, iż zdał sobie z tego sprawę. Z drugiej strony jednak zaczęłam się obawiać, czy nie dzieje się ze mną to samo, co z maltretowanymi żonami pijaków i sadystów, którym daje satysfakcję choćby krótkotrwała skrucha gwałtownika.

Błędem jednak byłoby sądzić, że między nami coś zaczęło się psuć. Przypuszczam, że raczej zmienił się charakter naszej znajomości, i choć mnie to nie zachwycało, to wciąż przeżywaliśmy razem cudowne chwile. Urządziliśmy kiedyś wypad do Londynu i spędziliśmy wspaniałą godzinę w teatrze „Globe”. Obeszliśmy najpierw scenę dookoła, a potem stanęliśmy przed nią, trzymając się za ręce, jak para gapiów. Zaczęło akurat padać, trzęsłam się z zimna, wtedy Robert spojrzął na mnie z czułością i odsunął mi z czoła pasemko mokrych włosów. Pocałował mnie w czoło i przycisnął do siebie tak, aby otoczyć mnie ramionami, a swój podbródek oprzeć na mojej głowie. Poczulałam potężny przypływ miłości, co było szczególnie zrozumiałe w miejscu, gdzie rozegrało się tyle ludzkich tragedii i namiętności.

Wkrótce potem przeczytałam jednak w pewnym kobiecym piśmie artykuł zatytułowany: „Jak poznać, czy on nie oszukuje?”. Wymieniono w nim objawy świadczące, że w związku między kobietą a mężczyzną pojawiły się pierwsze rysy. I tak, pocałunek w głowę był, według autorów, zarezerwowany dla dzieci i psów. Nie miał natomiast racji bytu w związku o charakterze erotycznym, a więc powinien wzbudzać podejrzenia.

Toby nie zamierzał odpuścić mojego udziału w parafialnej imprezie artystycznej. Dwa dni po naszej wspólnej popijawie, w martwym sezonie między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, zaprosił mnie na próbę.

Powtórnie usiłowałam się wymówić, używając pretekstu, że zawodowi artyści nie powinni występować w amatorskich przedstawieniach ze względu na słabe umiejętności reszty wykonawców. Toby jednak utracił ten argument, proponując mi występ solowy. Nie miałam już wykrętu i musiałam, mimo wiatru i deszczu, pojawić się w sali zebrań z plikiem nut i skrzypcami w futerale. Toby czekał już na mnie, wypróbowując efekty świetlne i ustawiając dwie inne osoby, których nie znałam. Na zakurzonej scenie stała kilkunastoletnia dziewczyna z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Wyglądała dosyć załośnie – prawdopodobnie ją też, jak i mnie, zmuszono do udziału w spektaklu.

– Wspaniale! – zakrzyknął radośnie Toby, wskakując na scenę i otwierając wieko fortepianu. – Dziękuję, że przyszlście w taką psią pogodę. Gdzie jest Ned? Obiecał, że też przyjdzie.

– Jeszcze go nie ma – odpowiedziała kobieta w średnim wieku, o przyjemnej, otwartej twarzy, która jeszcze nie zdążyła zdjąć wełnianej czapki. Uśmiechnęła się do mnie zachęcająco.

– Wszystko jedno, zaczynamy! – postanowił Toby. – Wiecie państwo, to nie ma być prawdziwy koncert, tylko taki przerywnik, przez jakieś pół godziny po kolacji, zanim goście wstaną od stołu. Potem przewidziana jest dyskoteka dla młodzieży, bo starsi pewnie już wyjdą... Zaszczyciła nas swoją obecnością znana śpiewaczka, Jenny Johnson. – W tym miejscu kobieta w średnim wieku skłoniła głowę. – I zawodowa skrzypaczka, Harriet Lennox. – Teraz ja musiałam uśmiechem podziękować za prezentację. – Karolina zagra na flecie... – Nastolatka kręciła się niespokojnie. – Ja będę walił w klawisze. Ned ma przywieźć syntezator, Lester zagra na trąbce i to chyba powinno wystarczyć. Teraz musimy ułożyć jakiś program i zobaczymy, jak to nam razem wyjdzie.

Jenny miała już przygotowany repertuar i zamierzała się go trzymać. Toby'emu udało się dyplomatycznie przekonać ją, aby

ograniczyła występ do czterech utworów. Od razu je przećwiczyli z jego akompaniamentem na fortepianie, zresztą bardzo biegłym. Miała sopran tak nośny, że odbijał się od krokwi dachowych. Swoje numery popisowe słusznie wybrała spośród ogólnie znanych piosenek z najnowszych musicali. Karolina nieśmiało wyjąkała, że zna tylko dwa „kawałki”, które przygotowała na egzamin z muzyki. Należała do nich skoczna melodia francuska i piosenka ludowa w aranżacji Arnolda. Zaproponowałam jej akompaniament i przećwiczyłyśmy wspólnie te utwory. Wypadły nieźle, ale Karolinę zżerała straszna trema. Uspokoila ją nieco wiadomość, że jestem nauczycielką, jakby dopiero teraz nabrała przekonania, że znajduje się pod dobrą opieką.

– Przyda ci się taki trening – orzekłam. – Kiedy będziesz zdawała ten egzamin?

– Pod koniec semestru – wyszeptwała.

– Ty, Harriet, tak łatwo się nie wywiniesz – zwrócił się do mnie Toby. – Co jeszcze możesz dla nas zrobić?

– Może zagram takie same piosenki ludowe jak te, które słyszałeś? – zaproponowałam.

Na początek wybrałam szczególnie chwytliwą melodię, zatytułowaną „Samotna pasterka”. Słuchacze nagrodzili ją brawami, na co odpowiedziałam markowanym ukłonem.

W czasie gdy grałam, zjawił się Ned, wpuszczając przez otwarte drzwi podmuch lodowatego wiatru. Od razu rozpoznałam faceta, który co rano uprawiał jogging za moim płotem. Łatwo było go zapamiętać, ponieważ biegał w towarzystwie psa rasy collie, popychając przy tym przed sobą małą dziewczynkę w wózku inwalidzkim. Często z uśmiechem machałam do nich ręką i zastanawiałam się, kim są.

Ned był wysokim chudzielcem z szopą brązowych włosów, które wyglądały, jakby dawno nie widziały grzebienia. Do tego miał jeszcze zwyczaj przeczesywania ich palcami do tyłu, dopóki nie stanęły sztorcem. Nosił dzinsy i workowaty, wełniany sweter. Jakoś nie wyglądał mi na kogoś, kto ma stały etat – raczej na pisarza lub artystę, w każdym razie na przedstawiciela wolnych zawodów.

– Przepraszam za spóźnienie, ale musiałem czekać, aż Nicky wróci z pracy. Wiecie, nie mamy opiekunki do dziecka. – Teraz

zwrócił się do mnie:– To było naprawdę uroczne. Szkoda, że tak wpadłem w trakcie gry i nie słyszałem początku.

– Dziękuję – odpowiedziałam zdawkowo, ale okraśliłam to uśmiechem i poczułam, że od razu polubiłam tego człowieka.

Po krótkiej dyskusji dotyczącej partii na syntezator i trąbkę Toby wyjął notatnik i zapisał kolejność poszczególnych punktów programu. zaproponowałam, że zagram coś na wejście, żeby przełamać lody i rozluźnić atmosferę.

– Na początku ludzie nie będą jeszcze uważnie słuchać – sprzeciwił się Toby. – Przy zajmowaniu miejsc powstaje zawsze straszny bałagan...

– Nic nie szkodzi – uspokoiłam go. – Przecież sam mówiłeś, że to nie jest prawdziwy koncert!

Po skończonej próbie przenieśliśmy się do pobliskiego baru. Karolina zamówiła sok jabłkowy i usiadła w kącie z taką miną, jakby miała za chwilę umrzeć. Toby zaoferował się odwieźć ją później do domu, a ja przysunęłam się do niej, ale widać było, że próby nawiązania rozmowy męczą ją jeszcze bardziej. Ned usiadł z nami po przeciwnej stronie stołu.

– Gdzie pani mieszka? – zagadnął, maczając usta w kuflu piwa.

– Na farmie „Jeruzalem”. Prawie codziennie widzę, jak pan biega pod moimi oknami z całą obstawą. Często do was macham.

– Rzeczywiście, próbuję jednym strzałem strącić trzy ptaszki!
– Roześmiał się. – Staram się dbać o swoją kondycję, zaliczyć spacer z psem i rozerwać trochę Dido. Tak, teraz poznaję panią, tylko zanim wdrapię się pod górę z tym wózkiem, mam taką zadyszkę, że nie jestem w stanie wykrztusić nawet „Dzień dobry”!
Pani ma, zdaje się, charta?

– Tak, przygarnęłam biedaka ze schroniska.

– A można wiedzieć, czym się pani zajmuje?

– Mam raczej nudną pracę. Po prostu uczę muzyki w szkole w Salisbury. A pan? – Podsunęłam mu paczkę chipsów. Zacerpnął z niej pełną garścią.

– Właściwie jestem bardziej elektronikiem niż muzykiem... nagrywam podkłady muzyczne, rozprawdzam kasety... W domu mam studio nagrań. Mieszkam w Mili Cottage, to jest w następnej dolinie za pani domem.

– A co robi Nicky?

– Jest fizjoterapeutką, ale pracuje tylko przez trzy dni w tygodniu ze względu na Dido. Kiedy jest w pracy, ja przejmuję...

W tym momencie ktoś nam przerwał, ale i tak dowiedziałam się dużo ciekawych rzeczy. Pomyśleć, jak świetnie niektóre małżeństwa umieją zorganizować sobie życie!

Wymieniono jeszcze trochę uwag, wyznaczono datę następnej próby, wreszcie Toby zarządził:

– Jedźmy już, Karolino, bo twoja matka nie da mi żyć!

Wstałam, aby mogła wyjść z za stołu, a wtedy i wszyscy inni zaczęli się żegnać. Toby podał Jenny jej okrycie, a potem zwrócił się do mnie:

– Może umówilibyśmy się na drinka jutro wieczorem? Zresztą jeszcze się zdzwonimy.

– Cudownie! – zgodziłam się skwapliwie. Ned też wstał, co obecni potraktowali jako sygnał do opuszczenia lokalu. Wyszliśmy całą gromadą i biegiem, skuleni, walcząc z wiatrem i deszczem, dotarliśmy do parkingu. Zapalając swój samochód, myślałam, jaki ten Ned jest sympatyczny, a nawet przystojny. Co z tego, kiedy nie dla mnie.

Podczas ferii zaplanowałam wypad do Bath po zakupy. Trwał wówczas sezon wyprzedazy, a ponieważ Poppy zaprosiła mnie na sylwestra, chciałam sprawić sobie jakiś nowy ciuch. Od dawna nie kupiłam już sobie nic nowego, a podejrzewałam, że znajomi Poppy będą szpanować londyńską elegancją. Długo łąziłam po sklepach na High Street, ale na wieszakach nie dostrzegłam nic, na czym można by zawiesić oko. Wreszcie wypatrzyłam szykowną sukienkę o kroju koszulki w moim rozmiarze i dopchałam się do wspólnej przymierzalni dla kobiet. Tłoczyło się ich tam mnóstwo, mniej lub bardziej rozebranych. Przeważnie miały długie, smukłe nogi i płaskie brzuchy. Teższe panie chowały się po kątach, próbując wcisnąć przymierzone sukienki na ubranie, aby odsłonić jak najmniej ciała.

Znalazłam sobie nareszcie jakiś ustronny kącik, i myśląc „A niech tam!” zrzuciłam sweter i džinsy. Zwróciłam przy tym uwagę na moją bieliznę i przyszło mi do głowy, aby fundnąć sobie u Marksa i Spencera nowy komplet. Miło mi było bowiem wiedzieć, że pod ubraniem mam coś egzotycznego, połyskliwego

i niesłuchanie seksownego. Robert nie zwracał zwykle uwagi na bieliznę. Raczej starał się ją zdjąć jak najszybciej, bowiem bardziej interesowało to go, co jest pod spodem. Z dwójga złego wolałam jednak takie podejście od postępowania tych facetów, którzy specjalnie kupują swoim żonom lub kochankom przezroczyste ciuszki z czarnego nylonu z otworami w kroczu... Przyszło mi to na myśl podczas rozpaczliwych prób wbicia się w sukienkę. Zdołałam dociągnąć zamek zaledwie do połowy, bo była dużo za ciasna. Sprawdziłam metkę, ale widniał na niej rozmiar 14. Chyba pomylili metki! Ściągnęłam wreszcie z siebie tę kieckę i musiałam od nowa się ubrać, aby w hali sklepowej złapać którąś ekspedientkę.

– Ależ to na pewno jest czternastka – potwierdziła. – Podać pani szesnastkę?

– Nie chcę! – warknęłam, ale w końcu dałam się namówić na przymiarę takiej samej sukienki w większym rozmiarze. Jednak nawet ta była mocno obcisła, co podziało na mnie przynębiająco. Mało co potrafi człowieka tak zdołować, jak próby wbicia się w ciuchy, które okazują się za małe. Świadomość, że ma się osiemdziesiąt centymetrów w pasie i nosi się rzeczy numer 16, nie nastraja zbyt optymistycznie, zwłaszcza kiedy wokoło kręcą się wiotkie jak gałązki czternastoletnie panienki, na których bezpłciowe sylwetki świetnie pasuje większość konfekcji. W porównaniu z nimi rzeczywiście wyglądałam jak modelka Rubensa! Zwróciłam uwagę, że w całej przymierzalni, poza jedną damą w średnim wieku, zresztą także dość szczupłą, oprócz mnie mało która klientka przekraczała granicę wieku osiemnastu lat i rozmiaru numer 10. Zauważyłam, że ta jedyna dojrzała kobieta mnie obserwuje, więc posłałam jej porozumiewawczy uśmiech, ale ona pospiesznie spojrzała w inną stronę.

Zrezygnowałam z kupna sukienki i wyszłam ze sklepu. Jasne było, że moje ostatnie próby odchudzania zakończyły się fiaskiem. Zaczęłam więc układać dokładne plany, jaki reżim dietetyczny zastosuję, aby pozbyć się nadwagi. Kiedyś mi się to udawało, ale ostatnio, jeśli nawet za dnia potrafiłam zachować silną wolę, to wieczorem już zaczynałam myszkować w spiżarni, szczególnie kiedy czekałam na telefon od Roberta.

Zawsze zazdrościłam dziewczynom, które traciły apetyt, kiedy

przeżywały zawód miłosny. Ze mną było odwrotnie – traktowałam jedzenie jako środek znieczulający. Najgorzej obżerałam się wieczorami, do poduszki, a potem szłam spać, wyrzucając sobie słabą wolę i brak umiaru. Skutki nie dały długo na siebie czekać – przybywało sadelka, stanik wrzynał się w ciało, a piersi wylewały się z miseczek. Spodnie coraz trudniej się dopinały, spódnice trzymały się na agrafce... A wszystko przez Roberta i Helenę! Wracały wspomnienia o tłustym dziecku wyśmiewanym przez inne dzieci i porównanie do postaci z obrazów Rubensa. Helena z pewnością była szczupła i filigranowa, dlatego Robert ją wybrał. Czy można kochać taką grubą babę jak ja?

Wracałam z Bath w wisielczym nastroju, bliska płaczu. Natychmiast po powrocie do domu wygrzebałam któryś z licznych artykułów na temat pracy nad sobą, jakie przeważnie pojawiają się w czasopismach między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Wycięłam go sobie i postanowiłam tym razem zastosować się do wskazówek, jak oczyścić organizm, poprawić cerę, wykonywać ćwiczenia rozciągające mięśnie i nauczyć się jakiegoś języka obcego. Zalecana w tym artykule dieta opierała się głównie na zupie z kapusty, która miała wypełniać żołądek jak zbiornik. Nagotowałam cały gar takiej zupy z mocnym postanowieniem, że tym razem przewycięzę słabość i nie oddam pola Helenie! Z cerą jak porcelana i błyskiem w oku wejdę w Nowy Rok silna, zwarta i gotowa do walki!

Na razie pierwszym efektem działania zupy warzywnej była seria potężnych wiatrów, które wybiły ze snu nawet Pilgrima. Wieczorem, wchodząc do wanny, zostawiłam dżinsy na podłodze łazienki. Płasko rozłożone, wyglądały, jakby zdjął je potężny chłop!

Poppy urządziła swoją imprezę sylwestrową w nowym domu, do którego się ostatnio przeprowadzili z Chrisem i dziećmi. Mieścił się dość blisko ich poprzedniego miejsca zamieszkania – zaraz za rogiem, może trochę bardziej w stronę odnowionej części Shepherd's Bush. Przypominał domki dla lalek z czasów króla Jerzego – miał pięć sypialni na czterech poziomach, a wszystkie idealnie zaprojektowane.

Poppy zatrudniała teraz dochodzącą nianię do dzieci na pełny

etat oraz sprzątaczkę z Filipin. Wyglądała wspaniale, bo wysoki poziom życia nie pozbawił jej dawnego, ekscentrycznego stylu w uczesaniu i ubiorze. Myła włosy dwa razy w tygodniu u modnego fryzjera, który pielęgnował jej lśniące, opadające na plecy loki.

– Bój się Boga, Hazy! – przywitała mnie. – Coś ty na siebie włożyła, jakiś namiot, czy co? Nie jesteś chyba w ciąży, a jeśli nawet, to musiałabyś mieć w brzuchu słońia!

Przerwała, bo na mojej udręczonej twarzy dostrzegła niepokojący skurcz, więc w odruchu sympatii otoczyła mnie ramionami. Poprzedniego dnia nieźle się nagłowiałam, co na siebie włożyć, aby nie podkreślać niedoskonałości figury. W końcu zdecydowałam się na luźną tunikę i spodnie o szerokich nogawkach.

– Przepraszam, kochanie, ale kto inny mógłby wyrąbać ci brutalną prawdę, jeśli nie przyjaciółka? Nie chcę ci pochlebiać, ale powinnaś wyeksponować to, co w tobie najlepsze. Możesz odpiąć kilka guzików i pokazać, jaki masz piękny dekolt. Duży biust to też zaleta, powinnaś się z nim obnosić, bo faceci za tym przepadają. Mój Chris zawsze narzeka, że jestem płaska jak deska! Masz, napij się...

Podsunała mi kieliszek szampana. Dębowy stół w jej wyłożonej terakotą kuchni uginał się pod ciężarem paczek i pudełek ze sklepu z luksusowymi produktami żywnościowymi.

– Zaczniemy od szampana i przystawek – planowała głośno. – Są już prawie gotowe, bo je kupiłam, cha, cha, cha! Tylko muszę jeszcze poukładać na talerzach, a dla mnie to i tak za dużo. Potem pójdziemy na kolację, nie przeszkadza ci, że będzie ze dwadzieścia osób?

Musiałam zrobić przerażoną minę, bo nie miałam zbyt dużo pieniędzy, ale Poppy zaraz dodała:

– Nie przejmuj się, Chris płaci za ciebie. No, tylko się nie wymawiaj – to prezent od nas na gwiazdkę. Przywitamy Nowy Rok i będę musiała grzecznie wracać do domciu, bo moja mamusia zgodziła się wprawdzie zostać z dziećmi, ale wolałaby nie wracać zbyt późno do siebie. Natomiast całe towarzystwo nie obciążone rodziną może hulać do białego rana!

Przyjrzała mi się uważnie i zdecydowała:

– Chodź na górę, mam spódnicę, która się nada dla ciebie. Wejdiesz w nią, bo w pasie ma gumkę, a przynajmniej jest wdzięczna i powiewna. Te ohydne łąchy jak dla słonia możesz od razu wyrzucić, bo się nie przydadzą nawet uchodźcom z Trzeciego Świata. Tych biednych ludzi spotkało i tak dość nieszczęść, żeby musieli jeszcze ponosić konsekwencje czyichś nietrafionych zakupów!

Poppy udało się skutecznie zniszczyć we mnie resztki pewności siebie, więc dałam się wbić w jej spódnicę, do której dobrała mi nie tylko odpowiednią bluzkę, lecz także biżuterię. Oczywiście miała rację, bo wyglądałam w tym dużo lepiej.

– Jesteś śliczna jak zawsze. – Nie szczędziła mi kurtuazyjnych komplementów. – Cerę masz jak krew z mlekiem, włosy jak dojrzała pszenica, a kształty bogini urodzaju!

Mieszkałam obecnie na wsi, więc Poppy celowo używała takich sielskich porównań, zapewne by mi powetować, że wyglądałam jak półtora nieszczęścia!

Tymczasem przyszła mała Jessica i zaczęła grzebać w kosmetykach matki. Uściskałam ją, a przy tym zauważyłam, że znacznie urosła, odkąd ją ostatni raz widziałam. Z pulchnego dzieciaka zmieniła się w eteryczną istotkę z nogami jak patyki. Ucałowała mnie wylewnie i pochwaliła się, że widziała w telewizji, jak się całują, ale to nic takiego.

Okazało się, że na imprezę przyszli głównie nowi znajomi Poppy. Dawni koledzy z orkiestry przestali już u niej bywać i nawet wiedziałam, dlaczego. Po prostu od wielu lat nie zajmowała się zawodowo muzyką, a jej styl życia tak dalece się zmienił, że nie mieliby już o czym rozmawiać. Teraz zadawała się z samymi eleganckimi panami i paniami z wyższych sfer towarzyskich. Wszyscy mężczyźni i większość kobiet mieli dobre posady w City i związane z tym wysokie pobory. Rozmawiali zaś przeważnie o dywidendach.

Dwie z zaproszonych kobiet były projektantkami wnętrz. Jedna pracowała aktualnie nad poradnikiem dotyczącym zasłon, a druga miała sklep ze sprowadzanymi z kontynentu ubrankami dla dzieci. Ze śmiechem rozpoznawały marki swoich kreacji i na wypródkę narzekały na zmęczenie. Mężatki, zwłaszcza te, które, jak Poppy, zatrudniały niania do dzieci, szybko znalazły wspólny

temat – problemy z wychowaniem dzieci. Jakby się umówiły – wszystkie były szczupłe i nienagannie uczesane. Ja na ich tle wyglądałam jak zażywna, rozczochrane babsko. Dobrze, że choć pocciwy Chris wylewnie mnie uściskał, łakomym wzrokiem pożerał moje piersi i głosił, jak to miło nareszcie poczuć przy sobie prawdziwą kobietę.

Nie znałam w tym towarzystwie nikogo, więc pełniłam funkcję ciotki-rezydentki, pomagając w kuchni i roznosząc zimne zakąski. Goście, którym jak dotąd nie zostałam przedstawiona, traktowali mnie więc jak wynajętą kelnerkę. Poppy ratowała sytuację, jak mogła, ciągnąc mnie od jednej grupki swoich znajomych do drugiej i powtarzając: „Musicie koniecznie poznać moją najlepszą przyjaciółkę...”. Poddano mnie wtedy skrupulatnym oględzinom od stóp do głów i zaszczycono uprzejmym zainteresowaniem. Wiedziałam, gdzie leżał pies pogrzebany – nauczycielka dla tych ludzi nie była kimś, kogo warto znać, znajdowała się raczej poza orbitą ich interesów. Próbowалам więc robić dobrą minę do złej gry, uśmiechając się przyjemnie i rzucając dowcipne uwagi na temat potraw, które serwowałam. Zauważyłam przy tym, że kobiety na ogół nie jadły więcej niż dwie kanapki, podczas gdy panowie wpychali łapczywie do ust po dwie na raz, nie przerywając rozmowy.

W końcu miałam już dość tej zabawy i wołałam dotrzymać towarzystwa matce Poppy, która układała dzieci do snu. Tom już spał, a Jess właśnie się kąpała. Nauczyłam ją, jak puszczać bańki mydlane, więc radośnie się chlapała. Siedziała już na moich kolanach owinięta w ręcznik, kiedy na górę wszedł jakiś pan, szukając toalety. Zauważyłam przedtem, że chętnie pomagał gospodarzowi w napełnianiu kieliszków. Był niewysoki i tęgi, w okularach, więc pod względem atrakcyjności uznałam go za swój męski równoważnik.

Zajrzał przez uchylone drzwi łazienki i powiedział „Cześć!”. Zapoznałam go z matką Poppy, więc wszedł do środka i uścisnęliśmy sobie ręce. Uprzejmie zawiadomił mnie, że goście na dole już się zbierają, aby przenieść się do włoskiej restauracji zaraz za rogiem. zaproponował, abym do nich dołączyła. Przypomniał, że ma na imię Mikę i jest prawnikiem. Kiedy schodziliśmy ze schodów, zauważyłam, że Poppy odprowadza nas

wzrokiem. Wywnioskowałam stąd, że wyznaczyła go, aby mi asystował, zrobiłam więc w jej kierunku minę, jakbymssała cytrynę.

Nie miałam jednak wyboru, a zresztą Mikę okazał się przemiłym kumplem. Od razu polubiłam go bardziej niż pozostających. Był gadatliwym ekstrawertykiem, ale kiedy trzeba, potrafił też chętnie słuchać i wykazywał nieklamane zainteresowanie wydarzeniami z mojego życia. Dobrze się składało, bo facet po przeciwnej stronie stołu siedział odwrócony do mnie tyłem i nieustannie emablował dziewczynę po swojej lewej. Chuda jak chart, nosiła prawie nic nie zakrywającą minisukienkę i zachowywała się bardzo głośno. Im więcej piła, tym bardziej wulgarnym językiem się posługiwała. Idąc do damskiej toalety, potknęła się na swych niebotycznych obcasach, zakląła „O, kurde!” i zataczając się, poszła dalej. Mikę i ja skrzywiliśmy się z niesmakiem.

– Ona jest adwokatem – wyjaśnił mój partner.

Goście narzucili od razu dość szybkie tempo picia; kelnerzy ledwo nadążali z donoszeniem nowych butelek i uprzątnięciem pustych. Poppy siedząca u szczytu stołu flirtowała z włoskim bankowcem, który najwyraźniej sięgał jej pod spódnicę. Po przeciwnej stronie stołu Chris obejmował kruczowłosą dziewczynę o interesująco bladej cerze. Usiłowałam dostrzec w tym coś zabawnego, ale ciężko mi to szło. Udawałam wprawdzie, że świetnie się bawię, ale nudziłam się jak mops i wolałabym już słuchać pohukiwania sów w mojej chatce.

W oczekiwaniu na wybicie północy ustawiliśmy się w koło i trzymając się za ręce, zaintonowaliśmy „Upływa szybko życie...”. Jednak mój sąsiad z lewej nie zadał sobie trudu podania mi ręki, bo wolał podszczypywać w tyłek pijaną adwokatkę. Jej miniowa podjechała w górę, ukazując majtki. Kiedy już wszyscy wszystkich obcałowali i złożyli życzenia szczęśliwego nowego roku – towarzystwo zaczęło pomału się rozchodzić. Poppy oznajmiła, że musi wracać do domu. Chris wziął ją pod ramię, toteż Włoch spiesznie się wycofał. Mikę spytał, czy nie poszłabym z nim do klubu, na co się chętnie zgodziłam. Wezwaliśmy taksówkę na spółkę z kilkoma innymi osobami. Na tylnym siedzeniu Mikę próbował mnie pocałować, a nawet ugryźć w szyję, ale

wiedziała, że gdybym mu na to pozwoliła, i on, i ja popełnilibyśmy fatalny błąd.

– Słuchaj, jestem już zajęta – tłumaczyłam, próbując uwolnić się z jego objęć.

– Coś takiego! – Wyraźnie się zdziwił, zdejmując okulary i przecierając je chusteczką. Bez nich wyglądał na młodszego i bardziej wrażliwego. – A Poppy mówiła, że nikogo nie masz.

– Przykro mi, ale mam.

– Przynajmniej szczerze! – Wyrzucił z siebie z wyraźną ulgą. Najwidoczniej uważał, że spełnił już swój obowiązek wobec Poppy, która wmawiała mu, że będę dla niego idealną partnerką. Pojechaliśmy jednak do klubu i całkiem dobrze się bawiliśmy. Mikę tańczył fatalnie, ale nie krępował się, bo to przecież sylwester! Wracaliśmy do domu Poppy piechotą, bo taksówki były nieuchwytnie, a ulice roiły się od takich samych imprezowiczów. Zaprosiłam Mike'a na weekend do „Jeruzalem”, na co zareagował z entuzjazmem: „Świetnie! Kiedy?”. Na tej podstawie odniosłam wrażenie, że ma tyle zaległości do nadrobienia, co i ja. Pod drzwiami domu Poppy zapisał sobie mój numer telefonu i pocałował mnie na dobranoc. Dobrze, że nie musiałam dla formy proponować mu „Może wstąpisz na kawę?”.

Spałam zaledwie kilka godzin, a obudziłam się z przepisowym, noworocznym kacem. Na śniadanie wmusiłam w siebie dużą grzanekę z marmoladą, pomogłam Poppy posprzątać po imprezie i wyruszyłam w drogę do domu, rozkoszując się jazdą po idealnie pustej szosie. Dzień był pochmurny, a mijane po drodze wydmy pokrywała oszroniona trawa. Nie przerażała mnie jednak ta szarość i pustka, ponieważ miałam cały dzień przed sobą, no i nareszcie coś zaczęło się dziać w moim życiu, choćby to, że powzięłam mocne postanowienie ograniczenia jedzenia. Musiałam jeszcze tylko odebrać Pilgrima od mamy, która spędziła sylwestra z zaprzyjaźnionymi sąsiadami.

– Zaprosiłam na jutro kilka osób na drinka... tak około tuzina – oznajmiła mi. – Może wpadłabyś do mnie? Chciałabym, żebyś ich poznała.

– Chętnie, mamo. Z przyjemnością pomogę ci podawać – zgodziłam się ochoczo, nie podejrzewając, co moja perfidna staruszka knuje.

Wróciłam na farmę z piekielnym bólem głowy. Potrzebowałam sporej dawki węglowodanów, aby zneutralizować wypity wczoraj alkohol. Od razu jednak o tym zapomniałam, kiedy na podwórku zobaczyłam terenowy samochód z przyczepką, z rodzaju tych, jakich często używali farmerzy. Wsiadłam więc szybko z samochodu i w moim ogrodzie zastałam Toby'ego, który wbijał w ziemię słupki i rozpinał na nich siatkę. Od wysiłku zaróżowiły mu się policzki, ale wyglądał zdrowo. Pocałowałam go na powitanie, a on otoczył mnie ramieniem.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – Uściskał mnie serdecznie. – Popatrz, co ci przywiozłem. Tak jak obiecałem, owce, żeby wygryzły te wszystkie chwasty w ogrodzie, bo nie przypuszczam, by ci się chciało bawić kosiarką. Na wszelki wypadek wygrodziłem tylko przestrzeń przy samym domu, w razie gdybyś chciała zasadzić tam kwiatki. Dla owiec wystarczy miejsca na terenie starego sadku.

– Toby, jesteś genialny! – pisałam z entuzjazmem. – Teraz będę prawdziwą Samotną Pasterką!

Zajrzałam do przyczepki i stwierdziłam, że w środku znajdowały się cztery mniejsze, białobrązowe owieczki, chyba samiczki i jeden osobnik cały brązowy, o ślimakowato skrzyconych rogach, wyglądający bardzo po męsku.

– Cztery dziewczynki i jeden chłopczyk? – upewniałam się.

– Na miłość boską, tyle przynajmniej mogłabyś wiedzieć! – Oburzył się Toby. – Jeśli już, to cztery maciorki i tryk. Należą do mojej matki, ale chętnie je odstąpiła. Maciorki wykoją się w maju, a wtedy Pedro, to znaczy tryk, będzie w pogotowiu. Na razie świetnie sobie dają radę, ale gdyby pogorszyła się pogoda, dowiozę im trochę siana. Miały niedawno przycinane racice, są odrobaczone, więc nie będziesz miała z nimi kłopotu. Trzeba je tylko poić. Masz tu jakiś wąż? Jeśli nie, to kup, a na razie możesz je poić z wiader.

Wbił ostatni słupek i przymocował do niego drucianą siatkę.

– No, przez to się nie przedostaną! – rzekł z satysfakcją.

Razem wyładowaliśmy owce i wykorzystując wiaderko granulowanej paszy, którą Toby przywiozł, zwabiliśmy je do

nowej zagrody. Natychmiast zabrały się do jedzenia, energicznie ruszając szczękami. Pilgrim przyglądał się im z dużym zainteresowaniem.

– Nie będzie ich zaczepiał albo straszył? – wyraziłam niepokój.

– Wątpię, ale gdyby próbował dobierać się do nich, zamknij go z nimi na pięć minut, a już Pedro go ustawi. On ani trochę nie boi się psów.

– Jakie one są śliczne! – zachwyciłam się. – Mają oczy jak... karmelki! Dziękuję ci, Toby. Czy naprawdę zrobią za mnie porządek w ogrodzie?

– Jak najbardziej – zapewnił Toby, wycierając ręce w siedzenie sztruksowych spodni. – Mógłbym teraz napić się kawy?

– No pewnie, zasłużyłeś nawet na więcej!

Otwierałam drzwi kuchni z niekłamaną ulgą, bo szczerze cieszyłam się z powrotu do domu. Żar pod blachą jeszcze nie wygasł, więc wewnątrz było ciepło. Toby dorzucił koksu, a ja postawiłam czajnik na płycie i dopóki woda się nie zagotowała, opowiadałam mu wrażenia z sylwestra u Poppy. On też uczestniczył w imprezie przewidzianej dla samych par, więc ad hoc dokooptowano dla niego dziewczynę „bez przydziału”. Aż nadto dobrze rozumiałam, co wtedy czuł.

– Oprócz mnie wszyscy byli żonaci i dzieciaci – relacjonował. – Niby nie powinno to przeszkadzać w kontaktach, ale jednak stwarzało jakby przepaść między nami. Najgorsze były kobiety, bo miały zupełnego fioła na punkcie dzieci. Zaczynały rozmowę od: „A twoje ile mają lat?” i skreślały człowieka, jeśli nie podejmował tematu.

– A ta dziewczyna, którą ci przydzielili, była przynajmniej miła? – spytałam z ciekawości.

– Powiedzmy, że była w porządku.

– Ja też miałam takiego partnera „w porządku”. Poppy o to zadbała.

– To określenie dokładnie oddaje istotę rzeczy. Nie przypuszczam, abym jeszcze kiedyś chciał się z nią spotkać. Nie wziąłem nawet od niej adresu ani telefonu.

– No, to ja zrobiłam więcej, bo zaprosiłam Mike’a do nas na

weekend. Nawet go polubiłam, ale to wszystko. Był miłym, zabawnym kumplem, ale Poppy pewnie liczyła, że się od razu zaręczymy!

Toby się roześmiał, a ja nagle poczułam się najzupełniej szczęśliwa. Widać do szczęścia wystarczył mi ten miły chłopak, z którym piłam kawę w przytulnej kuchni, a do tego Pilgrim zwinięty w kłębek w swoim koszyku przy piecu i stadko owiec na dworze. Niby nie działo się nic ważnego, ale takie chwile dawały mi zadowolenie, jakiego dawno już nie przeżywałam. Moje obecne życie wydawało mi się całkiem satysfakcjonujące.

Następnego dnia czekała mnie impreza u matki. Podjechałam do niej wcześniej, aby pomóc w przygotowaniach. W jej wyłożonym boazerią salonie płonęły już drwa w kominku, a zaciągnięte zasłony i odpowiednio dobrane oświetlenie stwarzały przytulny nastrój. Świąteczną atmosferę podkreślały świece i dekoracje z ostrokrzewu, szklarniowych róż i jaśminu. Mama w puszystym, bładoniebieskim sweterku i schludnej, ciemnej spódnicy, z brylantowymi klipsami w uszach wyglądała bardzo świeżo i młodzieńczo.

Jestem od niej sporo wyższa i tęższa, więc całując ją na powitanie odniosłam wrażenie, że trzymam w ramionach wiotką i kruchą istotkę. Rozczuliło mnie to i zapragnęłam, aby tak już zostało, ale mama nigdy nie poddawała się emocjom. Uwolniła się z moich objęć i pomaszzerowała żwawo do kuchni. Poprosiła, abym układała prawie przezroczyste plasterki wędzonego łososia na kromkach ciemnego chleba. Tak przygotowane kanapki okrawałam ze skórki i dzieliłam każdą na cztery części. Gotowe nakładałam na półmiski, ozdabiając listkami zielonej pietruszki i porcyjkami czarnego kawioru. Mimo że potrafię precyzyjnie wydobywać dźwięki z delikatnego instrumentu, do innych czynności zazwyczaj mam dwie lewe ręce, toteż mama nadzorowała moją pracę, szprycując równocześnie farsz w wydrążone połówki przepiórczych jajeczek. W piekarniku dochodziły tymczasem serowe paluszki i małe słone tartinki.

– Wspaniale to wszystko zaplanowałaś, mamo! – pochwaliłam, kiedy uporałam się z łososiem.

Matka poprawiała ustawienie talerzy, a ja nie mogłam się powstrzymać od podjadania skórek z chleba. Najwidoczniej

byłam niereformowalna! W lodówce chłodziło się sześć butelek dobrego, hiszpańskiego wina. Postawiłam je na tacy i obiecałam, że zajmę się ich otwieraniem i nalewaniem, gdy przyjdą goście.

– Douglas ci pomoże, zawsze świetnie to robi – zapewniła matka.

– Jaki znowu Douglas?

– Douglas Croxford. Chyba nie miałaś okazji go poznać, bo przeniósł się na wieś dopiero w zeszłym roku, kiedy przeszedł na emeryturę. Przedtem był oficerem Marynarki Wojennej.

– Żonaty?

– Nie, wdowiec. Ciężko to znosi, bo wprawdzie nieźle sobie radzi na co dzień, ale czuje się okropnie samotny. Twierdzi, że życie na wsi przyprawia go o klaustrofobię.

– Nie mogłabyś wyswatać mu jakiejś znajomej starszej pani?

Matka parsknęła krótkim śmiechem i nałożyła ochronne rękawice, aby wyjąć coś z piekarnika.

Goście zjawili się punktualnie o szóstej po południu. Od razu zaczęłam krążyć pośród nich z pełnymi kieliszkami, wywołując entuzjastyczne reakcje: „Ach, jak miło!... Dziękujemy!... Co za urocza niespodzianka!...”. Jednak starsi ludzie potrafili zawsze zachować się jak należy! Ze wszystkich stron otaczały mnie eleganckie fryzury z siwych włosów podkolorowanych różowymi, liliowymi i niebieskawymi płukankami. Twarze starszych pań zdobiły puder i szminka. Panowie w eleganckich garniturach i wypucowanych do połysku pantoflach mieli czyste paznokcie, świeżo wygolone policzki, gustownie dobrane krawaty i chusteczki w butonierkach. Umieci z zainteresowaniem słuchać partnera, zadawali taktowne pytania, podawali sobie nawzajem talerze, przedstawiali się jedni drugim... ite wszystkie grzecznościowe gesty przychodziły im z wdziękiem i bez wysiłku! Dla kontrastu przypominałam sobie o uczestnikach imprezy u Poppy, którzy zachowywali się hałaśliwie, po prostaku i myśleli tylko o sobie. Stanowczo ludzie z pokolenia mojej matki mieli dużo lepsze maniery. Orientowali się przy tym doskonale w najnowszych wiadomościach, znali na pamięć audycje IV programu radiowego, a gazety czytali od deski do deski. Może tylko za dużo uwagi poświęcali sukcesom swoich dzieci i wnuków...

– Tak, mam dwóch wnuczków... Nie ma pani pojęcia, jakie to bystre chłopaki! Córka, oczywiście, skończyła Oksford. Tam też poznała Nicka, swojego męża...

– Syn mieszka w Londynie. Ma troje dzieci, ale żeby pani wiedziała, jak im się żyje! Mają letni domek w Suffolk, zimą jeżdżą na narty, a wakacje spędzają w Kenii... Dopiero teraz pani mówi, że pani wyszła za męża? Przecież pani jest wciąż bardzo młoda, a dzisiejsze dziewczęta nie spieszą się tak z zamążpójściem jak my...

Prawie przez cały wieczór słyszałam teksty w tym stylu od wszystkich, tylko nie od Douglasa, który robił wrażenie mruka. Zastanawiałam się nawet, po co w ogóle przyszedł na takie przyjęcie. U siebie w domu utrzymywał pewnie wzorowy porządek niczym na okręcie, a ciszę przerywało tylko tykanie zegarów i brzęczenie lodówki. Zdążył już się przyzwyczaić do samotności i dlatego na imprezach towarzyskich stał w kącie sztywno, jakby kij połknął, podczas gdy wokół niego radośnie szczebiotały kobiety.

Największą furorę robił Pilgrim, wyciągnięty na dywaniku przed kominkiem. Ściągał na siebie uwagę wszystkich i coraz to podtykano mu smaczne kąski.

Wkrótce Douglas zastąpił mnie przy napełnianiu kieliszków. Z bliska zwróciłam uwagę na jego słuszny wzrost, smukłą sylwetkę i pociągłą, inteligentną twarz.

Tymczasem gwar nasilał się, bo do osób niedosłyszących trzeba było mówić głośno i wyraźnie, na przykład: „Nie, moja droga, nie byłam dzisiaj w kościele. Wie pani, nogi już nie te...”. Nie ustawały żarty, przekomarzenia się, od czasu do czasu rozlegały się wybuchy śmiechu. W końcu jednak goście zaczęli się rozchodzić. Pozostał tylko Douglas, aby pomóc przy zbieraniu kieliszków. We trójkę podzieliliśmy się resztkami łososia, a matka nalala nam jeszcze wina. Sama piła bardzo niewiele, a rumieńce na twarzy wywołała radość z udanej imprezy.

– Przepraszam, mamusi, ale nie mogę pić więcej, bo prowadzę – wymawiałam się. – Było mi bardzo miło...

– Chyba raczej nudno, wśród samych staruszków, ale dziękuję ci, że przyjechałaś. Bardzo mi pomogłaś.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Naprawdę świetnie się

bawiłam.

Tymczasem Douglas nałożył granatowy, marynarski płaszcz i szykował się do wyjścia.

– Nie wychodź jeszcze, zjedz coś! – Namawiała go matka. – Podgrzeję zupę...

Starszy pan dla formy trochę protestował, że niby nie chce przeszkadzać, ale dał się uprosić i zdjął płaszcz.

– Natomiast ja muszę już jechać, bo o dziewiątej mam próbę! – oświadczyłam stanowczo. Zawołałam Pilgrima, który bardzo niechętnie opuścił ciepłe miejsce przy ogniu. Matka, nie nakładając wierzchniego okrycia, odprowadziła mnie do samochodu. Trzymałam już rękę na klamce, ale zamarłam, słysząc jej słowa:

– Harriet, muszę ci coś powiedzieć...

Ton jej głosu sprawił, że serce podeszło mi do gardła. Czyżby chciała zakomunikować mi, że – na przykład – jest chora na jakąś nieuleczalną chorobę?

– Douglas poprosił mnie o rękę, a ja go przyjąłem – oświadczyła. – Nie rób takiej zdziwionej miny, kochanie! Jesteśmy ze sobą bardzo szczęśliwi.

Jechałam do domu z zamętem w głowie. Przy matce zapanowałam nad sobą na tyle, aby ucałować jej ciepły, miękki policzek i z udawanym entuzjazmem wykrzyknąć: „Mamo, ależ to cudownie! Cóż za wspaniała niespodzianka!”. Wróciłam nawet na chwilę do domu, aby pogratulować Douglasowi, który stał niepewnie ze ścierką w rękę. Kiedy go ucałowałam, wydał z siebie serię pomruków i ujął moją matkę za rękę.

– Naprawdę bardzo się cieszę – brnęłam dalej, choć kipiałam w środku. – Nie znam pana, ale jestem pewna, że będziecie z moja mamą bardzo szczęśliwi. Przepraszam, ale naprawdę już muszę jechać, zresztą widzę, że byłoby nas tu o jedną osobę za dużo. Nieźle się maskowałaś, mamo.

– W porządku, kochanie – powiedziała spokojnie moja matka. – Jedź już, bo się spóźnisz.

Pojechałam, ale nie wierzyłam własnym uszom. Moja matka miałaby powtórnie wyjść za mąż? Nagle znów zacząć dzielić kuchnię, łazienkę i oczywiście sypialnię z jakimś obcym facetem? Próbowałam wyobrazić sobie ją w bieliźnie czy nawet nago

z mężczyzną i zaraz pomyślałam, że to niemożliwe! Chociaż... właściwie wyglądała na zakochaną. Pozornie chłodna i opanowana, ale widać było, że topniała w ciepłe uczucie Douglasa. W tym momencie przyłapałam się na tym, że byłam po prostu zazdrosna o własną matkę. Zazdrościłam, że udało się jej znaleźć kogoś, kto ją pokochał, a z drugiej strony skręcałam się ze złości na Douglasa, bo wołałam mieć matkę tylko dla siebie i nie chciałam się nią z nikim dzielić. Byłam też wściekła na nią, że mogła wyciąć mi taki numer, a równocześnie wstydziłam się własnego egoizmu.

Następnym razem, kiedy się spotkałyśmy, używałam już innych argumentów, bo wcześniej przedyskutowałam sprawę z Poppy. Co było do przewidzenia, opieprzyła mnie za mój egoizm i krótkowzroczność. Uświadomiła mi, że mama przez piętnaście lat żyła samotnie, więc trudno jej zarzucać, iż pospieszyła się z powtórным małżeństwem. Odwrotnie, należało ją raczej w tym wspierać... Tak mi nagadała, że siedziałam jak niepyszna ze słuchawką w rękę, wpatrując się tępo w ścianę.

– Poppy, ja doskonale zdaję sobie z tego sprawę! – próbowałam się bronić, kiedy już odzyskałam kontenans. – Nie zmienia to jednak faktu, że czuję się, jakby mnie wystawiła do wiatru. Wiem, że to głupie z mojej strony, ale zdaje mi się, że ona i ten Douglas uknuli to, żeby zrobić mi na złość.

– Z czasem to minie. Bylebyś tylko ułożyła sobie własne życie, wtedy spojrzysz na to z innej perspektywy.

Poppy potrafiła być szczerą aż do bólu, ale zwykle miała rację. Siedząc więc z mamą przy chybotliwym stole w barze, gdzie rozdzielał nas koszyczek z kostkami porcjowanego masła, rozmawiałam już z nią inaczej.

– Czy jesteś pewna, że naprawdę tego chcesz? – zaczęłam. – Jesteś przecież tak świetnie zorganizowana, masz swoje stare przyzwyczajenia, ustalony porządek dnia i tak dalej... Jesteś gotowa zrezygnować z tego wszystkiego na rzecz kogoś, z kim będziesz musiała to wszystko dzielić?

– Niczego więcej nie pragnę, kochanie – zapewniła mnie matka. – Douglas jest dobrym, życzliwym człowiekiem, a z takim miło jest dzielić wszystko, co się ma. Z niczego nie muszę zrezygnować, niczego na tym nie tracę, a zyskuję więcej radości

życia.

– Na pewno? Przecież zawsze tak świetnie radziłaś sobie sama. Sądziłam, że daje ci to satysfakcję.

Matka wzruszyła ramionami.

– Radziłam sobie, bo musiałam. Nie miałam innego wyjścia, a dotychczas także sposobności, żeby to zmienić. Teraz nareszcie mam. Przepraszam, Harriet, to nie jest aluzja do ciebie, ale myślę, że samotność nie idzie w parze z naturą ludzką. Ty jesteś jeszcze młoda (w tym miejscu parsknęłam z ironią), masz życie przed sobą, a ja chcę dzielić resztę moich dni z człowiekiem, do którego się przywiązałam. Na stare lata samotność bywa bardzo przykra. U rzeźnika patrzę na ładną ćwiartkę mięsa i myślę: „Czy warto kupować taki duży kawałek dla jednej osoby?”. Przy każdej okazji jest to samo – nie opłaca się rozpalać w kominku tylko dla siebie; chodzi się spać z kurami, bo smutno samej przesiadywać wieczorem. Nie wyjeżdżam nigdzie na wakacje, nie chodzę w niedzielę na lunch do baru... To niby błahe sprawy, ale jeśli człowiek ma partnera, nie musi tak ze wszystkiego rezygnować. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz?

– Oczywiście, ale te rzeczy nie są warte zachodu, jeśli nie jesteś pewna, że chciałabyś dzielić je z Douglasem, a nie bardzo rozumiem, jak możesz być tego tak pewna.

– Uwierz mi, że mogę.

– No, to wasze zdrowie! – Wzniosłam w górę szklanekę. Cieszyłam się oczywiście, że tak się jej udało, ale nadal było mi smutno.

Robert też nie rozumiał, o co mi chodzi.

– Jasne, że to dla ciebie zaskoczenie, ale powoli przyzwyczaisz się do tej myśli. Mówisz, że tamten gość jest sympatyczny? W czym więc problem?

– Problem jest ze mną, bo to nienormalne, żeby matka wychodziła za mąż, podczas gdy trzydziestokilkuletnia córka sieje pietruszkę.

– Nie bądź śmieszna. Dobrze wiesz, że mogłabyś dawno wyjść za mąż, gdybyś tylko tego chciała. Jesteś samotna z własnego wyboru i musisz się z tym pogodzić.

Ciekawe, dlaczego bliskie mi osoby traktowały planowane małżeństwo mojej matki jako argument przeciwko mnie. Czy nie

rozumieli, że potrzebowałam raczej współczucia?

Zbliżał się dzień uroczystego koncertu. Nie pałam do tego zbyt dużym entuzjazmem. Najchętniej w ogóle nie brałabym w tym udziału i myślałam już, czy nie wymówić się chorobą. Powstrzymywała mnie tylko lojalność wobec Toby'ego i niepokój o Karolinę..

Byłam przyzwyczajona, że wieczorami często chodziło się z paką kumpli na imprezy lub do knajpy, więc sama się dziwiłam, czemu tak odstrasza mnie perspektywa wieczornego wyjścia. Nie mogłam się zdecydować, co na siebie włożyć. Toby miał mętne pojęcie na temat damskich strojów, więc przez pół godziny przymierzałam różne rzeczy, dopóki nie urosła z nich góra na podłodze. Od Nowego Roku udało mi się nieco schudnąć dzięki rygorystycznej diecie, mogłam więc nareszcie wbić się we wszystkie moje ciuchy. Po dojrzałym namyśle wybrałam długą, dżersejową spódnicę i atlasową bluzkę w odcieniu stalowoniebieskim – przynajmniej będzie mi się w tym wygodnie grało.

Umyłam włosy, podmalowałam się i spryskałam perfumami marki Jo Malone, które dostałam na gwiazdkę od siostry. Ona z kolei otrzymała je w prezencie od wdzięcznego klienta, ale ma zwyczaj używać przez całe życie tego samego zapachu. Mnie zaś te perfumy przywołały wspomnienie o Alicji Frost, młodej wdowie z szóstką dzieci, która zamieszkiwała ten dom w roku 1891. Cztery lata później już nie żyła. Nie wiedziałam nawet, dlaczego tak nagle przypominałam sobie o niej, ale gdy tylko w powietrzu rozszedł się słodki zapach,

poczułam jej obecność w tym samym pokoju, tuż za mną. Ciekawe, czy miała sposobność, by choć czasem ładnie się ubrać, spryskać wodą lawendową albo wyjść gdzieś wieczorem? W latach, gdy mieszkała na farmie „Jeruzalem”, musiały przecież odbywać się wiejskie zabawy! Czy tańczyła kiedyś skoczne tańce przy wtórze skrzypiec?

– Wybacz mi, Alicjo! – wyszeptalam. – Przepraszam cię, że żyję, podczas gdy ty tak wcześniej odeszłaś...

I w tej samej chwili odniosłam wrażenie, że już jej nie ma. Pokój był pusty, panowała w nim cisza, żadne duchy nie straszyły.

Ciekawe tylko, dlaczego myśl o niej naszała mnie akurat wtedy, kiedy rozszedł się zapach moich perfum? Niesamowite, prawda? Nie mogłam nawet podzielić się z nikim tymi sensacjami, bo ludzie pomyśleliby, że zwariowałam.

Wieczór był chłodny, lecz pogodny – taki, jakim można się zachwycać tylko na wsi, gdzie światła wielkiego miasta nie zaćmiewają gwiazd. Zanim zamknęłam drzwi na klucz, przez chwilę podziwiałam wygwieżdżone niebo, żałując, że nie mam komu powiedzieć „Spójrz, jakie to pięknie!”. Pilgrim szczeakał gniewnie, zły, że zostawiam go samego w domu, chociaż jego legowisko przy piecu było na pewno wygodniejsze niż wyziębiony samochód, ale on o tym nie wiedział.

Toby i Ned przybyli wcześniej ode mnie do sali zebrania. Grupa kobiet krzątała się już przy nakrywaniu stołów oraz kursowała między salą a kuchnią, toteż nikt z nich nie zauważył mojego wejścia. Z kuchni rozchodziły się smakowite zapachy, a starszy jegomość o wyglądzie emerytowanego pułkownika przy stole zastawionym szklankami i butelkami odkorkowywał wino. Toby, w koszuli w prążki i krawacie ozdobionym motywami jaskrawych pawi, wyszedł mi na spotkanie i powitał pocałunkiem. Ned też ubrał się bardziej elegancko niż zwykle – założył czysty, granatowy sweter i spodnie zaprasowane w kant w nieoczekiwanych miejscach. Zamachał mi tylko ręką, bo był zajęty przy rozciąganiu kabli. Pomagało mu dwóch młodych ludzi w czarnych koszulkach i wojskowych spodniach, którzy rozstawiali urządzenia nagłaśniające do dyskoteki. Obaj mieli włosy ufarbowane na jaskrawożółty kolor, powiązane gumkami w kucyki. Pułkownik podał mi kieliszek wina ze słowami:

– Zobaczmy, co pani o tym sądzi. Prawda, że da się wypić?

Na razie postawiłam kieliszek na parapecie, bo najpierw wolałam zdjąć płaszcz i nastroić skrzypce. Potem spróbowałam zagrać kilka taktów i przećwiczyłam całą „Samotną pasterkę”. Ekipa instalatorów zaczęła mi bić brawo, a ja dopiero wtedy pociągnęłam łyk wina.

– To było cudowne! – pochwalił emerytowany wojskowy, który przedstawił mi się jako John Hopper mieszkający na Green Lane. – Skrzypce są wspaniałym instrumentem, kiedy ktoś gra na nich tak dobrze jak pani!

– Dziękuję! – Uśmiechnęłam się do niego i przesłam do Toby’ego i Neda, którzy akurat przesuwali stoły.

– Cześć! – Przywitał mnie Ned. – Jak leci? Toby, uważaj, bo kelnerki nie będą miały którejś przejść.

– W porządku. Mogę w czymś pomóc?

– Dziękujemy, już prawie skończyliśmy – odpowiedział Toby.

– Tym razem nie miałeś problemu z małą? – Skierowałam to pytanie do Neda, chcąc podtrzymać rozmowę.

Postawił na podłodze swój koniec stołu i odgarnął do tyłu niesforną czuprynę.

– Nie, Dido jest dziś u Nicky.

– Jak to, więc Nicky tu nie przyjdzie?

– Prawdę mówiąc, nie została nawet zaproszona. Widzisz, ona mieszka nie tutaj tylko pod Frome.

– Aha – bąknęłam, nie pokazując po sobie zdziwienia. Czyżby był rozwiedziony albo w separacji? Ale Ned nie zamierzał oświecić mnie w tej materii, więc nie wypadało zadawać dalszych pytań. Najważniejsze, że chłopak zachowywał się bezpretensjonalnie i na luzie, poza tym podobał mi się jego uśmiech, przy którym po obu stronach ust tworzyły się pionowe bruzdy.

Wychyliłam następny kieliszek wina i poczułam się, jakbym miała cały świat u stóp. Tymczasem zjawiała się Karolina, która w długiej, czarnej spódnicy o przydeptanym obrętku i obcisłym topiku wyglądała na jeszcze chudsza i bledsza niż zwykle. Miała strasznie smutną minę, więc chciałam ją jakoś rozruszać i przeciwczyłam z nią jej popisowe utwory, które wypadły zupełnie dobrze. Wzięłam ze stolika, którym zawiadywał pułkownik, kieliszek wina i podałam jej. Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Napij się! – Zachęciłam ją łagodnie. – Jeden kieliszek na pewno ci nie zaszkodzi, a uspokoi nerwy.

Odpowiedziała bladym uśmiechem. Grzbiety dłoni miała wytatuowane henną w zawile wzory, dlatego ręce przez kontrast z patykowatymi ramionami wydawały się duże i sękatę.

Goście schodzili się coraz liczniej, gwar się nasilał. Pułkownik zawział się, żeby każdy otrzymał po kieliszku wina i dobrotliwie podśmiewał się z pań, które wołały napoje bezalkoholowe. Starsze panie w odświeżonych sukniach przybywały grupkami

i przechodziły z sali do sali. Poznałam owczarzą i jego żonę, której nigdy przedtem nie widziałam. Stanowili dokładne przeciwieństwa – on drobny, żyłasty i ogorzały, a ona tęga, blada i nalana. Na tę uroczystą okazję owczarz gładko przyczesał wypomadowane włosy i wystroił się we wzorzysty sweter.

Z daleka zamachał do mnie ręką i mrugnął porozumiewawczo.

Gajowy też przyszedł z żoną, która na co dzień zajmowała się układaniem jego labradorów. Widać weszło jej to w krew, bo mężowi też wydawała krótkie, szczekliwe rozkazy, aby przyniósł drinka i znalazł miejsce daleko od grzejników. Pani pastor wkroczyła energicznie do sali, podprowadzając do stołu dwie staruszki o laskach. Jedna przez cały czas uśmiechała się i kiwała głową, a druga śliniła się i patrzyła spode łba. Kilka par małżeńskich, mówiących głośno i zachowujących się z dużą pewnością siebie, wkroczyło równocześnie do sali i od razu zajęło najlepsze miejsca przy stołach. Byli to mieszkańcy majątków noszących tradycyjne nazwy „Dwór”, „Stara Plebania”, „Stary Młyn”, „Dom na Wzgórzu” i tym podobne. Panie w strojach wyraźnie inspirowanych modą londyńską trzymały się razem, podczas gdy ich mężowie witali się z miejscowymi mężczyznami, z którymi łączyły ich wspólne interesy. Widać jednak było, że dzielią ich pieniądze i wpływy, choć ściskali ręce ogrodnikom, cieślom i dekarzom jak równy z równym.

Pochłonięta obserwacją napływających gości nie zauważyłam, że Toby daje mi znaki, aby zaczynać. Znalazłam sobie miejsce w pobliżu stołu z napojami i na początek zagrałam dwa żywe, irlandzkie tańce. Publiczność wprawdzie uśmiechała się zachęcająco, ale rozmowy przybrały na sile. Grałam jeszcze przez jakieś dziesięć minut, aż sala się wypełniła, a u wejścia stłoczyła się grupa nieobitych, młodych ludzi, którzy czekali do ostatniej chwili ze zgaszaniem papierosów. Kiedy skończyłam, na krótko zapanowała cisza, a potem pierwsi słuchacze zaczęli klaskać, dając przykład następnym. Ukłoniłam się więc i wycofałam z kręgu światła.

Teraz naprzód wysunęła się pani pastor z cerą błyszczącą i zarumienioną. Kaznodziejskim głosem, którym udało się jej zapanować nad zgłębkiem, zarządziła, żeby wszyscy zajęli miejsca,

ponieważ panie w kuchni są już gotowe, a ona chciałaby odmówić modlitwę dziękczynną. Miała na sobie koloratkę, do której zupełnie nie pasowała niebieska bluzka, wpuszczona w obszerną, kwiecistą spódnicę. Jeżeli kobiety-duchowni chcą być traktowane poważnie, muszą zważać na dobór strojów, bo tak eksponowane tyłki nie nastroją do pobożnych myśli!

Tom i Ned trzymali dla mnie miejsce. Ned machał do mnie z końca sali, wskazując wolne krzesło. Najpierw jednak wyszłam do ustępu, który znajdował się na dworze. Zobaczyłam tam w upstrzonym przez muchy lustrze swoje odbicie, na którym widać było ładną i zadowoloną twarz. Kiedy wracałam na salę, kilka starszych osób zatrzymywało mnie po drodze, powtarzając: „Kochanie, to było prześliczne! Pani tak pięknie gra...”. Pułkownik chciał, abym usiadła przy nim i nawet poprosił żonę, Audrey, z nosem przypominającym dziób ptaka, żeby się posunęła. Zauważyłam, jak otaksowała wzrokiem mój naszyjnik z granatów, który odziedziczyłam po babci. Widać było, że raz na zawsze zaszufładowała mnie do odpowiedniej kategorii.

– Proszę się nie trudzić! – zaprotestowałam. – Mam tam zarezerwowane miejsce.

Ledwie zdążyłam je zająć, gdy pani pastor – jak się dowiedziałam, o imieniu Paulina – przystąpiła do odmawiania przesłodzonej modlitwy dziękczynnej, opiewającej uroki życia na wsi. Gdy skończyła, wkroczyły panie zajmujące się kuchnią z tacami pełnymi wiktuałów. Na pierwsze danie można było zjeść zupę lub pasztet z grzankami. Nie minęło kilka minut, a każdy otrzymał swoją porcję, na stołach porozstawiano butelki wina, a kieliszki napełniono. Toby nadzwyczajnie troszczył się o swoich sąsiadów – wstawał, aby podać im wodę i pomógł pewnej starszej damie odnaleźć torebkę, która upadła pod stół.

– Czy to twoja torebka, czy noga, Doris? – żartował, szperając pod obrusem.

– To moja noga, ty łobuzie!

Ned uśmiechał się do mnie z przeciwległej strony stołu.

– Wspaniale grałaś! – pochwalił.

– Dziękuję! – Rozpromieniłam się. – Lata pracy w podrzędnych orkiestrach dały mi przynajmniej to, że nigdy nie mam tremy przed występem ani nie robi mi się niedobrze.

– Inaczej niż biednej Karolinie. – Ned wskazał miejsce w połowie długości sali, gdzie Karolina siedziała z rodzicami. Jej matka miała na sobie bluzkę z kołnierzykiem postawionym według dziwnej manieri panującej wśród kobiet z klasy średniej. Do tego nosiła spodnie w szkocką kratę podtrzymywane szerokim paskiem z dużą, ozdobną klamrą. Ojciec był wysoki i tęgi, więc na tym tle ich córka wyglądała na jeszcze węższą niż zwykle, prawie przezroczystą. Zastanawiałam się, czy jej rodzice nie widzą, że córka niknie w oczach? Czy próbują jakoś zaradzić jej cierpieniom? Przypuszczałam, że pewnie odchodzą od zmysłów, bo chyba widzieli, że Karolina nie tknęła pasztetu, tylko machinalnie kruszyła na drobne kawałki kromkę chleba.

– No i jak ci się tu żyje? – Ned próbował zainicjować normalną rozmowę. Opowiedziałam mu o tym, że wyprowadziłam się z Londynu, o swojej pracy, a nawet o spodziewanym małżeństwie mojej mamy. I nagle uświadomiłam sobie, że mogę już mówić o tym bez przykrości, a nawet żartować na ten temat: „Masz pojęcie, że w wieku trzydziestu dwóch lat będę jeszcze druhną własnej matki?”.

Okazało się, że Ned też niedawno opuścił Londyn.

Przedtem miał pięćdziesiąt procent udziałów studia nagrań na Golders Green, ale gdy przypadkowo odkrył Mili Cottage – po prostu zakochał się w tym miejscu.

– W nocy, gdy już leżę w łóżku, słyszę szmer strumienia, co po latach słuchania głównie hałasu ulicznego i syren policyjnych jest dla mnie najmiłym dźwiękiem na świecie! – opowiadał. – Zainstalowałem bez trudu elektroniczną aparaturę, więc mogę nagrywać muzykę równie dobrze tu, jak w Londynie. Do miasta jeżdżę najwyżej raz w miesiącu, żeby zbierać zamówienia, aczkolwiek większość moich głównych kontrahentów wie już, gdzie mnie szukać. Dla Nicky też lepiej, żebym był bliżej, w razie gdyby potrzebowała pomocy.

Machinalnie przytaknęłam, ale nie bardzo rozumiałam, o czym właściwie mówi. Czy to możliwe, żeby małżonkowie po rozwodzie postępowali wobec siebie tak życzliwie? Takie przypadki rzadko się zdarzały. Już chciałam go zapytać, jak dawno się rozstali, ale akurat kelnerki zaczęły uprzątać talerze po pierwszym daniu i roznosić drugie – duszoną wołowinę

z pieczarkami i tłuczonymi kartoflami.

Pani pastor nie ustawała w aktywności, nakazując mężczyznom, aby przesunęli się o trzy miejsca w prawo. Ned wstał posłusznie i z przepaszającym uśmiechem usiadł obok kierowniczkę poczty. Miała złociste włosy ułożone w utapirowaną i wylakierowaną fryzurę, błyszczącą jak mosiężny hełm, a ubrana była w sweter w kolorze piwonii, wyszywany w róże osypane czarnymi kryształkami. Poprzednie miejsce Neda zajął sympatyczny pan około pięćdziesiątki, jak się okazało – księgowy imieniem Roger. Pracował w prężnej firmie w Salisbury i mieszkał na nowym osiedlu, zaraz za majątkiem Manor Farm. Był dosyć rozmowny, uprzejmie wypytywał mnie o moją pracę i sprawy życiowe, a przy okazji nadmienił, że uwielbia spacerować polną drogą zaraz za moją farmą. Podobno wiosną roilo się tam od pierwiosnków.

Po mojej przeciwnej stronie znalazł się teraz młody farmer, Geoffrey, który przedstawił mi się jako przyjaciel Toby'ego. Zaprezentował mi swoją żonę, ładną brunetkę, jak się okazało – nauczycielkę w miejscowej podstawówce. Sam wyglądał bardziej na księgowego niż na farmera, bo był chudy, blady i łysawy, tylko jego czerwone i spękane ręce świadczyły o pracy na wolnym powietrzu. Narzekał na fatalną sytuację w rolnictwie, martwił się, jak długo jeszcze da radę utrzymać się z gospodarstwa. Trzy razy w tygodniu dorabiał w firmie trudniącej się obwoźnym handlem produktami spożywczymi. Nie spodziewałam się tak gwałtownego wybuchu niezadowolenia, więc tylko bąkałam pod nosem, że bardzo mu współczuję.

– Nie zniósłbym, gdybym musiał być na utrzymaniu Karen! – Westchnął, obserwując dalszy koniec stołu, gdzie jego żona flirtowała z wysokim facetem w kraciastej koszuli.

Dolałam mu wina i rzuciłam jakiś frazes, że wszystko na pewno dobrze się ułoży. Nie mogłam być dla niego partnerką w tej rozmowie z powodu absolutnej nieznajomości realiów życia na wsi, takich jak problem „choroby wściekłych krów”, kontyngenty na mleko, ceny za owce lub za konie pełnej krwi. Mogłam najwyżej współczująco kiwać głową i starać się go pocieszać. Ponieważ Geoffrey tylko wzdychał, przyglądając się swojej nadmiernie ożywionej żonie, spróbowałam pokierować

rozmową, pytając go, jaką muzykę lubi najbardziej. Odkryłam, że mogę odwrócić jego uwagę, nakłaniając go do zwierzeń na temat zespołu, w którym grał za swoich szkolnych czasów.

Paulina nie dała nam długo rozmawiać, wydała następną komendę. Tym razem zarządziła, aby panie przesunęły się w przeciwnym kierunku. Wywołało to spore zamieszanie, gdyż kobiety musiały pamiętać o swoich okularach, swetrach i torebkach, a nogi, nienawykłe do odświeżonych pantofli na szpilkach, niezgrabnie wydostawały się spomiędzy ciasno ustawionych krzeseł. Dla odmiany znalazłam się w sąsiedztwie dostojnie wyglądającego dżentelmena, którego przedtem nie zauważyłam. Na oko mógł mieć około czterdziestki, robił wrażenie bardzo obrotnego i pewnego siebie. Blond włosy zaczesywał do tyłu, a jego przystojna, choć zarozumiała twarz zaczynała już nabierać okrągłości znamionujących skłonność do dogadzania sobie. Otaksował mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Witam! – wyrzekł z taką emfazą, jakby właśnie marzył, aby mnie poznać.

– Dobry wieczór – odpowiedziałam.

Obrócił się razem z krzesłem, aby siedzieć półprofilem do mnie.

– No i gdzie się pani dotychczas ukrywała? Chyba mi pani nie powie, że mieszka tu na wsi?

– Owszem, mieszkam. Na farmie „Jeruzalem”. A pan?

– Mieszkamy w „Domu na Wzgórzu”. My, to znaczy moja żona Lucinda i ja. O, tam jest. – Wskazał na chudą blondynkę z rozpuszczonymi włosami, w skąpej minisukience, obwieszoną biżuterią.

– A czym pan się zajmuje? – spytałam.

– Pracuję w banku. Przez cały tydzień mieszkam w mieście, a tu przyjeżdżam tylko na weekendy. A pani jeździ?

– Na czym?

– No, chyba nie na rowerze, tylko na koniu! – roześmiał się.

– O, nie. Za duże to, za włochate i niebezpieczne z obu końców. A pan?

– Oczywiście. Większość tutejszych mieszkańców jeździ konno.

– Aha – mruknęłam, nie bardzo w to wierząc. Zgromadzone

w tej sali towarzystwo nie wyglądało mi na jeźdźców! – A jaki rodzaj jeździectwa pan uprawia?

Trudno mi było wyobrazić sobie, jak kłusuje spokojnie po leśnych ścieżkach!

– Głównie biegi terenowe i polowania konne – wyjaśnił.

– Wszystko strasznie szybkie i niebezpieczne?

– A pewnie! – Roześmiał się. – Na Boga, chyba pani nie jest starą ciotką!

– Owszem, jestem ciotką. Dla dzieci mojej siostry!

Ta replika wywołała następny wybuch śmiechu.

– Dobrze, niech pani teraz opowie mi o sobie i o swoich znajomych. Musi pani kiedyś wpaść do nas na kolację!

Opowiedziałam mu pokrótce o wszystkim, przy czym zauważyłam, że nastawił uszu, gdy była mowa o mojej pracy w szkole. Widać miał córki w wieku szkolnym! Prawdopodobnie chciał dokładnie rozeznac moje układy towarzyskie, aby mnie odpowiednio zaszufladkować i zaetykietować. Dokonał tego w ciągu kilku minut, ale chyba pociągałam go również fizycznie, bo jego oczy wędrowały leniwie po całej mojej postaci, zatrzymując się całkiem ostentacyjnie na wysokości piersi. Z półuśmiechem igrającym na wargach zadał następne pytanie:

– A dlaczego pani dotąd nie wyszła za mąż?

Uśmiechnęłam się przeciągle.

– Długo by o tym mówić...

W tym momencie pojawiła się za moim rozmówcą Lucinda. Jej drobna twarz o ostrych rysach wyrażała niezadowolenie.

– Jakers, nie pij więcej! – przestrzegła, a zwracając się do mnie, wyjaśniła. – On będzie jeszcze musiał odwieźć nianię do domu! Mąż w biegu złapał ją za rękę.

– Musisz poznać tę miłą panią! – Usiłował mnie przedstawić.

– Ta pani uczy gry na skrzypcach w naszej szkole!

Lucinda zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół.

– Doprawdy? To świetnie! – oświadczyła tonem kompletnie wypranym z zainteresowania.

Skorzystałam z okazji i oddaliłam się, aby nastroić skrzypce przed kolejnym występem. Tymczasem na stołach znalazły się już półmiski z serami, a roznoszono właśnie porcje cytrynowego placka z pianką. Kelnerki wyglądały na zmęczone, bo z większym

trudem przeciskały się przez gwarą, zatłoczoną salę. Przy jednym końcu stołu ludzie starsi i gorzej słyszący zaprzestali już prób porozumiewania się, tylko po prostu dotrzymywali sobie nawzajem towarzystwa. Jeden staruszek nawet zasnął, natomiast tam, gdzie zgromadzili się młodszy goście, wciąż jeszcze jedzono, pito i żartowano. Zaczynałam już myśleć, że Toby niefortunnie wybrał rodzaj rozrywki – może lepiej byłoby od razu rozpocząć tańce? Jednak Jenny Johnson ustawiła się już na scenie w pozycji wyczekującej, a Ned wygasił większość świateł, kierując na nią reflektor punktowy.

Publiczność zorientowała się, że coś zaczyna się dziać, więc wokół rozległy się psykania. Przed sceną stała już Paulina, szykując się do wygłoszenia kolejnego przemówienia. Przejęta własną ważnością, nabierała już powietrza w płuca, kiedy uprzedził ją Toby, biorąc kilka grzmiących akordów na fortepianie. Jenny od razu poszła na całość, porywając słuchaczy swoją pewnością siebie. Śpiewała dobrze wszystkim znane, popularne piosenki, które goście nucili razem z nią. Odetchnęłam z ulgą, bo sytuacja rozwijała się pomyślnie.

Po Jenny przyszła kolej na mnie, a kiedy stanęłam w świetle reflektora, rozległy się aprobujące gwizdy. Towarzyszyły im jednak okrzyki „No, szybciej, jazda z tym!”, a także śmiechy i wulgarne komentarze. Przeleciałam więc szybko moje tańce ludowe i zakończyłam „Samotną Pasterką”. Potem wykonałam lekki półukłon i odprowadzana ostentacyjnymi oklaskami Jake’a zbiegłam ze sceny. Musiałam odszukać Karolinę, bo nigdzie nie było jej widać. W końcu znalazłam ją w ubikacji. Po zapachu acetonu i poszarzałej cerze poznałam, że miała mdłości.

– Karolino, kochanie! – przemówiłam do niej, a kiedy spojrzała mi w twarz, dostrzegłam nienormalne podniecenie w jej oczach. Otoczyłam ramionami jej plecy, wątle jak u ptaszka. – Kochanie, widzę, że potrzebujesz pomocy...

Jej drobnym ciałkiem wstrząsały konwulsyjne łkania. Uczepiła się mnie jak człowiek tonący.

– Nie mogę, nie mogę... – szlochała.

Zaprowadziłam ją do mojego samochodu i wróciłam jeszcze na salę. Część gości zaczynała się już rozchodzić, reszta czekała na dyskotekę. Pulsujące światła i przeraźliwa muzyka od razu

zmieniły oblicze sali, a stoły odsunięto pod ściany. Tylko nieliczni starsi ludzie, zdecydowani odsiedzieć swoje, snuli się po kątach, ale parkiet opanowała młodzież podrygująca w takt muzyki. Żona Geoffreya wycinała hołubce z Tobym. Przebiłam się jakoś do niego i pociągnęłam go za rękaw.

– Co się z tobą działo? – wrzasnął mi w ucho. – Szukaliśmy i ciebie, i Karoliny. Jej rodzice wychodzą już z siebie!

Uśmiechnęłam się przepraszająco do Karen.

– Wyjdźmy na chwilę, muszę ci coś powiedzieć – poprosiłam Toby'ego.

Wyciągnęłam go na dwór, Karen tańczyła dalej solo.

– Spacerowałam z Karoliną, bo jest kompletnie załamana – wyjaśniłam. – Chyba nie będzie mogła zagrać. Słuchaj, ona jest anorektyczką, i to od dawna! Dosłownie się wykańcza.

Na twarzy Toby'ego odbiło się pełne zaskoczenie.

– Zabieram ją do siebie – mówiłam dalej. – Nie chce, żebym odwozła ją do rodziców, z domu zadzwonię do nich. Nie wiesz, czy wyjechali stąd prosto do domu?

– Tak, pół godziny temu. Ale ta biedna mała narobiła sobie biedy! Nie widziałaś gdzie Neda, on także cię szukał? Szkoda, że musisz już iść, bo zabawa dopiero się rozkręca. Może ktoś powinien pojechać z tobą? Ja, niestety, nie mogę, muszę dopilnować, żeby wszystko posprząтали jak należy.

– Dziękuję, dam sobie radę. Ona jest po prostu zmęczona. Kiedy tylko przyjedziemy, zaraz zapakuję ją do łóżka.

– Dobra, pogadamy jutro rano. – Zatrzymał mnie jednak na chwilę i pocałował w usta, dodając komentarz: – Byłaś cudowna. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej seksownej skrzypaczki!

Karolinę zastałam skuloną na siedzeniu mojego samochodu. W ciągu kilku minut dojechałam na farmę i pomogłam dziewczynie najpierw wysiąść, a potem przejść do kuchni. Pilgrim powitał nas radośnie, Karolina wylewnie go uściaskała.

– Zrobię ci teraz coś do picia, a potem położysz się do łóżka – zarządziłam, szykując termofor. – Przygotuję ci gorącej czekolady na mleku i masz to wypić, inaczej zaraz dzwonię do twoich rodziców, żeby cię zabrali do domu.

– Dobrze – zgodziła się potulnie, wątłym głosikiem. Przepraszam, że popsulałam pani wieczór.

– Nie ma o czym mówić! – ucięłam ostro. – Cieszę się, że znalazłam się w pobliżu, kiedy byłam potrzebna.

Wkrótce już spała w sypialni gościnniej, zwinięta w kłębuszek pod kołdrą, spod której prawie nie było jej widać. Podczas gdy brała kąpiel, zadzwoniłam do jej rodziców i odbyłam z nimi trudną rozmowę. Matka, pani Geraldine, ustawiła się od razu w postawie zaczepno-odpornej. Najpierw skrytykowała zachowanie Karoliny, określając je jako niewybaczalne. Wypytywała, czy dziewczyna jest chora, czy ma gorączkę i dlaczego wołała zostać ze mną, niż wracać do domu. Wyjaśniłam, że ich córka była przygnębiona i poprosiła, abym pozwoliła jej zostać na noc. Zdaniem matki chciała w ten sposób po prostu zwrócić na siebie uwagę. Tego już było za wiele. Nie wytrzymałam:

– Czy pani nie widzi, że ona jest poważnie chora? Ma mocno zaawansowaną anoreksję. Powiedziała mi, że pani o tym wie.

– Będzie lepiej, jeśli pani porozmawia o tym z moim mężem.

– Przekazała słuchawkę, ale nie wcześniej, niż wymieniła z małżonkiem kilka nieprzyjemnych słów.

– Co tu się dzieje? – zażądał wyjaśnień małżonek.

Opowiedziałam mu po kolei, co się wydarzyło dzisiejszego wieczoru. Także i z nim podzieliłam się obawami co do fizycznego i psychicznego stanu Karoliny.

– Przepraszam, wiem, że to może zabrzmieć niegrzecznie – usprawiedliwiał się na zapas – ale właściwie, co pani do tego?

– Absolutnie nic, ale nie mogę przejść obojętnie, kiedy ktoś potrzebuje pomocy, a dziś wieczór Karolina bardzo mnie potrzebowała. Musicie państwo coś z tym zrobić. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że to poważna choroba i nie ma sensu udawać, że nic się nie dzieje.

– Owszem, byliśmy z nią u lekarza, ale nie stwierdził nic takiego, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić. W domu je normalnie... – ...a potem wszystko zwraca! – dokończyłam. – Mówiła mi, jak to robi. Zjada wszystko, co jej się daje, a potem prowokuje wymioty. Bierze także środki przeczyszczające, po dwadzieścia tabletek dziennie!

Na chwilę zapanowała cisza. Gdy po chwili znowu przemówił, jego głos zmienił ton z agresywnego na smutny.

– Dziękuję, że pani zgodziła się ją przenocować. Cieszę się, że znalazła miejsce, gdzie czuje się bezpiecznie. Zadzwoń do pani jutro, a na razie dziękuję i dobranoc!

Kiedy w końcu sama położyłam się do łóżka, nie mogłam zasnąć. Nie byłam przyzwyczajona, żeby pod moim dachem spał ktoś obcy, a tym bardziej wynędziała kupka nieszczęścia. Na dodatek wyprowadziła mnie z równowagi rozmowa z jej rodzicami. Wracałam myślą do wydarzeń dzisiejszego wieczoru i wyrzucałam sobie, że nie zdążyłam pożegnać się z Nedom.

Zadzwoił telefon, więc odebrałam go od razu, aby nie budzić Karoliny. Dzwonił Robert. Nie przeczę, że miło było wymieniać z nim czułe słówka w ciemności pod kołdrą. Opowiedziałam mu, jak minął dzisiejszy wieczór, przy czym przyłapałam się na tym, że szczerze zaangażowałam się w problem Karoliny. Robert słuchał z zainteresowaniem i współczuł dziewczynce, bo jedna z jego córek też kiedyś cierpiała na anoreksję. Z tego powodu musiał nawet odebrać ją ze szkoły z internatem i trzeba było lat, zanim doszła do siebie.

– A ten Ned to kto? – zainteresował się. – Mam nadzieję, że się w nim nie zakochałaś. A może powinienem być zazdrosny?

Mówił to jednak zupełnie spokojnym i beznamiętnym tonem.

– Skąd, wiesz przecież, że dla mnie istniejesz tylko ty! – zapewniłam go. – Może jednak kochasz mnie choć trochę?

– Kocham być z tobą – wywinął się zręcznie. Nigdy nie dał się sprowokować do takiej odpowiedzi, jaką chciałam usłyszeć!

Zaledwie odłożyłam słuchawkę, telefon zadzwonił znowu. Odebrałam go natychmiast, lecz z drugiej strony drutu panowała głucha cisza. Tym razem jednak byłam zanadto zmęczona, aby się tym przejmować. Odwróciłam się do ściany i zasnęłam.

Nazajutrz Karolina obudziła się o dziesiątej. Zeszła do mnie do kuchni, gdzie siedziałam przy kawie. Jej zakurzony, czarny strój w połączeniu z bladą i ściągniętą twarzą sprawiał dziś jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie. Dla odmiany od samego rana zachowywała się chłodno i nieprzyjaźnie. Najwyraźniej żałowała swojej wczorajszej wylewności. Zrobiłam jej grzanki, które kroїła na drobne kawałki i nie chciała smarować masłem. Atmosfera była napięta, więc w końcu musiałam coś powiedzieć.

– Karolino... – zaczęłam, ale musiała wyczuć szczególną intonację mojego głosu, bo od razu mi przerwała.

– Proszę, niech pani nic więcej nie mówi!

– Posłuchaj, potrzebujesz pomocy i dobrze o tym wiesz. Jesteś chora i sama sobie z tym nie poradzisz. Wczoraj wieczorem byłaś tego samego zdania.

Okazało się jednak, że po przespanej nocy nabrała sił do dalszego oporu. Znów, jak na początku, wróciła do postawy obronnej.

– O jakiej pomocy pani mówi? Że niby co, mam fioła? Potrzebuję psychiatry?

– Chcę powiedzieć, że bez fachowej pomocy nie wyzdrowiejesz. To poważna choroba, która może cię zabić. Nie jestem specjalistą i nie wiem, jak się to u ciebie zaczęło, ale wiem, że to rodzaj uzależnienia i zwykle zaczyna się w głowie. Pewnie wydaje ci się, że jesteś gruba?

Wzruszyła ramionami i odwróciła się w drugą stronę. Nie patrząc na mnie, odpowiedziała cicho:

– Pewnie, byłam i jestem. O, popatrz, jakie tu mam sadło! Muszę się tego pozbyć! – Skręciła w palcach cienką fałdkę skóry nad talią.

– A ile ważysz? Czy lekarz waży cię podczas badania? I jak często chodzisz się badać?

– Byłam już kilka razy, ale on każe mi jeść różne paskudztwa, na przykład czerwone mięso! Owszem, ważył mnie i powiedział, że nie wolno mi zejść poniżej czterdziestu kilo. Chyba już trochę zeszałam, ale ostatnią wizytę przepuściłam.

– Czy mama umówiła cię na inny termin? Chyba wie, że nie

poszłaś na badania?

– Nie wie, bo była wtedy z tatusiem na wycieczce w Hongkongu.

– I nie przejmuję się tym, co się z tobą dzieje? Niemożliwe!

– A jakże, przecież to od niej wszystko się zaczęło! Zawsze mi wmawiała, że jestem za gruba i że nie będę mogła pokazać się na plaży w bikini. Sama też wiecznie stosuje dietę, chociaż teraz już mówi, że posunęłam się za daleko. Ale na początku to się jej podobało, od razu zauważyła, że lepiej wyglądam!

W którymś momencie Karolina wbiła wzrok w przestrzeń, twarz się jej skurczyła, a ręce zaczęły tak drżeć, że aż zsunęła rękawy swetra poniżej palców i skręcała w dłoniach mankiety. Widać było, że otaczający świat napawa ją głębokim przerażeniem.

– Tak się boję! – wyszeptwała. – Nie wiem, co mam robić, jak mogę przestać? Niby wiem, że powinnam jeść, ale boję się przestać...

– Przestać co? – Odwróciłam się do niej i ujęłam rękę schowaną w oślinionym mankiecie swetra.

– Przestać się odchudzać. Boję się, bo nie wiem, co się stanie, jeśli zacznę jeść normalnie!

Pociągnęła nosem i przełknęła. Patrzyłam na nią z przerażeniem. Co za diabeł ją podkusił, że próbowała zagłodzić się na śmierć. Swoje wychudzone ciało widziała jako tłuste i nieapetyczne? Ręka, którą czułam w swojej, była chłodna i wiotka.

– Posłuchaj, Karolino – zaczęłam. – Opowiem ci o mojej najlepszej przyjaciółce z czasów szkolnych. Też była anorektyczką i to zdominowało naszą przyjaźń. Ładna i mądra dziewczyna, tak jak ty, ale wbiła sobie do głowy, że jest gorsza od innych. Wszystko szło jej świetnie, ale pracowała coraz więcej, bo wciąż było jej mało. W końcu zaczęła się odchudzać. Na początku odczuwała satysfakcję, że potrafi kontrolować własne ciało. Nie dość, że jadła coraz mniej, zaczęła jeszcze ćwiczyć i biegać. Minął rok, zanim ktokolwiek się zorientował, co się naprawdę dzieje. Początkowo podziwialiśmy jej dyscyplinę i siłę woli. Bo jakże to – my opychaliśmy się czekoladą, a potem zamartwialiśmy się tuszą i pryszczami, a ona w tym czasie stawiała się coraz szczuplejsza

i atrakcyjniejsza? W końcu jednak sprawy zaszły za daleko. Nosiła zawsze luźne rzeczy, ale wreszcie nie dało się ukryć, że prawie nic z niej nie zostało. Ręce i nogi miała już jak patyki! Próbowaliśmy wmuszać w nią jedzenie w szkole, ale na śniadanie przynosiła tylko jabłko i dwa kawałki chrupkiego chleba.

W końcu ktoś z nas zawiadomił o tym władze szkolne, a te z kolei jej rodziców. Znienawidziła nas za to i zaczęła unikać towarzystwa. Nie dostała się nawet na studia, bo postawili jej warunek, że musi najpierw nabrać trochę ciała. Jakoś dała się namówić na leczenie i zaczęła raz w tygodniu uczęszczać na terapię do specjalistycznej poradni w Roehampton. Początkowo próbowała oszukiwać – opijała się wodą i nosiła odważniki w kieszeniach, żeby wydać się cięższą – ale w tej poradni pracowali fachowcy, którzy nie z takimi mądralami mieli do czynienia! Wy tłumaczyli jej, że takie właśnie zachowanie jest charakterystyczne dla tej choroby. Byli wobec niej szczerzy, ale i stanowczy, toteż w końcu dała się przekonać, że jest uzależniona i potrzebuje leczenia. Od tamtej pory następowała stopniowa poprawa. Na początku wydawało się, że nie będzie mogła nigdy mieć dzieci z powodu zmian, jakie zaszły w jej organizmie, ale wszystko dało się jeszcze odwrócić. Teraz pracuje w agencji nieruchomości, ma wspaniałego męża, dzieci, nie jest ani za gruba, ani za chuda tylko normalna i bardzo szczęśliwa.

Pamiętam, co przez cały ten czas działo się w jej domu. Rodzice rozpaczali, histeryzowali, próbowali posłużyć się mną jako jej najlepszą przyjaciółką. Liczyli, że będą miała na nią jakiś wpływ, ale to przekraczało moje możliwości. Nic do niej nie docierało, jakbyśmy mówili w obcym języku. Pamiętam, jak jej ojciec siedział przy niej, pilnując, aby cokolwiek zjadła, a ona, zalewając się łzami, wmuszała w siebie mikroskopijne porcyjki, popijając je łyżkami jogurtu. To był koszmar, Karolino, nie dopuść, aby i u ciebie do tego doszło!

Karolina pociągnęła nosem, wycierając go w rękaw.

– Powie to pani mojej mamusi i tatusiowi? Powie im pani, że potrzebuję pomocy? I o tym, jak mi źle i jak strasznie się boję? Ja nie chcę umierać!

– Tak, powiem im o tym wszystkim.

Z zewnątrz dał się słyszeć odgłos podjeżdżającego samochodu.

Wyrzałam przez zaparowane okno na podwórko, gdzie szare, zachmurzone niebo zwieszało się nisko nad dachami zabudowań. Pod tylnymi drzwiami stał Toby. Spytałam Karolinę, czy chce się z nim widzieć, czy raczej mam go spławić.

– Nie, niech wejdzie. – Usiadła nawet prosto na krześle. – Ale nie mówcie o mnie, dobrze?

Toby wszedł na górę, promieniując radością życia. Przyprowadził ze sobą teriera o imieniu Buster, który od razy wskoczył Karolinie na kolana i lizał ją po rękę, podczas gdy Pilgrim tańczył wokół gościa, merdając ogonem.

– Jak się czujesz? – spytał Karolinę.

– Dobrze. Przepraszam, że popsulałam wam koncert. Po prostu zrobiło mi się słabo.

Napotkałam wzrokiem spojrzenie Toby'ego i grymasem twarzy zasygnalizowałam mu, żeby nie drażył tematu. Zrozumiał.

– Wiem, Harriet mi mówiła. Ale teraz już lepiej?

– Dziękuję, całkiem dobrze. Chyba już pójdę – wstała. – Nie, proszę mnie nie podwozić. Chętnie przejdę się.

Wyszła. Toby zrobił zdziwioną minę.

– Czyżbym przyszedł w nieodpowiedniej chwili? – zapytał.

– Ach, nie! – Westchnęłam. – Tylko to wszystko mnie przerasta. Nie jestem specjalistką od anoreksji, a ona potrzebuje fachowej porady. Mam tylko nadzieję, że wskazałam jej właściwy kierunek. Muszę zaraz zadzwonić do jej rodziców. Może wtrącam się w nie swoje sprawy, ale chcę ich zapytać wprost, czy wiedzą, co naprawdę się dzieje z ich córką. Z tego, co mi wczoraj mówiła, wywnioskowałam, że prawie z nimi nie rozmawia. Myślisz, że dobrze zrobiliśmy, puszczając ją samą do domu? Może trzeba było lecieć za nią?

– Stąd do jej domu jest tylko dziesięć minut marszu. Gdybym poszedł za nią, wyglądałoby, jakbyśmy się bali, że zrobi sobie krzywdę. Nie jest w końcu lunatykiem!

Oczywiście miał rację, ale na jego prostej, otwartej twarzy malowało się kompletne zagubienie. To, co miało miejsce, przekraczało jego możliwości pojmowania.

– O co tym dziewczynom chodzi? Czego ona się uczepliła? Przecież wcale nie jest gruba, przeciwnie, wygląda jak szczapa!

– Widzisz, to wszystko przez tę propagandę. Dziewczynom się

wmawia, że chude jest piękne i że to się podoba mężczyznom. Zaczyna się zwykle od zrzucania wagi, żeby atrakcyjnie wyglądać. Karolina miała do tego głupią matkę, która kazała jej się odchudzać i chwaliła ją, kiedy traciła na wadze. Dla tych dziewcząt jest to także kwestia kontroli nad własnym życiem. Odczuwają satysfakcję, bo mają wpływ przynajmniej na to, co jedzą, albo raczej, czego nie jedzą. Ale przedłużające się głodówki powodują w ich mózgach takie zmiany, że same przestają dostrzegać, co się z nimi dzieje. Nie widzą, że zmierzają do samounicestwienia. Mam tylko nadzieję, że u Karoliny zauważyliśmy to dostatecznie wcześniej.

– Skąd wiesz tyle o tych sprawach? – zapytał z podziwem Toby, kiedy wykręcałam numer do rodziców Karoliny.

– Bo miałam przyjaciółkę anorektyczkę, a takich przeżyć się nie zapomina.

Telefon odebrała Geraldine, ale tym razem mówiła mniej opryskliwym tonem. Staralam się w miarę beznamiętnie przekazać jej swoje obawy. Uświadomiłam ją, że wczorajsza niedyspozycja Karoliny ujawniła to, co od dawna podejrzewałam – zaawansowaną anoreksję. Wyjaśniłam, że w swojej pracy mam do czynienia z kilkunastoletnimi dziewczętami i dlatego jestem specjalnie wyczulona na ten problem. Regulamin szkoły nakazuje powiadamiać o niepokojących sygnałach, więc nie miałabym sumienia ignorować tak wyraźnych objawów...

Na wzmiankę, że Karolina opuściła ostatnią wizytę u lekarza, w słuchawce zapadła cisza. Matka dziewczynki musiała najwidoczniej stoczyć ciężką walkę, aby przyznać, że jej córka jest chora i wymaga specjalistycznej kuracji. Zdawała sobie też sprawę, że przy okazji wyjdą na jaw niewłaściwe stosunki między nią a córką, ludzie z zewnątrz zaczną oceniać atmosferę panującą w jej rodzinie. Ta perspektywa wydawała się jej bardzo nieprzyjemna, więc wolała udawać, że problemu nie ma. Przypomniałam sobie, jak w podobnej sytuacji zachowywała się opanowana zwykle matka mojej przyjaciółki. Nie miała zwyczaju zbyt się wzruszać, więc oschle informowała męża, że z córką nie dzieje się nic złego, bo w jej rodzinie wszyscy byli chudzi... Było mi trochę żal matki Karoliny, ale znacznie bardziej jej tęgiego, czerwonego na twarzy ojca, który szybko stracił cały

kontenans, kiedy żona oddała mu słuchawkę.

– Tak bardzo ją kochamy... – Głos mu się załamywał. – Co jeszcze możemy dla niej zrobić? Czy ona pani powiedziała, dlaczego doprowadziła się do takiego stanu? Próbowaliśmy już chyba wszystkiego...

– Widzi pan, ja także nie znam odpowiedzi. Już to, że państwo dostrzegacie problem i zaczęliście zadawać pytania, stanowi pozytywny objaw. Wiem jednak z własnego doświadczenia, że sami nie dacie sobie z tym rady. Podobno w Bristolu jest naprawdę dobra klinika zajmująca się takimi przypadkami. Akurat leczy się w niej jedna dziewczynka z mojej szkoły, stąd wiem, że lekarz rodzinny może skierować tam Karolinę. Proszę was, nie traćcie czasu i zadzwońcie do niego jeszcze dziś, bo sytuacja naprawdę jest poważna.

Dwa dni później złożyłam wizytę w miejscowym ośrodku zdrowia, aby się zarejestrować. Zwyczajowo przy rejestracji pielęgniarka przeprowadza rutynowy wywiad. Akurat miała czas, więc od ręki załatwiłyśmy formalności.

Ta żwawa i energiczna kobieta około pięćdziesiątki pokiwała głową z aprobatą, kiedy (zgodnie z prawdą) oświadczyłam jej, że nie palę i skłamałam, że nie piję. Wpisała w odpowiednie rubryki historię chorób występujących w mojej rodzinie i zmarszczyła czoło, kiedy się dowiedziała, że mój ojciec zmarł dość młodo na rozległy zawał. Pozytywnie natomiast oceniła moje ciśnienie i fakt, że nie przyjmowałam żadnych leków. Pochwaliła mnie, że regularnie kontroluję piersi i przeprowadzam badania cytologiczne. Potem jednak kazała mi wstać, aby mogła mnie zmierzyć i zważyć. Tego najbardziej się obawiałam jeszcze od czasów szkolnych, ale nie miałam wyjścia. Czerwona strzałka zatoczyła prawie pełne koło, zanim się w końcu zatrzymała. Pielęgniarka oceniła jej położenie znad półkolistych okularków i od razu zaczęła mi prawić kazanie.

– Ojoj, ale pani dużo waży! Oczywiście, widzę, że pani jest mocno zbudowana, ale to nie usprawiedliwia nadwagi. Przy tym wzroście powinna pani... – Spojrzała na wykres wiszący na ścianie i odczytała zeń wagę, jakiej nie trzymałam od szesnastego roku życia. – Niestety, musi pani albo więcej się ruszać, albo ograniczyć jedzenie. Czy zażywa pani dużo ruchu?

– Codziennie chodzę na siłownię – zełgałam gładko. – Przecież siostra wie, że tkanka mięśniowa jest cięższa od tłuszczowej!

Przez całą drogę do domu trzęsłam się ze złości. Dlaczego współczesna medycyna tak traktuje kobiety? Jakim prawem ta arogancka pielęgniarka wpędza mnie w kompleksy? Sama była koścista i płaska jak deska, zero kobiecości. Wymogi współczesnego rynku sprawiły, że naturalne kobiece kształty zaczęto uważać za coś nagannego, a moda i medycyna szły pod tym względem ręką w rękę.

Oczywiście każdy głupi wie, że nadmierna tusza prowadzi do choroby, ale nagonka na tęższe kobiety nie ma ze zdrowiem nic wspólnego. To przez nią Karolina mało się nie zagłodziła na śmierć! A komu naprawdę służy „służba zdrowia”, która zachęca kobiety do chirurgicznej korekty kształtu nosów i piersi i wmawia im, że idealna piękność możliwa jest do osiągnięcia jedynie przez osoby o odpowiednim stanie konta? Taką „służbę zdrowia” reprezentuje też pielęgniarka, która potrafiła zaledwie kilkoma słowami wywołać u mnie poczucie winy i niskiej wartości. Takie same uczucia skłoniły moją przyjaciółkę do drakońskiej głodówki, a mnie – do ciągłych wyrzeczeń!

Miałam już tego dość. Na znak protestu wykupiłabym najchętniej całą zawartość przydrożnego sklepu. Musiałam jednak poczynić pewne postępy w edukacji zdrowotnej, bo uświadomiłam sobie, że taką formą buntu zaszkodziłabym wyłącznie sobie.

W domu znalazłam nagrane na automatyczną sekretarkę wiadomości od Mike’a i Neda. Mike’a pytał, czy serio zapraszałam go na weekend i prosił o potwierdzenie telefoniczne, jeśli tak było. Ned natomiast zostawił następujący komunikat:

„Cześć, tu Ned. Chciałem ci tylko powiedzieć, że... przepraszam, ale miałem spieprzony cały wieczór. Wpadnij, gdybyś koło mnie przejeżdżała. No, lepiej już pójde. Cześć!”.

Nie bardzo rozumiałam, co ta wiadomość mogła oznaczać, jednak nie zrobiłam nic w tym kierunku. Może dlatego, że miałam teraz więcej zajęć, bo w mojej szkole rozpoczynał się wiosenny semestr, a raz w tygodniu udzielałam dodatkowo lekcji w szkółce przy katedrze. Prywatne lekcje muzyki są dobrze płatne, więc

cieszyłam się, że wkrótce pokryję debet na moim koncie. Zaczęłam myśleć o poważniejszych sprawach, jak uczestnictwo w funduszu emerytalnym albo o ewentualnych zagrożeniach finansowych, wiążących się z oczekiwanym małżeństwem mojej matki.

Wstydziałam się takich myśli, ale gdzieś w głębi czaił się lęk, że Douglas może położyć rękę na jej pieniądzech. Podzieliłam się tymi obawami z moją siostrą Isabel, która ze śmiechem wyznała, że i jej chodziło po głowie to samo. Ze swej strony nie bała się o siebie, bo oboje z Jakem dobrze zarabiali, ale chciała zabezpieczyć przyszłość swoich dzieci.

– Co sądzisz o tym Douglasiu? – podpytywała.

– Wygląda na miłego, dystyngowanego pana, ale rozmawiałam z nim bardzo krótko. A co, mama chciała ci go przedstawić?

– Otóż to właśnie. Jadę tam pociągiem w sobotę, żeby mu się dobrze przyjrzeć. Mam może wysiąść przystanek wcześniej, żeby zdać ci relację?

To był dobry pomysł, więc umówiliśmy się, że w sobotę będę czekać na nią na stacji i wtedy porozmawiamy o małżeńskich planach mamy. Isabel przyjechała, usiadłyśmy w moim samochodzie stojącym na parkingu i wtedy zauważyłam, że moja siostra wygląda na zmęczoną. Tłumaczyła to tym, że zajmowała się w zeszłym tygodniu skomplikowaną sytuacją prawną jakiejś firmy.

– No i co w końcu myślisz o tym zamążpójściu mamy? – zapytała.

– Wydaje mi się, że to niegłupie, choć na początku przeżyłam szok. Po prostu nigdy nie brałam pod uwagę, że mama może zwyczajnie potrzebować faceta. Sądziłam, że była zadowolona z życia, bo zawsze miała co robić – jak nie kościół, to ogródek i tak dalej... Tymczasem okazało się, że czuła się samotna i marzyła, aby móc z kimś to dzielić. Musiałam nie mieć żdźbła wyobraźni, żeby tego nie zauważyć, dopóki nie powiedziała mi tego wprost!

– Widzisz, nam się wydaje, że osoba powyżej pięćdziesiątki nie ma już życia uczuciowego! – Isabel się zaśmiała. – Jeśli tylko on jest miły, a ona z nim szczęśliwa, to chwała Bogu, bo zasłużyła

na to. W końcu przez tyle lat żyła sama jak palec! Pozostaje tylko kwestia pieniędzy. Nie wiem, co i komu tato zapisał w testamencie, ale zdaje mi się, że wszystko przypadało mamie. Dlatego chcę mieć pewność, że Douglas tego nie zdmuchnie.

– No, ale nie możemy przecież jej powiedzieć w ten sposób! Sprawiliśmy jej dużą przykrość.

– Więc jak masz zamiar ukryć, że o to właśnie nam chodzi? – argumentowała rozsądnie Isabel. Uważała, że powinniśmy bez owijania w bawełnę dowiedzieć się, na jakie zabezpieczenia finansowe możemy liczyć. Ja natomiast byłam zdania, że takie pytanie mama mogłaby odebrać, jak życzenie jej śmierci. Nie miałam sumienia, by zawczasu dyskutować z nią o pieniądzach, na jakie ewentualnie mogliśmy liczyć!

Isabel przekonała mnie jednak, żebym spróbowała poruszyć ten temat z mamą. Jej zdaniem miałam dobry pretekst – chciałam znać swoją sytuację finansową na wypadek, gdybym zamierzała kupić dom. Twierdziła, że mnie bardziej wypada o to zapytać, bo częściej widuję się z mamą, która dobrze wie, że nie mam grosza przy duszy. Dłużej nie mogliśmy rozmawiać, bo Isabel chciała zdążyć na następny pociąg, więc tylko pocałowałyśmy się i pobiegła.

Nie byłam zachwycona takim obrotem spraw, bo materia wydawała się mocno delikatna. Cokolwiek powiem i tak wyjdzie na to, że nie dowierzam Douglasowi, podejrzewam go o niecne motywy, a w ogóle myślę tylko o sobie... Zdecydowałam, że na razie dam sobie z tym spokój.

Zresztą i tak nie miałabym czasu, by zrobić cokolwiek w tym kierunku, bo jeszcze tego samego dnia zadzwonił do mnie Robert. Oświadczył, że przez najbliższe dwa tygodnie będzie w Londynie, w związku z czym przez cały ten okres tłukłam się w tę i nazad szosą A303, aby spędzać z nim każdą wolną chwilę. Pochłonęło mnie to całkowicie, bo czas mijał nam albo w łóżku, albo na wspólnych posiłkach, więc nie starczało już energii na nic innego. Uznałam ten czas za najszczęśliwszy w moim życiu, tym bardziej, że Helena przebywała wtedy z dala od nas; jej córka, Belinda, zaprosiła ją na trzy tygodnie do Australii.

Jeśli natomiast chodzi o Mike'a – z przykrością muszę przyznać, że nie poświęciłam mu ani chwili, nawet tyle, aby

oddzwonić. Mój domek stał pusty, a na meblach narosła gruba warstwa kurzu. Przez dwa tygodnie nie wyjmowałam swoich rzeczy z bagażnika samochodu, a Pilgrim już się zaprzyjaźnił z moją mamą, która z właściwym sobie taktem nie zadawała żadnych pytań. I tak moje życie toczyło się bocznym torem, dopóki nie odprowadziłam Roberta na lotnisko w Stansted. Pocałował mnie na pożegnanie, ale zaraz potem przekroczył bramkę dla pasażerów, nie oglądając się za siebie. Jasne było, że stęsknił się już za domem, więc wracałam na swoją farmę z ciężkim sercem.

Odebrałam Pilgrima od matki i stanęłam przed drzwiami swojego domu. Po ich otwarciu stwierdziłam, że kuchnia przez ten czas wyziębla i wyglądała ponuro. Wszystkie sprzęty przy dotyku wydawały się wilgotne, a bochenek chleba pozostawiony w pojemniku zdążył porosnąć zieloną brodą pleśni. Żonkile we flakonie wyschły i zbrązowiały, a woda, w której stały, zatechła. Prawem kontrastu pomyślałam w tej chwili o Mary, która pewnie witała już Roberta na lotnisku w Edynburgu. W domu czekała na niego potrawka z dziczyzny, powoli dochodząca w duchówce. Woda w łazience była gorąca, a kranie wypolerowane do połysku. Ktoś z pewnością pamiętał nawet o świeżych kwiatach na stole w holu!

W ich wygodnym, uporządkowanym życiu wszystko musiało być na swoim miejscu. Rozmowa przy stole dotyczyła pewnie wydarzeń, które miały miejsce podczas jego nieobecności, najnowszych wiadomości od dzieci, przekwitłego drzewa czy zaproszenia na Bal Myśliwych...

W tym samym czasie Helena, szczupła i opalona, wygrzewała się na leżaku gdzieś pod Melbourne. Oczami duszy widziałam ją, jak nad brzegiem luksusowego basenu sączyła przez słomkę chłodny napój i żartowała ze starymi przyjaciółmi. W pokoju gościnnym czekały na nią w szafie starannie dobrane toalety, czyste i odprasowane... To skojarzenie nasunęło mi się, kiedy wyładowywałam z bagażnika mojego rozklekotanego wozu kupę zmietoszonych łachów i kopniakami popychałam je w stronę pralki. Przy tej czynności coraz bardziej rozczulałam się nad sobą, aż wreszcie byłam zmuszona stanowczo stwierdzić, że to do niczego nie prowadzi.

Resztę weekendu zajęło mi porządkowanie wszystkiego i nadrabianie zaniedbań wynikłych z mojej nieobecności. Napaliłam w piecu, posprzątałam, odkurzyłam, napełniłam lodówkę wyłącznie zdrowymi produktami, a na parapecie okna ustawiłam flakon ze świeżymi kwiatami. Zadzwoiłam do Mike'a i zaprosiłam go na następny weekend. Do Neda też zadzwoiłam, ale nie zastałam go w domu. Z Tobym umówiłam się na drinka. Natomiast Loops oświadczyła, że złapała grype, ale chętnie przyjedzie, gdy tylko się lepiej poczuje. Karolina zwierzyła mi się, że rozpoczęła już terapię i co tydzień jeździ do specjalistycznej poradni w Bristolu. Wciąż jednak mówiła o tym z rezerwą, więc wiedziałam, że nie pójdzie z nią tak łatwo. Osiągnęłam przynajmniej tyle, że zgodziła się wpaść do mnie w czwartek po szkole. Na koniec dodzwoiłam się do Poppy, która palnęła mi kazanie na temat zaniedbywania starych przyjaciół, ale obiecała, że zajrzy do mnie, kiedy będzie odbierać komodę, którą dała do renowacji w Tisbury. Poppy ostatnio często odbywała takie wyprawy.

Odnowienie kontaktów towarzyskich sprawiło, że poczułam się znów sobą, co oznaczało powrót do równowagi naruszonej przez Roberta. Każdorazowe bowiem spotkanie z nim wywracało moje życie do góry nogami. Poppy kładła mi do głowy, że nie jest to wyłącznie jego wina, bo sama wpuściłam się w ten kanał.

– Te twoje rajdy w tę i nazad, hotele, seks, kolacyjki... – uświadamiała mi łopatologicznie – ...to nie jest normalne życie, tylko złudzenie normalności albo może raczej ucieczka od niej! Sama tego nie dostrzegasz?

Oczywiście, że dostrzegałam i dlatego właśnie czułam się tak podle. Nie chciałam, żeby to trwało wiecznie!

Następnego dnia lał deszcz, niebo przykryły burzowe chmury, a farma tonęła w błocie. Zachlapano owce stłoczyły się pod ciernistym żywopłotem, a Pilgrim niechętnie moczył łapy. Mimo to przyjazd Mike'a okazał się nadzwyczajnym wydarzeniem. Ku mojemu zaskoczeniu przyjechał pociągiem i ze stacji przyszedł piechotą, zabłocony, mrużąc oczy za grubymi szklami. Zdołał jednak przydźwigać podejrzenie opasał torbę. W jej wnętrzu kryły się dwie butelki whisky i tyleż samo wina. Mało tego – przytargał także bukiet kwiatów. Nie było to nic specjalnego, kupił go w kwiaciarni na dworcu, ale podziwiałam go, że chciało mu się trudzić.

Jego wizyta nałożyła się na pobyt Loops, w której oczywiście od razu się zakochał. Loops przyjechała do mnie jeszcze w połowie minionego tygodnia, ale pierwsze trzy dni przeleżała w łóżku, na zmianę kaszląc i paląc papierosy. W sobotę jednak wróciła już do zdrowia i wilczego apetytu, razem więc gotowałyśmy, robiąc przy tym masę bałaganu i dużo pijąc. Obserwując zalane deszczem pola, próbowałyśmy podjąć zobowiązania wielkopostne.

Loops postanowiła zrezygnować z jedzenia czekolady i jeżdżenia taksówkami. Ja nie miałam zbytnej ochoty zrezygnować z czegokolwiek, bo uważałam, że pożyteczniejsze byłoby podjęcie się czegoś pozytywnego. Spróbowałyśmy wyciągnąć z Mike'a, do czego on zobowiązał się w ramach wielkopostnych umartwień. Pomyślał chwilę i wyduśił:

– No, może mniej alkoholu i papierosów, a za to więcej seksu...

Mikę uwielbiał leżeć na poduszkach rozłożonych na podłodze przy zapalonym kominku i oglądać w telewizji mecz rugby. A gdy jeszcze Loops postawiła mu na piersiach talerz spaghetti i szturchnęła go butem w bok, wyznał, że tak właśnie wyobraża sobie niebo!

– Co za śmierdzący leń! – parsknęła Loops.

– Niestety, masz niekwestionowaną rację! – potwierdził, rozanielony. Był rzeczywiście cudownym kompanem.

Oplotkowaliśmy go potem z Loops, kiedy wyszedł na dwór po

drewno do kominka, a my w tym czasie przyrządzałyśmy sałatkę.

– On jest super! – orzekła Loops. – Nie wiem, czy zauważyłaś, że faceci, którzy nie grzeszą urodą, są zwykle lepszymi kumplami. Może dlatego, że muszą włożyć w to więcej wysiłku, bo wiedzą, że nie mogą polegać na własnym wyglądzie, by poderwać panienkę. Przystojniacy, których spotykam, to przeważnie albo pedały, albo onaniści!

Rozśmieszyła mnie, ale w dużym stopniu miała rację.

– Oczywiście – ciągnęła dalej – ten twój absztyfikant, don Roberto, jest wyjątkiem, bo i przystojny, i miły, prawda?

– Żebyś wiedziała! – potwierdziłam z chytrym uśmiechem.

– W takim razie albo jest to rzadki okaz przyrodniczy, albo miłość jest ślepa!

Mikę stanowił żywy dowód słuszności słów Loops, bo okazywał zainteresowanie życiem na wsi, aprobował mój wybór i starał się być pomocny. Chwalił potrawy, które pichciłyśmy i dobrowolnie podjął się zmywania, chlapiąc przy tym sporo, jak zwykle mężczyźni. Pamiętał nawet, żeby rozwiesić ścierkę do suszenia przy piecu! Loops stwierdziła, że to urodzony domator i tak przemily towarzysz życia, że to aż podejrzane!

Sęk w tym, że Loops przechodziła ostatnio nie tylko gripę, lecz i kryzys psychiczny. Miała już dość pracy modelki i chętnie zajęłaby się czymś innym. Potrafiła zarobić wielkie pieniądze, których większość roztrwonila na stroje, alkohol i narkotyki, a po latach spędzonych na wybiegu i przed kamerą nie miała już zbyt wiele do pokazania. Dla odmiany marzyła teraz o studiach, najchętniej fotograficznych... Mikę chętnie jej słuchał i udzielał rad, jak zagospodarować szczupły kapitał, jaki jej pozostał.

Pierwszego dnia po przyjeździe miała okazję poznać Karolinę, która wieczorem wpadła mnie odwiedzić. Dziewczynka od razu zachwyciła się urodą Loops i tym jej szczególnym, rozleniwiającym wdziękiem, który działał na każdego, bez względu na płeć. Silne, gibkie ciało Loops jeszcze bardziej podkreślało wątłość Karoliny. Loops od razu też zrozumiała, na czym polegał problem młodej dziewczyny.

– No, musimy ci trochę poukładać w głowie! – zawyrokowała, po czym jeszcze tego samego wieczoru wywabiała Karolinę na długi spacer. Na wszelki wypadek owinęła jednak szyję szalikiem,

utrzymując, że zbyt dużo świeżego powietrza też może zaszkodzić.

Po powrocie zdała mi relację z przebiegu rozmowy. Opowiedziała Karolinie o swoich koleżankach, które także wpadły w anoreksję. Jedna z nich od dwóch lat to wychodziła ze szpitala, to do niego wracała. Karolina zwierzyła się jej z uciążliwości terapii i trudności z odzyskaniem własnej wagi. Wyznała, że najłżejszy nacisk prowokuje ją do zaprzestania leczenia i powrotu do głodówki.

Loops relacjonowała mi tę rozmowę, stojąc w niedbalej pozie przed gorącym piecem kuchennym, z kubkiem gorącego kakao w rękę. Uświadomiłam sobie, że i ona stała się ostatnio jakaś cieplejsza i miłsza. Rozczarowanie pozerskim zawodem modelki pojawiło się u niej równocześnie z głębszym, mniej powierzchownym podejściem do życia. Zaniechała także, przynajmniej na razie, wszelkich romansów, deklarując, że rozpoczęła „nowicjat w klasztorze”.

Karolinę rozśmieszyła do łez opowieściami z za kulis wybiegu dla modelek. Jak urodzona aktorka, świetnie potrafiła naśladować sposób mówienia i poruszania się zmanierowanych dziewczyn, z którymi pracowała. Według niej najbardziej niewyparzone gęby miały panienki z wyższych sfer, absolwentki ekskluzywnych szkół. Używały takiego języka, że uszy wiodły nawet szeregowcom służby zasadniczej! Myślały tylko o seksie, wódzie i prochach, i rzeczywiście tak dawały sobie do wiwatu, że na zdjęciach wychodziły dobrze tylko na leżąco albo oparte o ścianę, bo nie mogły utrzymać się na nogach! Loops zapisała na karteczce swój numer telefonu i dała go Karolinie ze słowami:

– Możesz do mnie dzwonić zawsze, o każdej porze, jeśli poczujesz, że to ci pomoże.

W niedzielę wybraliśmy się wszyscy na długi spacer, a na lunch zjedliśmy pieczonego kurczaka. Potem, niestety, Loops musiała już wracać do Londynu i zabrała ze sobą Mike’a. Ten ostatni wyznał, że miał wspaniały weekend i dało się wyczuć, że mówił szczerze. Na pożegnanie wyściskał mnie, wycałował i obiecał, że będzie ze mną w kontakcie. Zadeklarował, że chętnie przyjedzie znów, aby mi pomóc w urządzeniu kuchni.

Pomachałam im na pożegnanie i wróciłam do swojego domku, gdzie nagle zrobiło się cicho i spokojnie. W gruncie rzeczy

byłam zadowolona, że zostałam sama. Opróżniając popielniczki i zbierając porozrzucone gazety, zastanawiałam się, gdzie może być teraz Robert, bo odkąd zakończył się nasz miłosny festyn, nie miałam od niego znaku życia. W tym momencie, jakby na zamówienie, zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę, ale nikt się nie zgłosił. Zakląłam brzydko i rozłączyłam się, zastanawiając się poważnie nad możliwością zawiadomienia centrali o czyichś niesmacznych żartach. Najprawdopodobniej anonimowy dowcipniś sprawdzał w ten sposób, czy jestem w domu. Rozważałam nawet, czy to nie Robert tak się zabawia, ale odrzuciłam ten pomysł.

Wieczorem, kiedy kręciłam się po domu, robiąc porządki i przygotowując się do zajęć na następny tydzień, znów poczułam obok siebie obecność Alicji. Nie wzbudzała we mnie strachu, po prostu była. Może za życia tylko w niedzielne wieczory miała wolną chwilę dla siebie? Pewnie siadała wtedy przy kominku w odświętnej sukni, składając spracowane dłonie na podolku, podczas gdy jej mąż w sypialni na górze wypluwał płuca... Myśląc o Alicji, musiałam przysnąć, gdyż z drzemki wyrwało mnie gwałtownie szczekanie Pilgrima. Przerażona zerwałam się na równe nogi i zaczęłam nasłuchiwać. Zanim zapaliłam światło w kuchni, zdążyłam jeszcze usłyszeć warkot samochodu zawracającego na moim podjeździe. Pewnie para kochanków szukała ustronnego miejsca, aby tam zaparkować...

Wiosenną przerwę półsemestralną spędziłam w Londynie, w towarzystwie Poppy. Mój związek z Robertem był akurat w fazie kryzysu. Minęły trzy tygodnie, a nie miałam od niego żadnej wiadomości. Kiedy dzwoniłam do domu, odzywała się automatyczna sekretarka, a w pracy – prawdziwa, która informowała mnie, że szefa nie ma. Dręczył mnie więc coraz większy niepokój, co się z nim dzieje? Normalnie dawno już by się odezwał, choćby zdawkowo, chyba że jacyś terroryści przetrzymywaliby go w charakterze zakładnika. Czyżby tamte upojne dwa tygodnie nic dla niego nie znaczyły i zdążył wymazać je z pamięci? Przecież gdyby spotkało go jakieś nieszczęście – na przykład zawał albo wypadek samochodowy – jego sekretarka musiałaby o tym wiedzieć!

A może w tym, co się stało, maczała palce Helena? Dla

pewności zadzwoniłam do jego klubu i spytałam, czy się tam zatrzymywał? Recepcjonistka odpowiedziała, że tak, ale kiedy spróbowała połączyć się z jego pokojem – nie zastała go. Przeraziłam się nie na żarty, bo oznaczało to, że przyjeżdżał do Londynu, ale nie próbował się ze mną skontaktować. Dla pewności zadzwoniłam do Suffolk, skąd usłyszałam nagrany na taśmie, pyszałkowaty głos Heleny oznajmiający, że może być uchwytne pod swoim londyńskim numerem. Wykreśliłam go, ale otrzymałam kolejną nagraną informację, że abonentka nie może podejść do telefonu. Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że musieli być wtedy razem.

Podjechałam metrem, a potem przesłam jeszcze kawałek do jego klubu. Roztrzęsiona, przechadzałam się nerwowo tam i z powrotem wzdłuż budynku, a potem przez dłuższy czas wystawałam w bramie naprzeciwko, skąd mogłam widzieć wszystkich wchodzących i wychodzących. Czułam, że odchodzę od zmysłów, a gdyby zobaczył mnie ktoś znajomy, niewątpliwie pomyślałby, że zwariowałam!

Koniecznym chciałam go przyłapać, aby mu dowieść, że mnie oszukał. Tyle tylko, że nie robił nic, o czym wcześniej nie uprzedzał. W porze lunchu pojechałam do Covent Garden i stałam pod ich ulubioną restauracją. Dwa razy miałam wrażenie, że to on, ale z bliska okazywało się, że to zupełnie kto inny. Weszłam nawet do środka i spytałam panią zajmującą się rezerwowaniem miejsc, czy mogę zostawić dla niego wiadomość. Recepcjonistka sprawdziła wszystkie rezerwacje i poinformowała mnie, że ani na ten, ani na następny dzień pan Mackintosh nie zamawiał stolika. Wróciłam więc do klubu, aby tam zostawić wiadomość. Portier dał mi świstek papieru i pożyczył długopis. Napisałam: „Cześć! Czyżbyś o mnie zapomniał?”, ale zaraz zgniotłam kartkę i uciekłam. Tak mi było wstyd, że nawet Poppy nie wspominałam o swoich wyczynach. Zmarnowałam tylko dwa dni na te daremne poszukiwania!

W poniedziałek panowała już prawdziwie wiosenna pogoda. Niebo przybrało kolor bladoliliowy, a ja siłą woli zmuszałam się do względnie normalnego zachowania. Siedziałyśmy z Poppy w jej ogrodzie, a mały Tom bawił się na rozłożonym kocu. W słońcu było tak ciepło, że mógł majtać w powietrzu gołymi

nózkami, więc usilnie próbował złapać swoje pulchne paluszki. Poppy wyznała mi, że chętnie urodziłaby następne dziecko. Okazało się, że znalazła nadzwyczajne upodobanie w macierzyństwie, zwłaszcza że posiadanie dzieci umożliwiła odkładanie na potem wszelkich innych decyzji. Spytałam ją, co konkretnie chciała przez to powiedzieć, na co westchnęła i zrobiła mi cały wykład.

– Widzisz, dla mnie macierzyństwo jest wszystkim. Wiem, że wiele kobiet pracuje również zawodowo, ale mnie wystarczy ten błogi spokój, jakbym unosiła się w leniwie płynącej wodzie, z dala od głównego nurtu. Powodzi się nam na tyle dobrze, że stać mnie na kogoś do pomocy, więc nie jestem stale zmęczona jak wtedy, gdy Jess była mała. Stworzyłam sobie własny, mały światek i mogę gwizdać na całą resztę.

– Właśnie to widzę. Chris pewnie też jest zachwycony, zwłaszcza wtedy, kiedy zastaje cię z resztkami zupki lub kaszki we włosach?

– Jeśli już, to pamiętaj, że chodzę dwa razy w tygodniu do dobrego fryzjera! A żebyś wiedziała, Chris jest zachwycony rolą ojca, żywiciela i dawcy. Ja znów z przyjemnością wcielam się w rolę biorecy, więc cudownie do siebie pasujemy. W łóżku nie jest nadzwyczajny, ale nigdy nie byłam specjalnie napalona na te rzeczy, a teraz to już zupełnie bez znaczenia...

Coś podobnego, seks był dla niej czymś bez znaczenia?! I pomyśleć, że ja mogłam kursować między Somerset a Londynem, gnana dzikim pożądaniem w jedną stronę, a osłabła z rozkoszy z powrotem? Mój związek z Robertem opierał się wyłącznie na pociągu fizycznym, więc tym bardziej nie mogłam znieść, że on w tej chwili pieprzył się z inną! Te moje myśli musiały uzewnętrznić się w wyrazie twarzy, bo Poppy z troską zapytała:

– Co z tobą? Wyglądasz jak kłębek nerwów i nie rozstajesz się z tą zasmarkaną komórką! Nie zadzwonił, czy co?

Wzruszyłam tylko ramionami i zrobiłam głupią minę.

– Chryste, jak ty możesz dać się tak poniewierać? Zachowujesz się jak zakochana smarkula. Zadzwon do niego i obtańcuj go porządnie!

– Kiedy nie wiem, gdzie on jest! – jęknęłam.

– To weź się w garść i nareszcie pogoń mu kota.

– Wolałabym pogonić kota Helenie, bo głowę daję, że on jest w tej chwili z nią. Ja ją chyba uduszę!

W marcu moja mama wzięła ślub. Uprzedziła wątpliwości Isabel i moje, dotyczące jej spraw finansowych, i sama pierwsza poruszyła ten temat.

– Douglas jest mężczyzną starej daty i koniecznie chciałby się mną opiekować – wyjaśniła nam. – Ma jednak własne dzieci, a mnie powodzi się na tyle dobrze, że mogę pozwolić sobie na niezależność. Mam zamiar sprzedać domek i przenieść się do niego, bo Douglas ma większy dom z przepięknym ogrodem. Dochód ze sprzedaży planuję zainwestować z myślą o was. Także dla was, żebyśmy miały jasność, chcę przeznaczyć resztę spadku po ojcu, i to już, bo teraz najbardziej potrzeba wam tych pieniędzy. Douglas chce łożyć na nasze codzienne utrzymanie, a na wypadek, gdybym stała się niedołączna, z góry opłacę dla siebie miejsce w domu opieki, aby nie sprawiać wam kłopotu. Chciałam, żebyście wiedziały o tym już teraz.

Rozmowa ta miała miejsce w przededniu jej ślubu. Nasz brat Iain przybył na tę okazję aż z Ameryki, gdzie pracował jako wykładowca na uniwersytecie. Urządziliśmy więc spotkanie rodzinne w salonie domu naszej matki, suto zakrapiane szampanem. Mama wyglądała na tak szczęśliwą i spokojną, że z emocji zaczęłam pociągać nosem i chlipać. Iain – potężny i jowialny chłop, wcale nie typ naukowca – otoczył ją ramieniem i powiedział parę słów na temat tego, jaka zawsze była dla nas wspianą. To przeważyło szalę i rozryczałam się na dobre, ale pozostali kazali mi się przymknąć, a po sporej dawce szampana humory od razu się poprawiły.

Iain mógł zatrzymać się u mamy, bo nie przywiózł ze Stanów swojej amerykańskiej żony Sally ani czwórki dzieciaków. Isabel natomiast pojechała do mnie. Do tego stopnia była zachwycona moją chałupką, że rozsiadła się w fotelu i zamknęła oczy, aby, jak powiedziała, napawać się ciszą.

– W porównaniu z twoim mój to dom wariatów! – orzekła. – Wyobraź sobie dwoje takich pracoholików jak my, a do tego jeszcze trójka bachorów poniżej dwunastu lat! Ty przynajmniej masz spokój. Sama nie wiesz, jak ci dobrze!

– Już powoli zaczynam to doceniać! – Uśmiechnęłam się, nalewając jej wina.

Isabel zachwyciała się tyleż możliwością długiej, relaksującej kąpieli, co perspektywą zajmowania całego łóżka tylko dla siebie. O dziesiątej wieczorem już spała, a ja siedziałam jeszcze trochę w kuchni i rozmyślałam o Robercie. Jak zwykle próbowałam do niego zadzwonić, ale jak zwykle odpowiedziała mi automatyczna sekretarka. Och, Robercie, jak mogłeś o mnie zapomnieć!

Jednak nazajutrz rano znalazłam na wycieracze między rachunkami widokówkę od niego, nadaną we Włoszech. Napisał mi: „Moja najdroższa, chciałbym, żebyś tu była ze mną! Spędziliśmy ze sobą takie cudowne chwile! Wkrótce się zobaczymy – R.”. Na pocztówce znajdowało się zdjęcie trzech tłustych aniołków z frontonu bazyliki Świętego Zenona w Weronie. Minęły trzy tygodnie, zanim kartka dotarła do mnie, bo adres był błędnie napisany – Robert pomylił hrabstwo Somerset z Wiltshire, dopiero pracownik poczty poprawił to długopisem. Przycisnęłam kartkę do serca i przesłoniłam oczy dłonią. Od razu poczułam się lepiej!

Przyczynił się do tego także nadzwyczaj udany ślub mamy. Mdłe wiosenne słońce opromieniało nie tylko mały, wiejski kościółek, lecz i roześmianego od ucha do ucha Douglasa. Jego trójka dorosłych dzieci, co do których miałyśmy z Isabel największe wątpliwości, okazała się jak najbardziej na poziomie. Dwaj synowie, wysocy, szczupli i bezpretensjonalni jak ojciec, podobnie jak on służyli w marynarce. Natomiast ich siostra, wesoła i pulchna Tamsin, była zamężna z farmerem spod Taunton. Przyjechała sama, bo, jak twierdziła, jej dzieci były zanadto rozbrykane, aby uczestniczyć w tak poważnej uroczystości, a mąż, Phil, nie chciał zostawić gospodarstwa bez opieki. Mama brała ślub w popielatym kostiumie, ale nie nałożyła kapelusza, bo czuła się w nim niezręcznie. Po ceremonii zrobili sobie z Douglasem wspólne zdjęcie na klombie żonkili przed kościołem, przy którym on był członkiem rady parafialnej, a ona – koła pań. Wesele odbyło się w hotelu stylizowanym na wiejski dworek, z miękkimi kanapami, dekoracjami kwiatowymi i fotografiami rodzinnymi właścicieli majątku. Cieszyłam się, że nie miałam już powodów do niepokoju i mogłam szczerze

podzielać radość matki. Natomiast z Tamsin ucięłyśmy sobie krótką pogawędkę w damskiej toalecie, stojąc przy sąsiednich umywalkach. Zwierzyła mi się wtedy, że zazdrości mi mojej pozycji zawodowej i niezależności.

– Ja wyszłam za mąż w wieku dziewiętnastu lat – wyznała. – Nie zdążyłam zdobyć wykształcenia ani żadnego konkretnego zawodu. A teraz co mam? Trzydzieści jeden lat i dwoje dzieci! Kiedy są w szkole, nie mam co ze sobą zrobić. Oczywiście pomagam w gospodarstwie, prowadzę książki rachunkowe, trochę dorabiam wynajmowaniem kwater, ale wydaje mi się, że nic w życiu nie osiągnęłam. Zakopałam się na tej farmie. Rzadko kiedy mogę gdzieś wyjechać, najwyżej po zakupy albo z dziećmi...

– Jak możesz tak mówić? – zdziwiłam się. – Przecież wychowywanie dzieci to najważniejsze zajęcie pod słońcem!

(Powtórzyłam to zdanie za Poppy, która demonstracyjnie zachwycała się rozkoszami macierzyństwa).

– No, przecież nie mówię, że nie! Jasne, że dzieci to coś wspaniałego. – Pozornie zgodziła się ze mną, ale zaraz zaczęła piętrzyć trudności. – Tylko że, widzisz, życie jest coraz droższe, staramy się oszczędzać, na czym się da, więc przykro mi, że nie dokładam do utrzymania domu!

Na jej miłej, okrągłej buzi pojawiły się bruzdy smutku. Niestety, ktoś nam przeszkodził, więc zdążyłam tylko zrobić gest wyrażający współczucie. Chciałam poinformować ją, że istnieją przecież możliwości uzupełnienia edukacji i specjalne programy doksztalające przeznaczone dla takich kobiet jak ona, ale już nie miałam kiedy. Niby stale coś robiła, a jednak czuła się sfrustrowana i niedowartościowana! Opowiedziałam o tym przypadku Isabel, kiedy podwoziłam ją na pociąg powrotny.

– Widzisz – westchnęła moja siostra – problem w tym, że dziś praca kobiety w domu nie ma wartości rynkowej. Z jednej strony trudno byłoby znaleźć kogoś chętnego do przejęcia wszystkich obowiązków Tamsin, a gdyby nawet znalazła się taka osoba, byłaby warta więcej złota, niż sama waży. Mimo to jednak Tamsin czułaby się lepiej, gdyby co rano mogła wsiadać do samochodu i dojeżdżać do jakiejś koszmarnej, biurowej pracy, na przykład w firmie budowlanej. Nie ubyłoby jej od tego obowiązków w domu i przy dzieciach, ale przynajmniej nie musiałaby

przyznawać się, że jest „tylko gospodynią domową”! Ja ze swej strony chyba dostałabym fioła, gdybym na okrągło siedziała w domu z dziećmi. Wystarczyło mi pobyc z nimi dwa dni, a już gryzło mnie sumienie, że muszę zostawiać je pod opieką nianieek. No, ale ja miałam przynajmniej możliwość wyboru!

Rzeczywiście, było czego zazdrościć Poppy! Miała to szczęście, że umiała cieszyć się swoim macierzyństwem, a równocześnie tyle zdrowego rozsądku, aby nie ulegać presji pozornej nowoczesności. Zastanawiałam się, jak ja bym postępowała, gdybym miała dzieci. Spróbowałam nawet wyobrazić sobie, że noszę pod sercem dziecko Roberta! Nie ukrywam, że podobał mi się pomysł, aby do mojej małej wspólnoty domowej, oprócz Pilgrima i owiec, dołączył jeszcze dzidzius!

Wiosna zawitała do nas na dobre. Pierwszy raz w życiu zauważyłam, że dnia zaczęło przybywać, a rano budził mnie śpiewem ptaków. Tego wszystkiego nie było widać w świetle londyńskich neonów! Ostatnio nasiliły się także zamachy bombowe na ulicach miasta. Ekspłodował nawet samochód zaparkowany w pobliżu miejsca pracy Chrisa. Poppy zadzwoniła do mnie roztrzęsiona.

– Chyba cały świat zwariował! W Londynie przestało już być bezpiecznie. Zaczynam poważnie bać się o dzieci!

– Nie przesadzaj. – Próbowałam ją uspokoić. – Na razie Londyn należy do najbezpieczniejszych stolic świata..

– Dobrze ci mówić! – gorączkowała się Poppy. – Tam, gdzie mieszkasz, jest mało prawdopodobne, aby ktoś na ciebie napadł, chyba że trafi się jakiś dziedzicznie obciążony osobnik...

Oczywiście musiałam się roześmiać, po czym skorzystałam z okazji, żeby zaprosić ją do siebie. Potrzebowałam jej, aby się przed nią wyzalić, znaleźć w niej współczującego słuchacza. Liczyłam też, że usłyszę z jej ust zapewnienie, iż Robert nie jest mnie wart. Zamiast tego powiedziała:

– Przepraszam, kochanie, ale nie mogę. Wybieramy się jutro do opery, a zresztą Jess chodzi już do szkoły i nie chcę zostawiać jej samej.

Zawiedziona, błąkałam się smętnie po ogrodzie, nie dostrzegając piękna otaczającej mnie przyrody. Wysokokotne owce z harem Pedra pasły się leniwie pod drzewami, skubiąc młodą trawę. Żywopłoty z tarniny uginały się pod pierzynką białego kwiecia. Któregoś dnia po południu zrobiło się tak ciepło, że mogłam usiąść na starej ławce przy drzwiach kuchennych i wystawić twarz do słońca. Jednak następnego dnia spadł śnieg i owczarz biegał jak kot z pęcherzem, sprowadzając na podwórze owce, które poroniły lub nie chciały karmić jagniąt. Takie maciorki wstawiał w urządzenie przypominające dyby, unieruchamiające ich głowy, aby jagnięta mogły swobodnie podchodzić do wymion bez obawy odtrącenia. Świadczyło to, że nawet zwierzęta nie zawsze przejawiały instynkt macierzyński.

Toby również na przemian pojawiał się i znikał. Miał teraz

dużo roboty, bo musiał zajmować się wieloma nieruchomościami naraz, oprócz tych, którymi normalnie zarządzał. Do mnie zwykle wpadał na kolację, chyba że zapraszał mnie do siebie lub na drinka w barze. Przy nim robiłam dobrą minę, smutek ogarniał mnie tylko wtedy, kiedy byłam sama. Tymczasem Toby organizował akurat zbiorową wycieczkę na Sycylię i zaproponował mi udział. Wahałam się, bo nie znałam jeszcze planów Roberta na lipiec, ale na wszelki wypadek obiecałam Toby'emu, że dam mu znać, jeśli się zdecyduje.

Innym razem Toby zaprosił mnie na terenowe wyścigi przeszkodowe. Tego dnia panował akurat przenikliwy ziąb, więc przezornie namówił mnie, abym założyła ocieplane spodnie i futrzaną czapkę. Pożyczył mi też swoją myśliwską kurtkę w kratę. Na miejscu przyłączyliśmy się do tych uczestników imprezy, którzy zamiast oglądać zawody, okupowali bagażniki samochodów i popijali przywiezione trunki. Kibicowaliśmy tylko biegowi myśliwskiemu, który wygrał aktualny przyjaciel byłej żony Toby'ego. Nigdy dotąd nie widziałam tylu metrów kwadratowych tweedu, myśliwskich czapek, labradorów i innych psów, oraz przystojnych, długonogich panów i pań zgromadzonych w jednym miejscu. Przygodny obserwator byłby jednak raczej zdegustowany żywiołowością tej zabawy, wybuchami hałaśliwego śmiechu i poufałym zachowaniem niektórych panów, bez skrępowania obejmujących mnie ramieniem. Przy najbliższej nadarzającej się okazji spytałam Toby'ego, gdzie też podziewa się Ned, bo nie widziałam go od stycznia. Miałam nadzieję, że nie zachorował ani, co gorsza, nie wyprowadził się stąd.

Toby uspokoił mnie jednak, że Ned wyjechał za granicę, bo miał nagrane poważne zlecenie w Stanach. Wybierał się także do Polski, aby zorganizować tam studio nagrań podkładów dźwiękowych i przypuszczalnie jeszcze nie wrócił.

W mojej opowieści wracamy teraz do punktu wyjścia. Zaczęłam od planowania zbrodni doskonałej. Helena musiała zniknąć, bo to przez nią nie widziałam Roberta już od ośmiu tygodni. Znów przysłał mi pocztówkę, tym razem z Niemiec, a po tygodniu następną ze Stanów. Na dole każdej umieszczał dopisek „Odezwę się po powrocie”. Od tej pory jednak nie zadzwonił ani

razu. Zostawiałam mu wiadomości nagrane na automatyczną sekretarkę w Szkocji, u jego sekretarki w londyńskim biurze i w klubie. Wyglądało na to, że znikł jak kamfora. Kiedy wykręcałam numer telefonu Heleny, odpowiadała mi jej automatyczna sekretarka.

Tym bardziej mnie intrygowało, gdzie mogli się udać,

bo byłam pewna, że są razem. Zaryzykowałam nawet telefon do jego domu, aby wprost zapytać Mary o miejsce pobytu męża. Planowałam, że będę w razie czego udawać jego koleżankę, a zresztą nie dbałam już o to, co Mary może pomyśleć. Z tamtej strony drutu kobiecy głos, mówiący silnym szkockim akcentem, poinformował mnie, że państwo Mackintosh wyjechali na dwa tygodnie do Hiszpanii. Odetchnął z ulgą, bo przynajmniej nie pojechał tam z Heleną. Wakacje ze ślubną małżonką mogłam mu ostatecznie wybaczyć.

Niemiły ucisk w żołądku ustąpił i wróciłam do normalnego życia. To, co zaszło, utwierdziło mnie w przekonaniu, że Robert stopniowo próbuje się ode mnie uwolnić. Któregoś wieczoru wpadłam więc w taką desperację, że pozbierałam do kupy wszystkie pamiątki wspólnie spędzonych chwil – bilety do teatrów i na koncerty, korki od osuszonych razem butelek, serwetki, na których pisał mi czule liściki – i wrzuciłam te rupiecie do ognia! Tyle że potem żałowałam tego. Nie chciałam zmuszać się do odpowiedzi na pytania, dlaczego traktuje mnie w ten sposób, przecież łatwo mógłby dać mi znać, gdzie się znajduje. Staralam się dostrzegać pozytywne strony tej sytuacji i przyjmować najbardziej optymistyczną wersję wydarzeń. Po prostu chciałam, aby wrócił do mnie, bo moje życie bez niego traciło sens.

Najgorzej działał mi na nerwy aparat telefoniczny, bo nie mogłam znieść jego uporczywego milczenia. Stale nosiłam przy sobie komórkę i kiedy zadzwoniła, najpierw moje serce przyspieszało, a potem następowało gorzkie rozczarowanie. Z trudem zmuszałam się do rozmowy z kimkolwiek, kto nie był nim. Gdy dzwoniła moja matka, Loops czy Poppy – najzwyczajniej je spławiałam. Kiedy indziej znów pragnęłam z kimś porozmawiać, by móc głośno powiedzieć o swoim niepokoju. Krótko mówiąc, przeżywałam katusze, choć

wmawiałam sobie, że on nie jest tego wart. Cóż, kiedy najwyraźniej kochał tę wstrętą Helenę!

Musiałam w tym czasie chodzić normalnie do pracy i odbębniać „towarzyską pańszczyznę”. Umawiałam się na drinka z Tobym i na kolację z Mikem. Liczyłam, że narzucenie sobie pewnej rutyny uchroni mnie przed kompletnym rozchwianiem uczuciowym.

Tymczasem, kiedy straciłam już wszelką nadzieję, Robert nagle zadzwonił.

Przemawiał, jak zwykle, ciepło i czule. Tłumaczył się, że nie mógł nawiązać ze mną kontaktu, bo ilekroć dzwonił, mnie nie było. Nie wierzyłam mu, bo skrupulatnie sprawdzałam wszystkie wiadomości zarejestrowane w moim telefonie, a numer 1471 wykręcałam tak często, że przerodziło się to wręcz w obsesję. Wybaczyłam mu jednak, bo chciał się ze mną zobaczyć i umówiliśmy się na kolację pod koniec tygodnia w Londynie.

Cała w skowronkach, zaczęłam pilnować diety, aby na randce wyglądać jak najlepiej. W piątek skróciłam ostatnią lekcję, odwiozłam Pilgrima do matki i pojechałam do Londynu. Mimo dużego natężenia ruchu jakoś torowałam sobie drogę w strumieniu samochodów, mijając innych kierowców z uśmiechem i śpiewem na ustach. Czulałam się zadowolona z życia i świadoma własnej atrakcyjności. Szczęście mi sprzyjało, bo znalazłam nawet miejsce do zaparkowania blisko restauracji i zdążyłam na umówioną porę.

Robert już na mnie czekał. Na powitanie pocałował mnie gorąco. Usiadłam naprzeciw niego, więc mogłam podziwiać opaleniznę i elegancką koszulę z drogiego materiału tkanego w jodelkę. Do tego miał dobrze dobrany krawat i chusteczkę w butonierce. Przez stół wziął moją rękę i zupełnie bez sensu pomyślałam, że może chce mi się oświadczyć? Nie mogliśmy się nagadać i przekrzykiwaliśmy się wzajemnie, bo każde z nas chciało wiedzieć, co porabiało drugie w czasie, kiedy się nie spotykaliśmy. Ciągle się uśmiechałam i kokietowałam go w przeświadczeniu, że na pewno mnie kocha. Wytwarzał jednak wokół siebie aurę tajemniczości, jakby miał mi coś niezmiernie ważnego i miłego do powiedzenia. W ciągu tylu tygodni zwiedził aż pięć krajów i były to, według jego słów, naprawdę gorące dni!

Spędził też dziesięć dni w Hiszpanii z Mary i o tym właśnie chciał ze mną mówić...

– Dlaczego? Co się stało? – spytałam z nagłym przestraszaniem.

– Czyżby Mary dowiedziała się o nas i wszystko się wydało?

– Nie, nic podobnego. To znaczy, prawie nic... – Miał przy tym podejrzanie chytry i zadowolony z siebie wyraz twarzy.

– O co ci chodzi? – wykrztusiłam przez zaciśnięte gardło.

Czułam, że na szyję wypełza mi rumieniec. Robert pochylił się nad stołem, aby dolać mi wina do kieliszka i jakby nigdy nic, zaczął studiować kartę. Spytał, na co mam ochotę, a ja siedziałam potulnie z rękami na podołku i biernie uczestniczyłam w tym całym cyrku. Widziałam, że gra na zwłokę, aby dobrać odpowiednie słowa.

– Chodzi o Helenę, prawda? – Spróbowałam mu pomóc.

– W pewnym sensie tak – wywinął się gładko. – Widziałem się z nią dziś rano...

Żołądek podszedł mi do gardła. A więc rzeczywiście chodzi o Helenę. Czyżby miał zamiar się z nią ożenić? Nie wytrzymałam.

– Co się, na miłość boską, dzieje?.

– Zaraz ci wszystko opowiem. – Ze stoickim spokojem skosztował wina. – Mmm, delikcje! To chyba najlepszy rocznik białego burgunda!

Rozprowadził łyk wina po podniebieniu i delektował się jego smakiem. Z namaszczeniem przystąpił do zapowiadanej przemowy, trzymając moją rękę ponad stołem i delikatnie pieszcząc ją kciukiem. Drugą ręką ujął mnie pod brodę i uśmiechnął się.

– Jak wiesz, byliśmy właśnie razem z Mary na wakacjach – zaczął. – Właściwie to był jej pomysł i to ona zarezerwowała ten pobyt. Dostaliśmy wspólny pokój z podwójnym, małżeńskim łóżkiem – jak się potem okazało, na jej żądanie. Po tylu latach małżeństwa chciała mnie ponownie uwieść i to się jej udało. Chyba powiedziałem ci na samym początku, że jest nadal atrakcyjna i zadbana, ma cudowną figurę, a jakie nogi! Dzięki temu zbliżeniu po latach odnaleźliśmy siebie na nowo i wróciliśmy do dawnej intymności. Mary pytała mnie o związki z innymi kobietami i szczerze wyznałem jej, że utrzymywałem takowe, odkąd przestała ze mną sypiać. Staralem się zachowywać

pozory, aby nie ranić jej ujawnianiem nadmiernej ilości szczegółów, ale ona przez cały czas coś podejrzewała. Dobrze chociaż, że dobieierałem kochanki spośród osób, których nie znała ani nie miała szansy poznać; oszczędziłem jej upokorzeń!

Cóż za wzruszająca troskliwość!, pomyślałam z wściekłością.

– Okazało się – ciągnął – że oboje chcieliśmy utrzymania naszego małżeństwa, uznaliśmy więc, że należy zacząć wszystko od początku. Zawarliśmy z Mary umowę, że zrezygnuję ze wszystkich swoich romansów, jeśli ona znów, jak przedtem, zgodzi się dzielić ze mną łóżce. O tym właśnie chciałem ci powiedzieć, kochanie. Będzie mi ciebie brakowało i nie wiem, jak długo ten rozejm potrwa, ale czuję, że muszę dać szansę mojemu małżeństwu.

Patrzył pogodnie, a mnie uśmiech zamarł na ustach. Wyszło więc szydło z worka, zdecydował się poświęcić mnie dla Mary.

– A co z Heleną? Czy jej także dałeś odprawę?

– Niestety, tak. Muszę przyznać, że ciężko to przeżyła. Właściwie wpadła w furję. Usiłuje mi wmówić, że popełniam błąd, a w gruncie rzeczy sama popełniła największy, bo ludziła się, że wezmę rozwód z Mary i ożenię się z nią. Nigdy nie wspominałem nawet o takiej możliwości, ale ona przywykła, że zawsze stawiała na swoim. Prawdę mówiąc, przewróciło jej się w głowie.

Odrzuciłam ze złością talerz, który właśnie podawał mi kelner. Odepchnęłam krzesło, zerwałam się na równe nogi i stanęłam ramieniem w ramię z zaskoczonym kelnerem. Czułam, że nie pragnę niczego innego, jak tylko wyjść stąd. Robert musiał poczuć lekkie zakłopotanie, bo próbował łagodzić sytuację:

– Ależ nie odchodź jeszcze, zjedz coś! Nie mogłem się już doczekać spotkania z tobą...

Dałam się namówić i usiadłam, a kelner z ulgą postawił przede mną talerz, który cały czas trzymał. Robert ujął mnie za rękę.

– Będę bardzo mile wspominał moją piękną skrzypaczkę.

W głowie miałam zupełną pustkę. Nie czułam gniewu, łez w oczach, właściwie nic nie czułam, jakbym była wypompowana w środku. Słyszałam własny, trzęsący się głos:

– No, to zdrowie twoje i Mary! Dobrze przynajmniej, że to nie Helena zwyciężyła.

W gruncie rzeczy jedyną satysfakcję czerpałam z gniewu i bólu Heleny!

– Tak, rzeczywiście, Mary jest niezwykłą kobietą – przyznał. – To wyjątkowo silna indywidualność...

Nagle zrozumiałam prawdziwy charakter jego związku z Mary. Potraktowała go po prostu jak niegrzecznego chłopczyka. Syn marnotrawny nawrócił się i został przyjęty z powrotem na łono rodziny!

Zareagowałam jednak na tę wiadomość inaczej niż Helena. Nie wpadłam w złość, bo miałam nadzieję, że Robert zechce się ze mną ostatni raz przespać. Istotnie chciał i wyszło nam lepiej niż kiedykolwiek, bo był wyjątkowo czuły i namiętny. Okazało się, że pociąg seksualny to jedyne uczucie, na którym mogłam polegać. Prawdę mówiąc, leżąc w jego ramionach, nie bardzo przyjmowałam do wiadomości, że to już ostatni raz. Nazajutrz wstał wcześniej, aby zdążyć na lotnisko. Pocałował mnie tylko na pożegnanie.

– Pozostaniemy przyjaciółmi, prawda? – upewniał się. – Będziemy ze sobą w kontakcie?

– Oczywiście, że pozostaniemy przyjaciółmi – obiecałam. I tak się rozstaliśmy.

Po tym wszystkim nie chciałam z nikim rozmawiać. Jechałam do domu, nie odczuwając żadnych emocji. Odebrałam od mamy Pilgrima i wróciłam na swoją farmę, gdzie zaczęłam systematycznie likwidować wszelkie ślady po Robercie. Zadzwoiłam do Toby'ego, aby go poinformować, że zdecydowałam się pojechać z nim na Sycylię. Mój telefon dzwonił cztery razy, ale za każdym razem były to głuche telefony.

Od chwili, w której rozpoczęłam opowieść, upłynęły dwa miesiące, ale wydarzenia, które nastąpiły po ostatnim spotkaniu z Robertem, wyjątkowo mocno utrwaliły się w mojej pamięci. Nieraz potem rozmawialiśmy o tym z Nedom, który jest tak cierpliwym i wyrozumiałym słuchaczem, że z nikim innym nie chciałam się dzielić swoimi przeżyciami. Oczywiście, wtedy jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że ma się zdarzyć coś ważnego. Dopiero w świetle faktu, że moje dotychczasowe życie wkrótce miało gruntownie się zmienić, nawet najbardziej prozaiczne sprawy zaczęły nabierać ważności.

Zapowiadał się całkiem zwyczajny, niedzielny poranek. Wstałam wcześniej, chociaż przez całą noc sen z powiek spędzały mi wspomnienia tego, co zaszło między mną a Robertem. Trudno mi było uwierzyć, że jeszcze wczoraj o tej porze obudziłam się w jego łóżku, a dziś już na zawsze zniknął z mojego życia. Odczuwałam jednak dziwny spokój i rezygnację, jakbym podświadomie wiedziała, że naprawdę miałam już tego dosyć.

Jak zawsze zeszałam na dół zrobić sobie herbatę i wypuścić Pilgrima na dwór. Pogoda nie zachęcała do spacerów – zauważyłam, że nawet cegły na tylnej ścianie domu pokryte były skroploną wilgocią. Zanim woda w czajniku się zagotowała, próbowałam przeczytać tekst zamieszczony na tylnej stronie wczorajszej gazety. Drzwi od kuchni zostawiłam otwarte i dochodziło przez nie beczenie owiec przemieszane z cienkimi głosikami jagniąt. Słyszałam też krakanie gawronów i szczekanie psa w pobliskiej wiosce.

Woda się zagotowała, zalałam więc esencję w małym, niebieskim czajniczku, a na tacy postawiłam dzbanuszek z mlekiem, filiżankę i spodeczek. Z puszki wzięłam jeden biszkopt dla Pilgrima i poszłam go zawołać. To, że nie przyszedł od razu, zwłaszcza przy takiej pogodzie, zdziwiło mnie trochę, ale nie aż tak bardzo, by stanowiło powód do niepokoju. Czasem nie spieszył się zbyt z powrotem, ale ponieważ zmarzły mi bosa nogi, zawołałam go jeszcze raz i pozostawiając otwarte drzwi, wróciłam do łóżka. Uwielbiam swoje łóżko i dobrze się w nim czuję, dlatego dokładnie pamiętam, jak poprawiałam poduszki,

żeby wygodnie usiąść. Chciałam jeszcze trochę wspominać wczorajszy dzień i emocje, jakie przeżywałam, a tymczasem wyobraziłam sobie Roberta, jak budził się ze snu u boku Mary. Pewnie drapał się, kokosił i puszczał bąki, a obok niego tkwiła koścista i zasadnicza małżonka... Na samą myśl o tym chciało mi się śmiać. Nalałam sobie herbaty. Taca stała po tej stronie łóżka, która była bliżej drzwi.

Dźwięk, jaki teraz usłyszałam, nie miał sam w sobie nic przerażającego. Słyszałam go już wiele razy, ale w tych okolicznościach natychmiast wyteżyłam uwagę. Do moich uszu doszedł bowiem odgłos kroków na drewnianych schodach. Prawie jednocześnie w otwartych drzwiach pojawiła się kobieta. Zawahała się przez ułamek sekundy, więc przez myśl przemknęło mi, że może miała nieszczęśliwy wypadek i potrzebuje pomocy. W tymże samym ułamku sekundy zauważyłam, że kobieta była drobna, szczupła, o bladej cerze i krótko obciętych, miedzianorudych włosach, które wyglądały jak peruka. Rysy jej twarzy wykrzywiała wściekłość, prawa ręka ścisnęła długi nóż – prawdopodobnie kuchenny – ostrzem zwrócony w kierunku mojej piersi. W jej spojrzeniu malowała się czysta nienawiść, od razu więc zrozumiałam, że ma ona wobec mnie złe zamiary. Krzyknęłam – albo mi się tylko tak wydawało – i wyskoczyłam z łóżka po przeciwnej stronie niż ta, od której mnie zaatakowała. Wrzeszczała przy tym coś niezrozumiałego.

Instynktownie wiedziałam, że nie mogę pozwolić, aby przyparła mnie do ściany. Spróbowałam więc ominąć ją i wybiec, zdążyła jednak złapać mnie za ramię i ostrze noża ześliznęło się po mojej łopacie. Udało mi się ją odepchnąć, dzięki czemu zdołałam się wyrwać i dotrzeć do schodów. Miałam nad nią przewagę fizyczną, bo była ode mnie niższa, lżejsza i starsza, ale chwyciła mnie za nocną koszulę i szarpnęła. Obróciłam się wokół własnej osi i najmocniej, jak tylko mogłam, uderzyłam ją w twarz. Puściła mnie tak gwałtownie, że aż stoczyłam się ze schodów. U ich podnóża dogoniła mnie i wczepiła się w moje ramię. Kopnęłam ją, ale odskoczyła i chlasnęła mnie nożem. Na moją nocną koszulę trysnęła krew. Przez cały czas ciężko dyszałam i próbowałam krzyczeć.

Zaatakowała powtórnie, tym razem jednak rzuciłam w nią

lampą. Nie doleciała daleko, ponieważ trzymał ją zbyt krótki przewód, więc zastawiłam się fotelem, rozglądając się w popłochu za lepszą bronią. W porę zdążyłam dopaść pulpitu do nut. Wymachując nim przed sobą, trzymałam ją na dystans, ale tymczasem i we mnie narastała agresja. Zamachnęłam się i trafiłam tajemniczą kobietę w twarz, aż wrzasnęła i zasłoniła oczy ręką. Uderzyłam jeszcze raz i zmusiłam napastniczkę do odwrotu. Nadal trzymała w ręku nóż, lecz cofała się, w miarę jak na nią nacierałam. Zamierzałam wypchnąć ją przez otwarte drzwi kuchni. Jeszcze kilka kroków i znalazła się na zewnątrz.

Na progu potknęła się i zachwiała, ale widocznie zebrała przy tym siły, bo raptem schwyciła mnie za włosy, równocześnie celując nożem, jakby chciała pchnąć mnie prosto w twarz. Tym sposobem wyciągnęła także i mnie na dwór. Mimo że trzymała mnie za włosy tak, jakby chciała wyrwać mi je z cebulkami, zdołałam zamachnąć się pulpitem i pchnąć ją nim w pierś. Pośliznęła się, straciła równowagę, z rozpędu postąpiła parę kroków do tyłu, prosto na pochylnię prowadzącą do piwnicy. Nagła zmiana poziomu zaskoczyła ją, dzięki czemu błyskawicznie wepchnęłam ją do środka, zatrzasnęłam ciężkie, drewniane drzwi i zasunęłam rygiel.

Wciąż nie mogąc otrząsnąć się z przerażenia, wyczołgałam się z pochylni na czworakach. Koszula przylepiła się do rany na udzie. Drżałam na całym ciele, ale bałam się wracać do domu, więc zamiast tego zaczęłam biec w stronę wsi. Nogi uginały się pode mną i z trudem utrzymywałam równowagę. Biegając, zaczęłam znowu krzyczeć, gdyż usłyszałam za sobą kroki. Przybliżały się coraz bardziej, ale byłam zanadto wystraszona, by się obejrzeć. Równocześnie daleko przede mną zamajaczyła czyjaś sylwetka. Poznałam Neda i w tej samej chwili zorientowałam się, że moim tropem podążał Pilgrim. Staralam się nie zemdleć, ale osunęłam się na kolana, włosy opadły mi na twarz. Pilgrim piszczał i próbował mnie polizać. Ned tymczasem zrównał się ze mną, ale nie widziałam jego miny, bo zrobiło mi się niedobrze i zwymiotowałam do rowu.

Następną godzinę przypominam sobie jak przez mgłę. Ned na mój widok domyślił się, że przydarzyło mi się coś złego. Zdjął bluzę i narzucił mi ją na ramiona. Dopiero potem zdałam sobie

sprawę, że moja nocna koszula była do połowy rozdarta. Ned próbował podprowadzić mnie w stronę mojej farmy, ale wrzasnęłam „Nie! Ona jeszcze tam jest!”. Dopiero wtedy dotarło do niego, że zostałam napadnięta, i to przez kobietę. Byłam boso i płakałam, więc nie chciał zostawiać mnie samej w takim stanie nawet na krótką chwilę potrzebną dla wezwania pomocy. Objął mnie ramieniem i zaczął sprowadzać z górki w kierunku własnego domu, po drodze głaszcząc mnie po włosach i wydając uspokajające pomruki w rodzaju: „No, dobrze już, dobrze... Wszystko w porządku... Przecież nic takiego ci się nie stało... Nie bój się, zobaczysz, że będzie dobrze!”. Rozglądał się przy tym, czy nie nadjeżdża jakiś samochód. Po pięciu minutach udało mu się zatrzymać furgon pocztowy. Siedział w nim listonosz blady jak ściana.

– Co tu się, do jasnej cholery, dzieje? Na tamtej farmie jakaś wariatka była zamknięta w piwnicy! Wypuściłem ją, bo darła się, jakby ją zarzynali...

– Chryste, pan ją wypuścił? – Wychrypiałam, konwulsyjnie wczepiając się w ramię Neda. – O, Boże! Ned, słyszysz? Ona jest na wolności!

– Spokojnie, tobie już nic nie grozi. Widzi pan, to właśnie ta wariatka zaatakowała tę panią nożem!

– Kurczę, skąd miałem wiedzieć? – denerwował się listonosz. – Myślałem, że komuś drzwi się zatrzasnęły i nie może wyjść. Teraz już uciekła, białym samochodem, ale zapisałem numer. Wsiadajcie państwo, to was kawałek podwożę.

Ned usadowił mnie pomiędzy listami i paczkami, a sam wcisnął się obok. Podwinął koszulę, aby obejrzeć ranę na udzie. Po nodze wciąż ściekała mi krew, miałam mdłości i obawiałam się, że zemdleję. Listonosz znów co chwilę zerkał trwożnie, żebym nie zaplamiła krwią przesyłek.

Po kilku minutach znaleźliśmy się przed domem Neda. Ani się obejrzałam, jak znalazłam się w jego cieplej kuchni, a on krzątał się troskliwie w poszukiwaniu koniaku, gorącej wody, waty i środka odkażającego. Potem wyszedł do holu, aby zadzwonić na policję. Słyszałam, jak meldował: „Nie, to nie była żadna awantura rodzinna... Napadła na nią jakaś psychopatka, której nawet nie zna...”.

– Właśnie że ją znam! – krzyknęłam tak głośno, żeby było mnie słychać w holu. – Doskonale wiem, kto to jest!

– Dobra, dobra, powiesz im to, kiedy przyjadą! – odkrzyknął. Rozmawiał długo, bo musiał przeliterować policjantowi swoje nazwisko i adres. Nie pamiętał natomiast kodu pocztowego ani mojego nazwiska. Kiedy w końcu wrócił do kuchni, westchnął: – Boże, tyle zawracania głowy! No, ale grunt, że już jadą. Tymczasem muszę ci przemyć tę ranę.

Jakoś wcale mnie nie ruszało, że siedzę na pół naga w domu mężczyzny, którego w gruncie rzeczy mało znałam. Obmył moje udo, wytarł, a wszystko to robił bardzo delikatnie. Pochylił nade mną brązową, jedwabistą czuprynę, a ja zauważyłam, że przebijają w niej nitki siwizny. Nagle nabrałam ochoty, aby dotknąć tych włosów. Ned spojrzał w górę i uśmiechnął się, zadowolony, że odzyskałam spokój.

– Poczekaj... – Przypomniał sobie coś. Po chwili przyniósł szlafrok i pomógł mi go włożyć. Zauważyłam, że od wewnątrz ma przyszytą tasiemkę z jego imieniem i nazwiskiem, jak za czasów szkolnych. Pocieszył mnie, że rana nie jest głęboka i już przestała krwawić. – Może jednak trzeba będzie to zszyć albo nałożyć klamerki... Na wszelki wypadek zadzwonię do przychodni.

Zanim jednak to zrobił, nalał mnie i sobie do kubków mniej więcej po pięć centymetrów koniaku, a potem postawił czajnik na płycie.

– Gorąca, słodka herbata dobrze ci zrobi po tym wstrząsie – rzekł z przekonaniem. – Ale najpierw napijemy się koniaku.

Kiedy poszedł, by zadzwonić do ośrodka zdrowia, zbliżył się do mnie Pilgrim i położył mi łeb na kolanach, drżąc na całym ciele z przejęcia.

– Pilgrim także przeżył wstrząs! – wykrztusiłam, szcękając zębami.

– Ależ ty wciąż się trzęsiesz z zimna! – zatroskał się Ned. – Wszystko przez te przeżycia. Widzisz, zapomniałem, że to dziś niedziela i ośrodek zdrowia jest nieczynny. Dyżurny lekarz poradził mi, żeby pojechać z tobą na izbę przyjęć szpitala w Salisbury. Tylko najpierw musimy poczekać na policję.

Tymczasem przyniósł koc, który narzucił mi na ramiona. Zanim przyjechała policja, opowiedziałam mu w skrócie, że

zostałam zaatakowana przez kochankę mężczyzny, którego dobrze znam. Przypuszczałam, że był to akt zazdrości.

– Mężczyzny, którego dobrze znasz? – powtórzył jak echo. – To znaczy twojego przyjaciela?

– Tak... Chociaż właściwie teraz już nie. Wczoraj wszystko między nami się skończyło. Wrócił do żony.

Pociągnęłam duży łyk koniaku, aż mnie zapiekło w gardle. Zauważyłam przy tym, że na kubku widnieje imię „Ned” wypisane dużymi, białymi literami. Nieoczekiwanie właściciel tego imienia pochylił się i pocałował mnie.

– Byłaś taka dzielna! – pochwalił. – Jesteś wspaniała, Harriet. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

– Dobrze, że akurat nie pchałeś wózka z Dido! – przypomniałam sobie. – Możesz sobie wyobrazić, co by to było?

– Na szczęście, nigdy nie biorę jej do siebie w niedzielę. Nicky w te dni nie pracuje. – Ujął moją rękę i zaczął ją rozcierać, a potem owinał mnie szczelniej kocem. – Chwała Bogu, że nic ci się nie stało. Czy ta baba naprawdę próbowała cię zabić? I kto to w ogóle jest?

– Wiem, że ma na imię Helena. Nie jestem pewna, czy chciała mnie zabić, ale chyba tak, bo bardzo skutecznie próbowała.

Procedura policyjna zajęła nam masę czasu. Najpierw długo trwało spisywanie moich zeznań, a potem funkcjonariusze oświadczyli, że chcieliby, abym uczestniczyła w wizji lokalnej na mojej farmie. Ned zaofiarował się, że pojedzie z nami. Wysiadając z radiowozu, stwierdziłam z ulgą, że nie odczuwam już strachu, kiedy w towarzystwie dwóch policjantów i Neda przemierzam tę samą ścieżkę, którą poprzednio w popłochu uciekałam. W trawie leżał przewrócony pulpit do nut, a poruszone wiatrem otwarte drzwi od piwnicy skrzypiały. Pokazałam je ekipie dochodzeniowej.

– O, w tym miejscu ona upadła, kiedy się cofała. Zatrzasnęłam za nią drzwi i to mnie uratowało. Ale ciekawe, że nikt przedtem tych drzwi nie otwierał...

Weszliśmy do wnętrza domu, aby obejrzeć miejsce przestępstwa. Na środku salonu stał przesunięty ukośnie fotel, a na podłodze leżała przewrócona lampa – gdyby nie to, trudno byłoby uwierzyć, że tak niedawno rozegrał się tu dramat!

Przeszliśmy do mojej sypialni, gdzie zademonstrowałam funkcjonariuszom przebieg wydarzeń. Ci zaś chcieli koniecznie, abym przypomniała sobie, co napastniczka krzyczała.

– To był potok inwektyw bez sensu i związku. Oczywiście „ty dziwko!” i temu podobne... – Tyle mniej więcej pamiętałam.

– A więc uważa się pani za jej rywalkę? – spytał ojcowskim, pobłażliwym tonem starszy, siwowłosy policjant. Opisane tak barwnie przeze mnie fakty nie były w stanie go zaskoczyć. W swojej codziennej pracy miał do czynienia z tylu awanturami domowymi, wypadkami drogowymi i nagłymi zgonami, że rozhisteryzowana, młoda kobieta, którą zazdrosna rywalka zadrasnęła w nogę, nie robiła na nim większego wrażenia.

– No, powiedzmy, w pewnym sensie – odpowiedziałam wymijająco. – Ale to już nieaktualne.

– He-le-na Cap-lan – głośno myślał policjant. – Ma pani może jej adres?

– Mam numer telefonu, a listonosz spisał numer rejestracyjny jej wozu.

– Wiem, mamy jego zeznania i wysłaliśmy tym śladem wywiadowcę.

Zapytałam, czy mogę iść się ubrać. W ciągu pięciu minut umyłam twarz i doprowadziłam do porządku włosy, po czym nałożyłam spódnicę i sweter. Tymczasem Ned rozmawiał z policjantami, a kiedy ponownie zeszedł na dół, zdążył już zrobić im herbatę. Ciągle jeszcze trzęsło mnie w środku, ale nie byłam pewna, czy nie powinnam raczej dziarsko się uśmiechać.

– Przepraszam, że narobiłem ci bałaganu. – Ned wskazał na filizanki. – Napijesz się z nami?

Rzeczywiście, wyglądało to dziwnie, kiedy gospodarował w mojej kuchni jak u siebie, podczas gdy policjanci jeszcze raz badali otoczenie.

Tymczasem radio w wozie patrolowym zatrzeszczało, więc starszy funkcjonariusz wyszedł odebrać komunikat. Jego młodszy kolega wdał się tymczasem z Nede w rozmowę o piłce nożnej. Wszyscy popijaliśmy spokojnie herbatę, ale nagle poczułam się zmęczona i zapragnęłam, żeby ci ludzie już sobie poszli. Starszy policjant wrócił do nas z bardziej poważnym i zasadniczym wyrazem twarzy.

– Sprawdziliśmy, że pani Helena Caplan od piątku przebywa za granicą, bo spędza wakacje w Tunezji – oświadczył. – Samochód należy do pani Rachel Pearson, która została zatrzymana w barze „Pod Kuchcikiem” w pobliżu Salisbury. Kierownik lokalu powiadomił nas, że kobieta, która zjawiała się u niego, wykazywała objawy choroby psychicznej. Osadziliśmy ją w naszym areszcie i później przeprowadzimy konfrontację z panią, ale najpierw proszę nam opowiedzieć wszystko od początku.

Ned rozdziawił gębę jak wrota, a ja bąkałam, stropiona:

– Ależ ja nie znam żadnej Rachel Pearson! Pierwszy raz w życiu słyszę to nazwisko i dziś też widziałam ją po raz pierwszy. Czy ona jest lunaticzką, żeby atakować na ślepo przypadkowe osoby? I dlaczego wybrała akurat mnie? Te głuche telefony na pewno mają z nią coś wspólnego. Jestem pewna, że mnie śledziła.

Powtórzyłam to wszystko Nedowi, który był tak miły, że zaofiarował się odwieźć mnie do szpitala w Salisbury. Policjanci też chcieli mnie tam zawieźć, ale Ned był szybszy.

– Chyba nie chcesz sama jeszcze raz przechodzić przez to wszystko? – Postawił sprawę jednoznacznie, a po krótkim wahaniu dodał: – Zaraz, a może chciałabyś porozumieć się z kimś z rodziny? Na przykład z matką, ona chyba mieszka niedaleko stąd...

– Tak, ale nie chcę jej w to mieszać. Nie wie nic o tym facecie, no wiesz którym, a poza tym właśnie po raz drugi wyszła za męża. Moja najlepsza przyjaciółka mieszka w Londynie, to kawał drogi stąd, a zresztą jej także nie chciałabym zawracać głowy. Wystarczy, jeśli będziesz tak miły i trochę ze mną zostaniesz.

Stanęło więc na tym, że sunęliśmy jego samochodem kombi przez ciche wioski z chałupami krytymi strzechą. Po drodze Ned zapytał:

– Dlaczego byłaś pewna, że ta kobieta to Helena? Czy ona ci przedtem groziła?

Policja pytała mnie o to samo, więc musiałam pomyśleć przez chwilę.

– Nie – odpowiedziałam w końcu.

– Jak to, nie miałaś żadnych telefonów ani listów z pogrózkami? Nie wpadłyście na siebie za plecami tego faceta?

A kto to w ogóle jest?

– Prawdę mówiąc, nigdy z nią nie rozmawiałam ani jej nie widziałam. A ten facet się nie liczy, bo już zerwaliśmy ze sobą.

– Zaraz, spróbujmy pozbierać to wszystko do kupy. A więc zostałaś napadnięta przez zupełnie obcą osobę, ale upierałaś się, że wiesz, kim ona jest, chociaż nigdy się nie zetknęłyście?

– Zgadza się, ale sądziłam, że pragnęłaby mnie zabić, gdyby się dowiedziała, co mnie łączyło z Robertem albo gdyby myślała, że on rzucił ją z mojego powodu. Bo on zerwał z nią także!

– Przepraszam, może jestem strasznie tępy, ale na jakiej podstawie przypuszczałaś, że ona tak zareaguje? W dzisiejszych czasach na ogół rzadko zabija się rywali.

– Och, z wielu powodów! – odrzekłam wymijająco. Nie chciałam, aby światło dzienne ujrzała naga prawda, która wyglądała tak, że wszystkie podejrzenia dotyczące Heleny były wytworem mojej wyobraźni.

– Coś mi tu nie gra. – Ned niedowierzająco pokręcił głową. – Powiedziałaś mi wszystko, czy jeszcze coś ukrywasz? Oczywiście to nie moja sprawa, ale byłoby miło, gdybyś mi zaufała.

– Ned, przysięgam, jeśli to nie Helena, to nie mam pojęcia, kim jest ta kobieta ani dlaczego rzuciła się na mnie.

– Dobrze już, dobrze. – Ned uspokajająco poklepał mnie po kolanie.

Przez chwilę milczeliśmy, a potem zaczęłam z innej beczki:

– Słuchaj, to okropne, ale czuję się zhańbiona tym incydentem, jakby to była moja wina. Podczas przesłuchania na policji miałam wrażenie, że to mnie oskarżają i potępiają.

– Z jakiej racji akurat ciebie? Byłaś przecież tylko ofiarą napadu.

Zmieniłam temat.

– Wiesz co, opowiedz mi coś więcej o sobie. Dotychczas nie mieliśmy właściwie sposobności, by porozmawiać. Na przykład, czy wy z Nicky jesteście w separacji, czy po rozwodzie?

Ned na chwilę oderwał oczy od szosy, aby spojrzeć na mnie zdziwionym wzrokiem.

– Po jakim rozwodzie, do jasnej cholery? Nicky to moja siostra!

– Siostra? W życiu bym na to nie wpadła. Sądząc po tym, jak

się do siebie zwracacie i jak razem opiekujecie się Dido, myślałam, że jesteście małżeństwem.

– A więc znów pomyliłaś się w osądzie! – zawyrokował bez cienia złośliwości. – Widzisz, mąż Nicky, Tom, zginął w wypadku samochodowym na trzy miesiące przed urodzeniem się Dido. Zawsze byliśmy bardzo zżyci ze sobą, więc starałem się wspierać ją, jak tylko mogłem. Kiedy się tu wprowadziłem, zaczynała właśnie układać sobie życie na nowo i znalazła pracę w niepełnym wymiarze godzin. Aby mogła ją przyjąć, zaproponowałem pomoc przy dziecku. Dla mnie to żaden kłopot, bo pracuję w domu, a Dido w tym wieku nie jest zbyt absorbująca, zresztą lubię nią się opiekować. Niedługo nawet i to nie będzie potrzebne, bo od września ma załatwione miejsce w takim specjalnym żłobku.

– O rany, to znaczy, że wszystko źle zrozumiałam?

– Na to wygląda. – Ned uśmiechnął się do mnie. – Ja i małżeństwo? Senne marzenie!

– Dlaczego, nie chciałbyś się ożenić?

– Owszem, ale gdybym trafił na właściwą osobę, a dotąd jakoś mi się nie udało. Żadna też mnie nie chciała. Widocznie nadaję się bardziej na tatusia. A jak u ciebie z tymi sprawami? Czy tamten facet dużo dla ciebie znaczył?

– Tak – przyznałam. – Dopiero zaczynam przyzwyczajając się do myśli, że odszedł. Ale prawda jest taka, że ja nigdy nie znaczyłam zbyt wiele dla niego, po prostu przez pięć lat żyłam złudzeniami.

– No, to on chyba nie ma równo pod sufitem – burknął Ned. Niby rzucił tylko takie zdawkowe zdanie, ale i za to byłam mu wdzięczna.

W szpitalnej izbie przyjęć panował spokój, bo ofiarom sobotnich wypadków już udzielono pomocy, a poszkodowanych przy pracy w ogródkach i uprawianiu sportów w niedzielę jeszcze nie przywieziono. Tylko pokurczona staruszka z zabandażowaną nogą płakała, siedząc w fotelu na kółkach, a klęcząca przy niej czarna pielęgniarka pocieszała: „Wszystko będzie dobrze, kochana. Już my się panią zajmujemy!”. Na plastikowym krzeselku siedział młody człowiek z pokiereszowaną twarzą, a towarzyszyła mu dziewczyna o platynowoblond włosach, żującą gumę. Ned doprowadził mnie do biurka dyżurnej pielęgniarki, która dała

nam formularze do wypełnienia i poleciła udać się do poczekalni. Potem Ned zostawił mnie na chwilę, aby przynieść kawę, mnie tymczasem wezwano do gabinetu na badanie. Zajął się mną młody lekarz w kraciastej koszuli i w rozpiętym fartuchu. Wyglądał na zmęczonego – najwidoczniej miał za sobą nocny dyżur.

– No więc, jak to się stało? – spytał, zdejmując prowizoryczny opatrunek nałożony przez Neda. Dokładnie obejrzał ranę na udzie.

– Napadnięto mnie z nożem – wyjaśniłam, na co doktor podniósł oczy ze zdziwieniem. Pewnie się spodziewał, że pobił mnie brutalny mąż czy kochanek. Nie udzieliłam mu jednak żadnych dodatkowych informacji, w związku z czym zajął się przemywaniem rany wacikiem nasączonym jakimś piekącym płynem. Spytał tylko, kiedy ostatni raz byłam szczepiona przeciw tężcowi.

– Nie będę tego zszywał, wystarczy, jeśli ściągnę brzegi tymi motylkowatymi plasterkami – zdecydował. – Cięcie nie jest głębokie i powinno zagoić się szybko. Czy odniosła pani jeszcze jakieś obrażenia?

Pokazałam mu zadrapania i siniaki na karku i ramieniu.

– Z tym nie będziemy nic robić, bo to wszystko powierzchowne. Jak się pani teraz czuje? Na pewno jest pani jeszcze w szoku, więc przepiszę środek nasenny.

Przez kilka najbliższych dni proszę raczej odpoczywać. Gdzie pani pracuje? Czy będzie pani potrzebne zwolnienie?

Wymamrotałam coś niewyraźnego, aż w końcu zdecydowałam, że nie potrzebuję zwolnienia. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałam, to bezczynność. Tymczasem Ned zajrzał za zasłonę, trzymając w rękę plastikowe filiżanki z kawą.

– Mogę wejść? – zapytał.

W odpowiedzi doktor spojrział na mnie takim wzrokiem, jakby się zastanawiał, czy to nie Ned mnie zranił.

– Myśmy już skończyli – oświadczyłam z uśmiechem, wstając z kozetki. – Dziękuję, panie doktorze.

Byłam mu wdzięczna, że przynajmniej on nie wzbudził we mnie poczucia winy. W tym momencie za zasłonę wsadziła głowę pielęgniarka.

– Przepraszam, czy panna Lennox? Dzwonili właśnie z policji. Proszą, żeby pani zaraz pojechała na posterunek, bo mają już kobietę, która na panią napadła.

Gmach posterunku budził respekt swoimi rozmiarami. Ned czekał wraz ze mną w biurze przepustek, dopóki dyżurny sierżant nie wskazał mi pokoju przesłuchań. Stamtąd policjantka zabrała mnie do sali z weneckim lustrem w ścianie. Za nim znajdowała się płacząca kobieta, drobna i chuda, z przylizanymi, rudymi włosami. Twarz miała poznaczoną smugami rozmazanego tuszu, nerwowo zaplatała ręce i kiwała się z boku na bok.

– Tak, to ona! – oświadczyłam stanowczo. Czulałam się jednak nieswojo na widok osoby, która wdarła się do mojego domu i zaatakowała mnie z taką zaciekłością, a teraz zmieniła się w skurczoną, zmiętoszoną figurkę, kiwającą się na plastikowym krześle. Dlaczego chciała mojej śmierci? Przecież sprawa mogła się zakończyć inaczej. Wyobraziłam sobie moje ciało na podłodze, domek otoczony kordonem policji i migające „koguty” radiowozów. Jak mało brakowało, abym powiększyła statystykę morderstw?

Pozwolono mi wrócić do Neda i czekaliśmy razem jeszcze przez mniej więcej godzinę. Policjantka poczęstowała nas herbatą. W końcu komendant zaprosił nas do swego biura.

– Na razie idzie nam dobrze – oświadczył. – Rozszyfrowaliśmy kilka dalszych fragmentów układanki. Kobieta, którą pani rozpoznała jako sprawczynię napadu, nazywa się Rachel Pearson, ma czterdzieści dziewięć lat, jest rozwódką, mieszka na Chalfont Street 43 w Osterly. Pracuje jako sekretarka w wydawnictwie muzycznym Mackintosh i Grove.

– Uuuuch! – wydyszałam, przymykając oczy. Dopiero teraz zrozumiałam wszystko.

– Wygląda na to, że pani były... hm... przyjaciół, pan Mackintosh, pozostawał w intymnych stosunkach także z panią Pearson. Widocznie w jego ramionach szukała pociechy w trakcie upokarzającej procedury rozwodowej, a on pocieszał ją przez mniej więcej dziewięć lat. Jednak jakiś czas temu chciał z tym skończyć, a ona podejrzewała, że pani odegrała w tym jakąś rolę. Wiedziała bowiem o pani istnieniu i uważała panią za rywalkę. Twierdzi, że nie miała zamiaru zrobić pani krzywdy, chciała panią

jedynie przestraszyć, cierpi bowiem na depresję i jest w trakcie leczenia psychiatrycznego. Skontaktowaliśmy się z jej lekarzem, który określił jej zachowanie jako całkowicie nietypowe. Zgodził się jednak, że podpada ono pod Ustawę o Ochronie Zdrowia Psychicznego i powinniśmy umieścić ją w zamkniętym oddziale szpitala psychiatrycznego na obserwacji przez okres trzech tygodni. Osobiście nie chciałbym rozdmuchiwać tej sprawy. Incydent robił wrażenie poważniejszego, nie miało miejsca jednak włamanie ani użycie niebezpiecznego narzędzia. Pani Pearson dostała się do pani domu przez otwarte drzwi, a broń, jaką się posłużyła, okazała się plastikową zabawką. Znaleźliśmy ją w jej samochodzie.

Komendant położył na stole szary, plastikowy nóż. Z daleka już wyglądał na atrapę, a jednak napędził mi tyle strachu! Poczulałam się głupio zawiedziona, jakby wystrychnięto mnie na dudka.

– Niech się także pani zastanowi, czy chciałaby pani, aby ta sprawa nabrała rozgłosu – ciągnął komendant. – Pani uczy w szkole dla dziewcząt, prawda? Wątpię, czy dyrektorka tej szkoły byłaby zachwycona, gdyby dziennikarze zaczęli jej deptać po piętach... Proszę to wszystko dobrze rozważyć i dać nam znać w poniedziałek. Oczywiście, gdyby pani zdecydowała się jednak wnieść oskarżenie, udzielimy wszelkiej pomocy.

Wstał, więc i my zrobiliśmy to samo. Chciałam jak najszybciej stąd wyjść, aby przetrwać otrzymane informacje. W holu minęliśmy się z młodą, zmartwioną kobietą w towarzystwie młodego mężczyzny ubranego w skórzaną kurtkę. Podśledzałam, jak mówiła do sierżanta na wartowni: „Podobno zatrzymaliście moją matkę? Nie mogę uwierzyć... Czyżby wpadła w jakies kłopoty?”

Przez całą drogę powrotną nie odzywaliśmy się, bo nagle zrobiło mi się niesamowicie przykro. Okazało się, że romans, który uważałam za wyłącznie moją osobistą sprawę, znalazł finał w policyjnej kronice wypadków! Pewnie było to po mnie widać, bo Ned zapytał:

– Czy jesteś pewna, że chcesz zostać sama? Może raczej przenocowałabyś u mnie? Mam strasznie zagracone mieszkanie, ale jest tam wolny pokój.

– Dziękuję, Ned, teraz, kiedy już wiem, że nie groziła mi śmierć, czuję się całkiem dobrze. Wystarczy, jeśli podrzucisz mnie do domu.

Uparł się jednak, aby wejść razem ze mną do środka. Ustawił fotel na miejscu i podniósł przewróconą lampę. Rozpalił pod kuchnią i przyniósł mi pełne wiaderko węgla. Byłam mu szczerze wdzięczna za troskę, ale wołałam zostać sama. W końcu sobie poszedł.

Usiadłam przy kuchennym stole i stwierdziłam, że jest już trzecia po południu. Pilgrim oparł głowę na moim kolanie. Wokół panowała cisza, tak samo jak rano przerywana tylko beczaniem owiec na podwórku i krakaniem gawronów w lesie. Mój spokojny domek zdawał się neutralizować burzliwe wydarzenia tego dnia. Mimo zmęczenia wstałam, żeby pozmywać kubki po herbacie i zrobić trochę porządku. Zaryglowałam od wewnątrz drzwi kuchni, napełniłam gorącą wodą termofor i udałam się do sypialni, gdzie zostawiłam rozbabrane łóżko i zrzuconą na podłogę tacę. Filiżanka z francuskiej porcelany, którą otrzymałam w prezencie od Roberta, rozbiła się w drobny mak. Ze smutkiem wyrzuciłam ją do kosza na śmieci. Zmusiłam się do zmiany pościeli, zasunęłam zasłony, zdjęłam słuchawkę telefonu z widełek i zażyłam środek nasenny, który wykupiłam za namową Neda. Pilgrim wskoczył za mną na łóżko i wsunął się pod kołdrę.

Dużo później obudziło mnie donośne walenie w drzwi. Przez chwilę leżałam zeszywniała ze strachu, ale stopniowo przypominałam sobie, gdzie jestem. Przez szparę między zasłonami przebijało przyćmione światło. Spojrzałam na zegarek i stwierdziłam, że minęła już ósma wieczorem. Stukanie w drzwi nie ustawało; towarzyszył mu męski głos, wołający mnie po imieniu. Wskoczyłam z łóżka i ruszyłam ku schodom, w biegu dopinając dzinsy.

Na ganku od frontu stał zatroskany Ned.

– Boże, już się martwiłem! – wykrzyknął, kiedy otworzyłam drzwi. – Dobijam się tu od dłuższego czasu, bo twój telefon jest ciągle zajęty. Dobrze się czujesz?

– Oczywiście, po prostu się zdrzemnęłam. Nie przypuszczałam, że potrwa to tak długo. – Przesesałam palcami rozczochrane ze snu włosy. – Proszę, wejdz.

Kiedy wszedł do środka, objął mnie opiekuńczym gestem, a ja rozkrochmaliłam się i wtuliłam twarz w jego sweter.

– Dzwoniłem do ciebie, bo chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku i zaprosić cię na kolację – usprawiedliwiał się Ned.

Z tego wszystkiego rozplakałam się. Głowę miałam jeszcze ciężką od pigułek nasennych, a przy tym czułam się osłabiona i wzruszona.

– Przepraszam, nie wiem, dlaczego się tak mażę – tłumaczyłam, pociągając nosem.

– Nie masz za co przepraszać. Po ciężkich dniach, jakie przeżyłaś, dobrze ci zrobi, jeśli się wypłaczesz.

Wobec takiej życzliwości nie zdołałam dłużej zapanować nad sobą. Odwróciłam się wstrząsana konwulsyjnym łkaniem i ukryłam twarz w dłoniach. Ned czule mnie przygarnął.

– Dobrze już, wszystko w porządku... – powtarzał, gładząc mnie po włosach.

– A wcale nie, bo wszystko jest okropne! I ta cała Rachel, i jej depresja, i to, co przeżywa jej biedna córka, i jeszcze ja w tym wszystkim! Do tego dochodzi jego żona Mary, jego dzieci i jeszcze Helena... Mam już tego po dziurki w nosie! Tak chciałabym mieć to z głowy, policję i tę resztę!

– Możesz to mieć bardzo łatwo. Przecież ten gliniarz powiedział ci, jak to zrobić: wystarczy nie wnosić oskarżenia.

«.

– Rzeczywiście. – Jeszcze raz pociągnęłam nosem i wytarłam oczy. – Przepraszam, rozczuliłam się nad sobą.

Zdobyłam się na uśmiech i dodałam:

– Słuchaj, umieram z głodu! Może zjedlibyśmy na spółkę puszkę fasolki?

– No, wiesz, nie chciałbym ci się narzucać. Myślałem tylko, że może nie chcesz być sama...

– Jesteś taki miły. Wprost nie wiem, jak ci dziękować.

Zjedliśmy kolację złożoną z fasolki, grzanek i czerwonego wina, którego butelkę Ned dostał od klienta i woził ze sobą w bagażniku. Przez cały wieczór zdążyłam mu opowiedzieć o Robercie, Helenie i zamęcie, jaki ta dwójka spowodowała w moim życiu oraz jak starałam się z tego wyswobodzić.

Zauważyłam przy tym, że przykładałam wagę do wrażenia, jakie na nim wywieram. Ned ze swej strony opowiedział mi o swojej pracy, którą wykonywał w domu, wskutek czego nieraz czuł się samotny i odcięty od świata. Przegadaliśmy prawie całą noc, dopiero nad ranem oświadczył, że musi już iść. Kusilo mnie, żeby go zatrzymać, ale opanowałam się, gdyż dałam sobie słowo, że nie będę już więcej ulegać impulsom. Pocałowaliśmy się więc krótko raz i drugi.

– Jutro do ciebie zadzwonię – obiecał.

– O tak, proszę!

Następnego dnia musiałam pokazać się w pracy, więc mimo późnej pory posprzątałam i zaczęłam się zastanawiać, co na siebie włożyć. Krążąc po pokojach, znów pomyślałam o Alicji. Czyżby wydarzenia dzisiejszego ranka miały zburzyć na zawsze spokój tego domku? Miałam nadzieję, że wyzwolone wtedy gwałtowne namiętności nie będą miały wpływu na wytworzoną przez lata atmosferę, która wywierała tak dobroczynne działanie uspokajające. Potem zaczęłam powoli kojarzyć pewne fakty. Tego ranka drzwi od piwnicy były szeroko otwarte, dzięki czemu Rachel wpadła przez nie, a ja mogłam je za nią zatrzasnąć. Tymczasem, odkąd się tu wprowadziłam, nigdy nie widziałam tych drzwi otwartych – przeciwnie, były raczej zarośnięte trawą. Czyżby Rachel zdążyła je otworzyć, zanim wdarła się do mojego mieszkania? A może raczej jakaś niewidzialna ręka podniosła zardzewiały skobel i rozruszała skrzypiące zawiasy? Alicjo, czy to ty czuwałaś nade mną?

Następnego ranka, jakby nigdy nic, poszłam do szkoły, nie chwając się nikomu, jak spędziłam weekend. Wiedziałam oczywiście, że wyglądam na zmęczoną, jestem na pewno blada i mam podkrążone oczy. Na pierwszej przerwie przekazano mi wiadomość, że mam się zgłosić do sekretariatu. Szłam tam ze strachem, który okazał się uzasadniony, bo między szafkami i biurkami siedzieli dwaj policjanci, popijając kawę i żartując z sekretarkami. Spowaźnieli dopiero na mój widok. Byli bez czapek i jednemu z nich, łysawemu, odcisnęła się pręga na czole.

Poczułam, że serce zaczyna mi walić, a na policzki wpełza rumieniec. Pracownice sekretariatu podniosły głowy znad biurka ze źle skrywaną ciekawością. Zastanawiałam się, jak wiele

policjanci mogli im powiedzieć. Łysy funkcjonariusz dał mi do zrozumienia, że powinniśmy porozmawiać na osobności.

– Możecie państwo przejść do pracowni języka francuskiego, to naprzeciwko – poradziła starsza sekretarka, pani Roberts. – W czasie przerwy nikogo tam nie ma.

Przeszliśmy na przeciwną stronę korytarza przy akompaniamencie chichotów uczennic, odprowadzani ich natrętnymi spojrzeniami. Wyobrażałam sobie, jakie plotki obiegną szkołę w ciągu najbliższych minut. Ładna mi dyskrecja!

– Mogliście panowie przynajmniej mnie uprzedzić, że zamierzacie przyjść do szkoły! – zaprotestowałam gniewnie, gdy zamknęliśmy drzwi od środka. – Zdążyłabym wtedy przygotować panią dyrektorkę, że policja chce mnie jeszcze przesłuchać. A tak, Bóg jeden wie, co ludzie teraz pomyślą, bo jeszcze nikomu nic nie mówiłam...

Na funkcjonariuszach moja przemowa nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Przyszli tu, aby wykonać swój obowiązek i tyle. Łysy sięgnął do kieszeni po notatnik.

– Nie będziemy przetrzymywać pani długo, panno Lennox. Chcieliśmy wyjaśnić tylko kilka kwestii. Pani Pearson złożyła zeznanie, zgodnie z którym wtargnęła do pani domu w niedzielę rano z zamiarem zaatakowania pani plastikowym nożem. W myśl Ustawy o Ochronie Zdrowia Psychicznego odesłaliśmy ją na trzytygodniową obserwację do szpitala psychiatrycznego w Basingstoke, gdzie przebywa na oddziale zamkniętym. Tymczasem chcielibyśmy ustalić, czy podtrzymuje pani zarzuty przeciwko niej. Jeśli nie – umorzemy dalsze postępowanie i prześlemy sprawę jej lekarzowi prowadzącemu. Jak dotąd, wydaje się, że nie zagraża bezpieczeństwu publicznemu, a postępek, którego się dopuściła, stanowił jednorazowy eksces, nietypowy dla jej stanu psychicznego.

– Dobrze, ale jaką mam pewność, że ona znów tego nie zrobi? – Wcale nie czułam się usatysfakcjonowana tą wersją. – A jeśli następnym razem zechce skuteczniej mnie wykończyć?

– Znajdzie się na wolności dopiero wtedy, gdy lekarze zagwarantują, że absolutnie nikomu nie zagraża. Przeprowadziliśmy wywiad z jej pracodawcami, którzy zaświadczyli, że była przykładną pracownicą, choć ostatnio może

nieco niezrównoważoną. Nie była też nigdy karana, nawet za złe parkowanie.

– Az kim panowie rozmawiali? Z panem Mackintoshem? – przycięłam ostro.

– Jego akurat nie zastaliśmy – przypomniał sobie po namyśle starszy funkcjonariusz. – Rozmawialiśmy z jego współnikiem, który jest bezpośrednim przełożonym pani Pearson. Formalnie pan Mackintosh jest nadal prezesem spółki, ale podobno zamierza przejść na emeryturę.

– A gdzie on teraz przebywa? Czy wie, co się stało? Ktoś go o tym poinformował?

Policjant zamknął notatnik, bo uzyskał już wszystkie informacje, o jakie mu chodziło.

– Rozmowa z tym panem nie miała znaczenia dla śledztwa – wyrecytował służbiście. – Sprawa jest...hm... delikatna, więc istnieją obawy...

– No tak, rozumiem! – ucięłam, na co policjanci zmierzyli mnie karcącym wzrokiem. Znowu odniosłam wrażenie, że to ja jestem tu oskarżoną, jakby przez mój hulaszczy tryb życia wielu porządnych ludzi popadło w kłopoty... – Zresztą dobrze, nie wniosę oskarżenia, ale chciałabym w zamian za to móc spotkać się z panią Rachel Pearson. Czy istnieje taka możliwość? Oczywiście, kiedy już poczuje się lepiej i lekarze pozwolą...

Policjanci spojrzeli po sobie.

– Zobaczymy, co się da zrobić – obiecali. – Jeden z nas będzie z panią w kontakcie.

Wstali, więc odprowadziłam ich do wyjścia. Na szczęście rozległ się dzwonek oznajmiający koniec przerwy i nikt nie zauważył, jak wychodzili. Tylko pani Roberts czekała na mnie na zapleczu, aby mi oznajmić, że jestem proszona do gabinetu pani Anderson.

Kiedy szłam za nią korytarzem, czułam się jak uczennica, która coś przeskrobała. Z dyrektorką prawie nie miałam do czynienia od czasu rozmowy kwalifikacyjnej przed przyjęciem do pracy. Dostojna, siwowłosa dama siedziała za biurkiem, a mnie wskazała fotel naprzeciwko. Oświadczyła, że musi poprosić mnie o pewne wyjaśnienia. Poczuta się bowiem zaskoczona – ba, nawet obrażona – wizytą funkcjonariuszy policji w jej szkole, celem

przesłuchania zatrudnionej u niej nauczycielki. I znowu ja byłam uważana za winną! Czułam, że oblewa mnie gorący rumieniec.

– Bardzo mi przykro – zaczęłam. – Widzi pani dyrektor, podczas weekendu miał miejsce wypadek, którego byłam świadkiem. Ci policjanci chcieli spisać moje zeznania. Zwróciłam im uwagę, że nie powinni byli przychodzić tu bez uprzedzenia. Gdybym wiedziała wcześniej o ich wizycie, z pewnością powiadomiłabym panią.

– Jaki wypadek i co pani ma z tym wspólnego? – spytała chłodno.

– Przecież powiedziałam pani dyrektor, że byłam tylko świadkiem. – Łatwiej mi było skłamać, niż wyznać nieprzyjemną prawdę. – Wolałabym raczej nie mówić o tym zbyt wiele, bo poszkodowany nie ma zamiaru wnosić oskarżenia, więc nie ma obawy, że sprawa dostanie się do prasy. Ci policjanci przybyli właśnie po to, aby mnie poinformować o umorzeniu śledztwa.

– To bardzo dobrze, ale byłabym pani wdzięczna, gdyby zechciała pani udzielić mi bliższych informacji na temat tego, co się stało.

– Niestety, policja prosiła mnie o zachowanie całkowitej dyskrecji. To dla dobra śledztwa.

Strzał był celny, więc tylko uśmiechnęłam się i wstałam, ale dyrektorka nadal spoglądała na mnie z powątpiewaniem, dlatego szybko dodałam:

– Przepraszam, ale czeka na mnie uczennica. Nie możemy przecież marnować cennego czasu, prawda?

Kiedy wieczorem wróciłam do domu, pod tylnymi drzwiami znalazłam wielki bukiet kwiatów opakowany w celofan. Pierwszą moją myślą było, że to od Neda. Gdy jednak położyłam je na kuchennym stole i odwinęłam z opakowania, okazało się, że do bukietu dołączona była kopertka z kartką: „Kochanie, cóż mogę więcej powiedzieć? R.”.

Na automatycznej sekretarce również była wiadomość od niego: „Kochanie, przeżyłem prawdziwy szok! Wkrótce się odezwę”.

Wstawiłam kwiaty do wiaderka, bo nie miałam flakonu odpowiedniej wielkości. Potem wyłowилаm z kosza na śmieci stłuczoną filizankę i przez godzinę próbowałam posklejać

skorupki. Nic z tego oczywiście nie wyszło, ale świadczy to, że on wciąż potrafił wzbudzić we mnie miłość!

Po tygodniu rzekoma próba zamachu na moje życie nie wydawała mi się już niczym frapującym. Czułam się zmęczona i zubożona na wszystko. Ned nie narzucał mi się, gdyż wyczuwał, że potrzebuję czasu, aby sobie wszystko poukładać. Robert zadzwonił, tak jak obiecał. Opowiedział, że resztę lata spędził w domu, w Szkocji. Wspomniał Mary o napadzie na mnie, ale trudno było spodziewać się od niej współczucia! Przyznał, że Rachel była przez piętnaście lat jego sekretarką i że sypiał z nią w chwilach, kiedy po rozwodzie przeżywała największe załamanie nerwowe. Uważał, że potrzebowała kogoś, na którym ramieniu mogłaby się wypłakać, gdyż mąż traktował ją bardzo źle. Wydawało mu się jednak, że Rachel zdaje sobie sprawę z charakteru ich intymnych stosunków. Obecnie jego firma zdecydowała się nie przedłużać z nią umowy o pracę, co w zaistniałej sytuacji było oczywiste. Pracodawca poszedł jej jednak na rękę, proponując korzystne warunki przejścia na wcześniejszą emeryturę, na co się zgodziła.

Robert był mi wdzięczny, że nie wniosę oskarżenia, bo oznaczało to, że sprawa nie nabierze rozgłosu. Mówił do mnie tonem chłodnym i rzeczowym, sugerując, że nie ma o co rozdzierać szat. Najwyraźniej wołał, aby nie łączono jego nazwiska z taką paskudną historią. Miał szczęście, że udało mu się uniknąć konsekwencji swojej niewierności i krzywd, jakie wyrządził. Z wyzyn jego rozsądnego, szkockiego światopoglądu biedna, obłąkana Rachel wydawała się żalosną figurą w rodzaju pani Rochester z powieści *Dziwne losy Jane Eyre* Charlotte Bronte!

Okazało się również, że Mary nie tylko nic sobie nie robiła z przygód męża, ale czerpała pewien rodzaj satysfakcji z faktu, że jest żoną mężczyzny, dla którego inne kobiety tracą zmysły. Oczywiście Robert jakoś objaśnił jej niemłą sytuację, w której się znalazł, a ona zrobiła z tego pikantną historyjkę do zabawiania swych przyjaciółek. Mogło to wyglądać mniej więcej tak: „Nie macie pojęcia, jaka niespodzianka czekała na nas po powrocie z Włoch! Ta kobieta kompletnie oszalała na punkcie biednego Roberta. On jej w żaden sposób nie zachęcał, ale takie niewyżyte

baby zawsze wyobrażają sobie Bóg wie co. A tamta dziewczyna? To nic poważnego. Jakaś artystka, która tak się narzucała biednemu Robertowi, że miał jej zupełnie dość!”

Podnosiło to również jej własny status jako żony tak atrakcyjnego mężczyzny. Mimo iż inne kobiety były się o niego, on wracał do niej na każde jej skinienie. Tak to przynajmniej wyglądało z zewnątrz, natomiast nikt nie musiał wiedzieć o jego ciągłych zdradach ani o jej bólu. Dopóki udawało się jej stwarzać pozory, była górą.

Musiałam oczywiście zapytać go o Helenę. Byłam ciekawa, co stało się z moją główną rywalką.

Dowiedziałam się, że Helena przyniosła do jego klubu wszystkie jego rzeczy, jakie kiedykolwiek u niej pozostawił, i wysypała je z hukiem na portierni. Znalazły się wśród nich nawet klapki, które nosił na pokładzie jej jachtu, i buty wspinaczkowe, które nosił na pieszej wycieczce w Szwajcarskie Alpy, wykupionej przez nią dla nich obojga. Trzeba przyznać, że podziwiałam Helenę za ten gest! Oczywiście nadal była na niego wściekła i uważała, że popełnia straszliwy błąd. Na razie nie spotykała się jeszcze z żadnym innym mężczyzną, przynajmniej Robert nic o tym nie wiedział. Zauważył tylko z żalem: „Pod jej stopami nie wyrośnie trawa!”

– Jeśli już mowa o trawie, to wołałabym, aby wachała ją od spodu! – zauważyłam z przekąsem. – Jeśli chcesz wiedzieć, najchętniej zamordowałabym ją, bo jej nie trawię!

– Och, wy, kobiety! – westchnął Robert tonem, w którym pobrzmiwało wyraźne zadowolenie. Podobało mu się, że wzbudzał tak gwałtowne namiętności, nie tracąc przy tym zimnej krwi. – W każdym razie chwała Bogu, że nic ci się nie stało. Słuchaj, wysłałem ci coś pocztą, przyda ci się na wakacje. Potrzebujesz odpoczynku.

– Dziękuję! – wycodziłam, kipiąc wściekłością. Chciał mnie po prostu spłacić, tak jak Rachel! Szkoda, że próbowałam skleić tę jego pieprzoną filiżankę. Pewnie teraz pierdział w łóżko Mary, ale ciekawe, jak długo ze sobą wytrzymają, zanim znów zaczną planować następne skoki na boki?

Po rozmowie z nim zjadłam prawie całą paczkę pełnoziarnistych ciasteczek w czekoladzie. Stojąc przy ladzie

kuchennej, pakowałam do gęby jedno po drugim, oblizując zapaćkane czekoladą palce. Wiedziałam, że źle robię, lecz nie mogłam się powstrzymać. Chciałam po prostu się zapchać, by nic nie czuć i nie myśleć o niczym. Sięgałam właśnie po ostatnie ciasteczko i zastanawiałam się, co by jeszcze zjeść, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Były otwarte, więc do środka zajrzał Ned. Zarumieniałam się, jakby przyłapał mnie na czymś zdrożnym. Odniosłam jednak wrażenie, że nie zauważył mojego obżarstwa.

– Co porabiasz? – spytał, całując mnie w policzek.

Miał na sobie znoszoną, kraciatą koszulę, przy której brakowało dwóch guzików, spod niej wyglądała opalona na brąz skóra brzucha.

– Dziękuję, wszystko w porządku! – Zdołałam się jakoś pozbierać. – A co u ciebie? Poczęstuj się, zostało mi jeszcze jedno ciasteczko!

Uśmiechnęliśmy się do siebie nawzajem i on wziął mnie w ramiona, a ja – co uznałam za zupełnie naturalne – oparłam głowę na jego piersi. Nie czułam przy tym dreszczyku erotycznego, lecz po prostu przyjemność z fizycznego kontaktu z kimś, kogo bardzo lubiłam.

Przez cały ten okres miałam trudności ze snem. W mojej głowie kłębiło się zbyt wiele sprzecznych myśli. Zmęczona, waliłam się na łóżko ciężko jak kłoda, ale już o trzeciej nad ranem budziłam się z zupełnie jasnym umysłem. Podczas bezsennych godzin przewijało się przed moimi oczami całe moje życie, obnażając bezlitośnie wszystkie słabości. Coraz bardziej doskwierało mi uczucie samotności i obawy o przyszłość.

Najgorsza była wszechogarniająca i nieunikniona świadomość, że Robert mnie nie chce i rozdział swego życia związany ze mną uznał za zamknięty. Okazało się, że nie doceniłam trwałości jego związku małżeńskiego, który przedtem wykiwiałam. Pamięć o miłych chwilach przeżytych wspólnie przyćmiła okrutna prawda, że gdy przyszło co do czego, wyciął mnie po prostu ze swego życia jak nowotwór złośliwy. Sam wyszedł z opresji bez szwanku – ja natomiast czułam się rozdarta wewnątrz.

Moje uczucia oscylowały od gniewu do rozpacz, od nienawiści do samej siebie do rozczulania się nad sobą. Dla

równowagi próbowałam sobie przypomnieć, jaką rozkosz z nim przeżywałam, ale to nie skutkowało. Czułam tylko ból odrzucenia i upokorzenie, jakie bywa udziałem ludzi zakochanych bez wzajemności. Podczas nieprzespanych nocy w myślach przyznawałam Poppy rację – cóż osiągnęłam przez to, że wycofałam się na wieś? W efekcie przez cztery bite dni czułam taką chandrę, że objadałam się, aby ją zagłuszyć. Dopiero kiedy bluzki przestały się dopinać, a gumki od majtek wrzynały się w ciało, powiedziałam sobie, że tak dalej być nie może. Zdawałam sobie sprawę, że staczam się po równi pochyłej; czułam się nie tylko niekochana, ale i niegodna miłości.

Przy życiu trzymał mnie jedynie Pilgrim i mój domek. Późna wiosna przeszła w buchające zielenią wczesne lato, więc w długie, jasne wieczory po lekcjach urządzałam sobie wielomilowe spacerunki. Zaprawa fizyczna pomogła mi odzyskać równowagę psychiczną, zgubić dodatkowe kilogramy i poprawić kondycję. Wewnętrzny spokój przynosiły mi włóczęgi dawnymi szlakami przejażdżek konnych, które gęsto krzyżowały się wokół mojej farmy. Z trawy wystrzelały dzwonki, krzewy jagodowe i drobne kwiatki przypominające krede, a nad tym wszystkim górował śpiew skowronków.

Pilgrim uwielbiał te spacerunki. Czasem gonił króliki z szybkością błyskawicy, ale potrafił też wiernie towarzyszyć mi przy nodze. Nieraz spotykaliśmy innych właścicieli psów odbywających z nimi rutynowe spacerunki, ale najczęściej cały otaczający świat należał tylko do nas. Któregoś wieczoru natknęłam się na Neda spacerującego ze swym owczarkiem szkockim Fly. W zapadającym zmroku wspiealiśmy się na pradawne wały obronne, skąd było widać, jak ciemność zalega dolinę pod nami. Siedzieliśmy w milczeniu i w pewnej odległości od siebie, bo żadne z nas nie chciało być tym pierwszym, kto się przysunie. Bez wątplenia bardzo go lubiłam, ale na razie nie chciałam się z nikim wiązać. Wołałam najpierw do siebie, wzmocnić się wewnątrz i poprawić swój wizerunek we własnych oczach. Nie byłam jeszcze gotowa na przyjęcie nowej miłości.

Ned też nie występował z inicjatywą. W przeciwieństwie do Toby'ego, który był chętny do zwierzeń, Ned sprawiał wrażenie raczej zamkniętego w sobie. Odpowiadało mi to, gdyż chwilowo

nie byłam ciekawa jego przeszłości ani kompleksów. Zauważyłam natomiast, że miał długie, delikatne dłonie o brązowej skórze, a w ogóle karnację ciemną niczym Cygan. Kiedy tak siedzieliśmy na wzgórzu, ujął mnie za rękę i zaczął pieścić moje palce, co było miłe i wzruszające. Wróciliśmy potem do mnie do domu, osusziliśmy razem butelkę wina, pośmialiśmy się, pogadaliśmy, ale nawet na pożegnanie mnie nie pocałował. Wyglądało tak, jakby czuł, że potrzebuję czasu, aby w pełni dojść do siebie i traktował mnie z należytą cierpliwością.

Kiedy indziej na trasie swojej wędrówki spotkałam Jake'a – mojego lubieżnego sąsiada z tamtego pamiętnego koncertu. Odbywał właśnie przejażdżkę konną z córką. Dosiadał potężnego, szarogniatego rumaka, całego w pianie. Cały czas musiał ściągać wędzidło, bo koń nie mógł nawet przez chwilę ustać spokojnie. Prezentował się na nim efektownie i uwodzicielsko, jak przystojny i zdobywczy dziedzic z zeszłego stulecia.

– Ach, witam naszą przepiękną skrzypaczkę! – zawołał na powitanie. – Gdzież się pani podziewała? Rozglądałem się za panią od czasu tamtej uroczystości.

– Czyżby?

– Tak, i nie puszczę pani, dopóki mi pani nie obieca, że zje ze mną kolację. Katie, bądź tak miła i otwórz furtkę!

Dziewczynka skrzywiła się, lecz podjechała kłusem we wskazanym kierunku. Oddalający się kuc jeszcze bardziej zdenerwował konia Jake'a. Pilgrim na wszelki wypadek schował się za mną, a i ja wdrapałam się na zbcze, prosto w pokrzywy, byleby dalej od roztańczonych kopyt.

– No więc, na kiedy się umówimy? – Nie ustępował.

– Obojętne. Nie mam zbyt wielu zobowiązań.

– Myślałby kto, że to prawda! – Uśmiechnął się obleśnie.

Odpieprz się!, pomyślałam w duchu.

– W przyszłym tygodniu Lucinda wyjeżdża, więc będziemy mogli gdzieś wyskoczyć. Zabiorę panią do takiego lokalu, na jaki nie stać przeciętnej skrzypaczki!

„Ty skurwysynu!” miałam na końcu języka, ale na zewnątrz uśmiechnęłam się uroczo.

– Wybacz pan, ale nie skorzystam. Na ogół trzymam się z daleka od żonatych mężczyzn – Ależ pani staroświecka! – Staraj

się nadać swoim słowom pogardliwy ton. – Przecież nie proponuję niczego zdroźnego, tylko trochę fajnej zabawy!

– Doprawdy? To brzmi zupełnie jak z *Tessy d'Urbewille*, ale przepraszam, bo się spieszę.

– Tato, jedź szybciej, bo nie mogę tak długo trzymać tej furtki otwartej! – krzyczała z daleka Katie. Jake zdawał się tym nie przejmować.

– Dobrze, ale uprzedzam panią, że ja tak łatwo nie rezygnuję. Przydałoby się pani trochę dobrej rozrywki!

Posłał mi całusa i podpędził swego konia, aby zrównać się z kucem córki. Od mojej strony widać było głównie podskakujące siedzenie Jake'a obciążone obcisłymi bryczesami i koński zad z uniesionym ogonem i pianą między udami.

A zjeżdżaj nareszcie!, pomyślałam w ślad za nim.

Ważną rolę w mojej kuracji odegrał także ogród. Z zapalem zabrałam się do jego przekopywania i pielienia. Posadziłam słodki groszek pnący się po wierzbowych tyczkach, a przy ławeczce, gdzie wieczorami siadałam często ze szklanką czegoś do picia, lewkonie. Większość tych roślin obzarły ślimaki, ale niezrażona, zaprosiłam Mike'a na długi weekend. Nie bardzo wiedziałam, jak wytłumaczyć się z tego Nedowi, ale w końcu powiedziałam mu prawdę, a on się wcale nie przejął.

– Dobrze, że będziesz miała towarzystwo! – orzekł.

Uprzedziłam go, że nie mam aż tyle zaufania do Mike'a, aby wtajemniczać go w szczegóły tego, co mi się przydarzyło. Wystarczyło, że on, Ned, zna wszystkie fakty.

– Oczywiście, rozumiem – zapewnił mnie.

Spędziliśmy z Mike'm ten weekend bardzo po domowemu. Zaprosiłam na kolację Neda i Nicky, bo chciałam wreszcie poznać jego siostrę. Mikę był zamiłowanym kucharzem, więc zawiozłam go do miasteczka, gdzie z radością zrobił konieczne zakupy na sobotnim targu. Kupił tam kraby, miejscowy ser i dużego kurczaka z chowu przydomowego. Potem przez całe popołudnie uwijał się w kuchni, podśpiewując i pociągając wino z butelki, podczas gdy ja podjęłam się zmywania.

Goście przybyli prawie równocześnie około ósmej wieczór, gdy Mikę jeszcze nie zdjął ścierki obwiązanej wokół talii, a od sterczenia nad garami zgrzał się i zarumienił. Ja na szczęście

zdążyłam się przedtem wykapać, więc odświeżona i szczęśliwa nalewałam drinki. Nicky okazała się równie wysoka i szczupła jak brat, miała takie same jedwabiste, brązowe włosy i cechowało ją to samo chłodne opanowanie. Mikę od razu zaczął się koło niej kręcić i osiągnął to, że poszła z nim do kuchni. Ned zwierzył się nam później, że od dawna już nie widział siostry tak zadowolonej i odprężonej, a Mikę wyznał, że serce przestało mu bić, gdy ją zobaczył. Nie wierzyłam, że ludzie w naszym wieku mogą jeszcze tak reagować, ale zapewnił mnie, że tak było naprawdę i że nigdy jeszcze nie przeżył czegoś podobnego.

Późnym wieczorem Nicky oparła łokcie na stole i ze śmiechem słuchała wynurzeń podpitych panów. Mikę zwierzył się nam, że jego matka miała opinię najszybszej kobiety w Shropshire. Nie tylko dlatego, że zawsze wygrywała wyścigi dla matek uczniów szkoły przygotowawczej, ale przede wszystkim dlatego, że zdołała uciec z tyłoma nowymi tatusiami! Pod koniec każdego semestru zabierała do domu inny zestaw dzieci, w zależności od tego, z kim aktualnie żyła! Mikę, będący jej jedynym biologicznym dzieckiem, najciężej przeżywał ustawiczną niepewność, z kim tym razem spędzi ferie. Oczywiście po tej opowieści dziewczyny rzuciły się go pocieszać.

Zaprosiłam także Toby'ego, który przyprowadził dziewczynę o imieniu Zofia, a nazywał ją „Zośka” lub „Zocha”. Zatrudnił ją ostatnio w sekretariacie biura nieruchomości. Chociaż wyrażała się jak księżniczka, a jej grzmiący głos, według słów Toby'ego, pokrywał powierzchnię czterdziestu akrów, okazała się miła i wesoła. Była rozwódką z dwojgiem dzieci, a jej były mąż zostawił ją dla jej najlepszej przyjaciółki. „Warte jedno drugiego” podsumowała to Zofia.

Toby zaproponował Mike'owi udział w wycieczce na Sycylię, gdyż miał jeszcze wolne miejsca w przestronnej willi, którą wynajął. Mikę się zgodził, także Nicky i Ned zdecydowali się dołączyć. Wtedy dopiero poczułam się naprawdę szczęśliwa, bo zyskałam nowych przyjaciół i życie ukazało mi nowe perspektywy. Gdyby utrwalić na kliszy zebrane u mnie grono, widok byłby godny pozazdroszczenia. Na tle stołu zastawionego butelkami i świecami, z bukietem kwiatów w emaliowanym dzbanuszką i Pilgrimem śpiącym spokojnie przy piecu, nie wyglądaliśmy

wcale na nieudaczników ani wyrzutków. Przez cały ten wieczór ani razu nie pomyślałam o Robercie. Wspomnienia o nim nawiedziły mnie dopiero nad ranem.

Przez pierwszą połowę lata byłam tak zajęta własnymi sprawami, że nie miałam czasu zajrzeć do Karoliny. Wreszcie któregoś dnia, kiedy wieczorem wracałam z pracy, zadzwoniłam do drzwi jej domu. Odniosłam wrażenie, że nikogo nie ma i już chciałam iść dalej, gdy usłyszałam wewnątrz kroki. Otworzyła mi matka Karoliny, Geraldine. Wyglądała na zmęczoną, włosy miała w nieładzie, a usta w pośpiechu pociągnięte szminką.

– Ach, to pani! – rzuciła bez uśmiechu.

– Jak się czuje Karolina? – spytałam bez ogródek.

– Proszę wejść – przepuściła mnie w drzwiach. Potem zaprowadziła mnie do kuchni utrzymanej w tak klinicznej czystości, jakby nikt nigdy nie gotował tam żadnego posiłku.

– Napije się pani czegoś? – zaproponowała.

– Dziękuję, chętnie. A jak tam z Karoliną, już wszystko w porządku?

Geraldine otworzyła dużą szafę na napoje, wbudowaną w przeciwległą ścianę. Na kostki lodu w szklankach naląła ginu i uzupełniła musującym tonikiem. Z pełnymi szklankami podeszła do lady kuchennej, aby ukroić plasterki cytryny.

– Przeciwnie, całkiem źle – odpowiedziała, nie podnosząc wzroku. – Leży w szpitalu i jeśli jej stan się szybko nie polepszy, przejdzie na odżywianie kroplówkami. Straciła zupełnie motywację do pracy nad sobą i chyba także chęć do życia...

Uderzyła mnie zaciekłość, wręcz okrucieństwo w jej głosie. Biła we mnie ostrymi słowami, jakby smagała batem.

– Boże, tak mi przykro! – To wszystko, na co potrafiłam się zdobyć.

– Nam też jest przykro, a mnie do tego szlag trafia. Kiedy do niej przychodzę, mam ochotę ją zatłuc albo przynajmniej spuścić jej dobre lanie i siłą wlać jedzenie do gardła! Nie mogę dać sobie rady z samą sobą, a mój mąż kompletnie się załamał. Właściwie odszedł ode mnie, bo wyprowadził się do mieszkania w Londynie. Karolina leży na specjalnym oddziale dla takich jak ona, a mnie nie wolno jej widywać, bo uznano mnie za przyczynę jej choroby!

Wychyliła duszkiem zawartość szklanki i poszła po

następnego drinka.

– Na miłość boską, niechże pani tak nie mówi! – zaoponowałam. – To z pewnością nie pani wina, a Karolina jeszcze dojdzie do siebie. A może mnie pozwoliliby się z nią zobaczyć?

– Wątpię, bo na razie chyba nie wolno jej nikogo widywać. Pacjentom tego oddziału zezwala się na odwiedziny tylko w nagrodę, jeżeli chętnie współpracują z lekarzami.

– A w tej poradni w Bristolu jej nie pomogli? Wydawało mi się, że było już z nią lepiej.

– Tak, na początku. Potem wróciła do starych sztuczek z wymiotowaniem i oszukiwaniem. W końcu tamtejszy personel orzekł, że dalsze leczenie ambulatoryjne nie ma sensu i musi być umieszczona w oddziale zamkniętym..

– Doprawdy, bardzo mi przykro!

– W pewnym sensie śmierć byłaby dla niej wybawieniem, ale może długo potrwać, nim zniszczy sama siebie. Jest jeszcze silna, szczególnie odkąd dostaje kroplówki. Leży opłataną tymi wszystkimi rurkami, z twarzą nieobecną i obcą jak maska. Oczywiście ta jej wrogość niszczy nie tylko ją, ale i nas, czyli właściwie ma to, czego chciała.

Może zbyt łatwo moje oczy wypełniły się łzami, ale trudno było mi przyjąć do wiadomości to, co usłyszałam. Trudno mi też było odpowiedzieć coś sensownego tej zgorzkniałej, zawziętej kobiecie.

– Gdybym mogła w czymś pomóc...– To było jeszcze najlepsze, co zdołałam wykrztusić, kończąc drinka.

– Owszem, może pani. Zamknąć drzwi z tamtej strony!

Wyraz twarzy Geraldine znamionował taki sam upór i zaciętość jak u córki. Nic dziwnego, że jej mąż nie mógł dłużej wytrzymać pod jednym dachem z uosobieniem nienawiści i frustracji! Wychyliła drugą szklankę równie szybko jak pierwszą, a kiedy wychodziłam, słyszałam za sobą grzechot następnych kostek lodu.

Z płaczem przebyłam ostatni odcinek drogi do domu. „Karolino!” zwracałam się do niej w myślach. „Co popycha cię w kierunku samounicestwienia? Jaka ciemna siła natchnęła cię taką nienawiścią do samej siebie i kazała zagłodzić się na

śmierć?”.

Rzecz jasna, nie znałam odpowiedzi na te pytania, ale podejrzewałam, że demony lęgnące się w jej mózgu należały do tego samego rodzaju, z którymi i ja się borykałam. Niechęć do samej siebie, lęk przed odrzuceniem, przed utratą kontroli nad swoim życiem, wreszcie przed samym życiem w jej przypadku urosły do takich rozmiarów, że nie dała sobie z nimi rady. Na szczęście u mnie w porę uruchomił się odpowiedni mechanizm i zatrzymał mnie na skraju przepaści, pomagając wrócić do równowagi. U Karoliny najwidoczniej ten sam mechanizm zaciął się i przestał działać.

Zadzwoiłam do Loops i opowiedziałam jej, co usłyszałam.

– O, kurczę! – zakłęła. – Nie wiesz, w którym szpitalu leży? Myślisz, że dopuściliby mnie do niej? Polubiłam tę małą i chciałabym jej jakoś pomóc. Podobno dwa razy próbowała zajrzeć do mnie w Londynie, ale akurat wtedy nie było mnie w domu i w końcu straciłam z nią kontakt. Teraz mam wyrzuty sumienia. Biedne, biedne dziecko!

– Ja też czuję się winna, bo przez kilka tygodni nie zadzwoniłam do niej ani w ogóle się nią nie interesowałam. Cieszyłam się nawet, że sprawa przycichła. Miałam nadzieję, że wszystko wróciło do normy. Pewnie nic by to nie zmieniło, ale mogłam przynajmniej zapytać, co u niej słychać, tylko że w tym czasie zajmowałam się głównie sobą.

Udzieliłam Loops wszelkich informacji, jakie otrzymałam. Obiecała, że zadzwoni do szpitala, w którym leżała Karolina.

– Czeka ją długa kuracja, ale powinna z tego wyjść – pocieszyła mnie Lopps. – Miałam koleżanki, które przez to przeszły, stąd wiem, że gdy zmuszą człowieka do jedzenia, czasem jego ciało odzyskuje kontrolę nad sobą. Mam nadzieję, że i z nią tak będzie.

Zamilkłyśmy, zważywszy, jaka mogła być alternatywa. W końcu Loops zmieniła temat.

– Wiesz co? Dałam sobie spokój z fotografią i zdecydowałam się na studia uniwersyteckie. Dobrze, co? Podobno tam już nie zwracają uwagi na dysleksję, zresztą w naukach ścisłych to nie przeszkadza. W październiku chcę wstąpić na wydział Nauk Przyrodniczych, a potem specjalizować się w czymś zbliżonym do

medycyny, na przykład w psychoterapii. Czy to nie podniecające, znowu zacząć używać swego mózgu? A pomyśleć, że zawsze nienawidziłam wszystkich pieprzonych szkół!

Zareagowałam dźwiękiem, który mógł oznaczać zdumienie i zachętę.

– Z kim teraz chodzisz? – zapytałam, podejrzewając, że ktoś mógł wpłynąć na tak nagłą zmianę życiowych planów.

– W życiu byś nie zgadła! – parsknęła Loops. – Jednym z facetów, którzy przeprowadzali ze mną rozmowę kwalifikacyjną był amerykański profesor Dan Chomolski. Taki niski, gruby, kudłaty Żydek, ale nie masz pojęcia, co za łeb! Nie przypuszczałam, że mózgowcy mogą być tacy seksowni. Przyjadę kiedyś z nim do ciebie. A jak ty stoisz z tymi sprawami?

Opowiedziałam jej o zerwaniu z Robertem, ale ani słowem nie wspomniałam o zamachu na moje życie. Nie chciałam dzielić się tymi przeżyciami nawet z Loops.

– No i dobrze – podsumowała. – Teraz, dzieciaku, będziesz mogła zacząć nowe życie.

– Prawdę mówiąc, w tym życiu przydałby mi się dzieciak – sparafrazowałam jej słowa.

– Na to też przyjdzie czas, ale przynajmniej nie z tym skurwysynem.

Poppy wyrażała się równie dosadnie.

– Przejechałaś się na nim dokładnie, Hats. Coś ty właściwie z tego miała? Od czasu do czasu szybki numerek i nic w zamian. Równie dobrze mogłaś robić to z kierowcą TIR-a!

Zdążyła już widocznie zapomnieć o swojej roli w tym moim romansie!

– Będziemy musieli znaleźć ci teraz jakiegoś nowego faceta – przystąpiła do snucia dalekosiężnych planów. – Wiem o paru takich, którzy mogą być dobrą inwestycją na dłuższą metę. Poznam cię też z takimi, z którymi można dobrze się zabawić już teraz, bo widzę, że tego potrzebujesz. Naprawdę uważam, że powinnaś wrócić do Londynu.

– O tym nawet nie myśl, Pops. Chwilowo nie interesuje mnie giełda panów do wzięcia, a tu już całkiem dobrze się czuję. Poznałam masę fajnych ludzi.

– Dobra, wpadnę do ciebie, to pogadamy o dalszych planach.

Chciałabym, żebyś latem wyskoczyła z nami do Kornwalii. Z nami, to znaczy ze mną, Jess, Tomem, wiaderkami i łopatkami. Najpierw jednak musimy uczcić twój powrót do normalności. Akurat dzisiaj mój trener odwołał zajęcia (Poppy była na etapie joggingu i aerobiku), więc po południu wpadnę do ciebie, kiedy wrócisz z pracy.

I dotrzymała słowa. Pojawiła się u mnie późnym popołudniem w artystycznie wystrzępionej, koronkowej spódnicy i jedwabnych sandałkach, z dziećmi stłoczonymi na tylnym siedzeniu imponującej limuzyny. Wykupiła po drodze chyba całą zawartość włoskich delikatesów, w tym dwie butelki szampana, którego piłyśmy pod jabłonią. Jess w tym czasie usiłowała ubrać Pedra w baseballową czapkę i przeciwsłoneczne okulary, a Tom siedział na kocu jak uśmiechnięta podpórka do książek. Poppy poinformowała mnie, że w kręgu jej przyjaciół w modę weszło właśnie uczenie dzieci gry na skrzypcach.

– Skrzypce łatwo mieszczą się w bagażniku, kiedy się wyjeżdża na weekend – uzasadniała ten szal. – Nie deformują twarzy, tak jak instrumenty dęte. Zawsze to przyjemniej mieć najładniejsze dziecko w orkiestrze.

Przyznałam jej rację, bowiem na prywatnych lekcjach muzyki wychodziłam finansowo całkiem dobrze. Po raz pierwszy w życiu miałam dodatnie saldo na koncie.

Poppy zaczęła patrzeć łaskawszym okiem na moją pracę nauczycielki. Nie była już stuprocentowo przekonana, że to ślepa uliczka, która do niczego nie prowadzi. Słyszała całkiem pochlebne zdania o mojej szkole, wypowiedane przez jej utytułowanych przyjaciół, którzy planowali wyprowadzkę z Londynu do Wiltshire i szukali dobrej placówki oświatowej dla swoich córek.

– Teraz już bardziej mogę uwierzyć, że dasz sobie radę – przyznała mi łaskawie. – Jedno, czego ci potrzeba, to chłop. Przykro mi, Hats, ale jeśli dalej będziesz tak popijać do lustra tylko w towarzystwie tego tchórzliwego psa (tu trąciła Pilgrima nogą), to niedługo zostaniesz ekscentryczną starą panną w poplamionym swetrze.

Krytycznym okiem otaksowała moją garderobę i dodała:

– Już niewiele do tego brakuje.

Podniosłam do góry Toma, wając w rękach jego słodki ciężar. Wyciągnął pulchne łapki i złapał mnie za włosy.

– Może mogłabym od czasu do czasu pomóc ci przy Tomie i Jess? – zaproponowałam. – Tak żeby być na bieżąco z tymi sprawami?

– Ależ oczywiście, kochanie. – Poppy nagle stała się dla mnie bardzo miła. – Tom, nie bierz do buzi bluzki cioci Harriet, to be!

Wieczorem przyjechali do mnie także moja matka i Douglas. Mama zawsze lubiła Poppy i jej dzieci, choć traktowała je spokojnie i stanowczo, zamiast huśtać je, całować i laskotać, jak ja. Usiadły z Poppy pod drzewem i rozpoczęły dyskusję na ulubiony przez Poppy temat – o kształceniu dzieci. Ja tymczasem wybrałam się z Douglasem na spacer po ogrodzie. Pokazałam mu nowe sadzonki i grządki, które oglądał z życzliwym zainteresowaniem.

Doszedłam do wniosku, że to bardzo sympatyczny człowiek. Zauważyłam, że od czasu do czasu spoglądał pod drzewo, gdzie mama ze spokojem wysłuchiwała ożywionej tyrady Poppy. Widać było, że naprawdę ją kocha. Kiedy oddaliliśmy się nieco wzdłuż polnej drogi okalającej moją farmę, Douglas najpierw przez chwilę milczał, a później odkaszlnął i zagaił:

– Harriet, chciałbym, żebyś wiedziała, jacy jesteśmy szczęśliwi. Ty i twoje rodzeństwo zechcieliście przyjąć mnie do waszej rodziny, więc tym bardziej chciałbym wam powiedzieć, jak kocham waszą matkę. Straciłem już nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze spotka mnie takie szczęście. Nigdy przedtem nie przeżywałem czegoś podobnego. W moim pierwszym małżeństwie, z Margaret, nie układało się nam ani w części tak dobrze, jak z twoją matką.

– To wspaniale, Douglas. Widzę, że jest szczęśliwa i cieszę się z tego.

Douglas nie mógł jednak długo rozmawiać w tym duchu, więc niezręcznie zakończył:

– Po prostu chciałem, żebyś to wiedziała, w razie, gdybyś zastanawiała się nad tym.

W ciszy wróciliśmy do ogrodu, gdzie stanął za krzesłem mojej matki i łagodnie położył rękę na jej ramieniu. Spojrzała w górę, uśmiechnęła się i nakryła jego rękę swoją. Poczulałam ukłucie

zazdrości, że byłam świadkiem tak intymnej chwili. Aby zamaskować zakłopotanie, pozbierałam z trawy kubki po herbacie i odniosłam je do kuchni. Oczywiście, bardzo cieszyłam się szczęściem mojej matki, ale wolałabym znaleźć się na jej miejscu!

Zmywając naczynia po wyjeździe gości, uświadomiłam sobie, że wyrażane przez wszystkich potępienie dla Roberta wpłynęło nieco na moje uczucia do niego. Poczułam się jakby w obowiązku go bronić. Pod wieloma względami Poppy i Loops miały rację, ale mówiły o nim tak, jakby był jakimś nieszczęściem, które trafiło mi się przypadkiem. Pragnąc poprawić mi samopoczucie, przedstawiały mnie w roli niewinnej, wykorzystanej i porzuconej ofiary.

Nie zwracały przy tym uwagi na fakt, że to ja dobrowolnie wpakowałam się w ten romans i rozpaczliwie próbowałam go podtrzymać. To ja podejmowałam decyzje, które w znacznym stopniu przyczyniły się do obecnej sytuacji, toteż byłam za nią w najlepszym razie współodpowiedzialna. Nie mogłam oczywiście przewidzieć, że niezrównoważona psychicznie kobieta rzuci się na mnie z nożem, ale wiedziałam, że Robert nie dochowywał wierności żadnej swojej przyjaciółce. Zakładałam najwidoczniej, że w stosunku do mnie postąpi inaczej, jakbym była w czymś lepsza od innych kobiet jego życia.

Doszłam więc do wniosku, że nie powinnam demonizować Roberta. On się nie zmienił, pozostał tym samym człowiekiem, którego przedtem kochałam, tylko ja zmieniłam kąt widzenia pewnych spraw. W gruncie rzeczy dobrze, że uwolniłam się od niego i przestałam brnąć w sieci oszustw i zdrad, że przestały się za mną ciągnąć te lepkie nici. Nie czułam już wobec niego nienawiści ani chęci odwetu. Nie była to jednak także miłość, tylko jakieś słabe, ulotne uczucie. To dopiero wyprowadziłoby go z równowagi, bo lubił, kiedy kobiety szalały za nim.

Wszystko to brzmiało bardzo pięknie, ale muszę przyznać, że tak mocne postanowienia podejmowałam tylko w momentach, kiedy czułam się silniejsza. Nie wróciłam jeszcze w pełni do równowagi psychicznej! Bywały chwile, kiedy wciąż oczekiwałam telefonu i pielęgnowałam nadzieję, że on jeszcze do mnie wróci, kiedy znudzi się życiem z Mary. Kilka razy musiałam z całej siły powstrzymać się, aby nie zadzwonić do niego. Udało mi się jednak i z biegiem czasu odzyskałam taki spokój, jakiego nie miałam od pięciu lat.

Czasami myślałam również o Helenie. Właściwie chciałam się spotkać z nią, jakby nasza rozmowa mogła coś zakończyć. Po części czułam swego rodzaju solidarności krzywdzonych kobiet, bo w końcu ją także porzucił! Mało brakowało, a byłabym wykręciła numer jej telefonu, który znałam już na pamięć, ale coś mnie powstrzymywało. Po co miałam się z nią porozumiewać, skoro nic już nas nie łączyło? Moje uczucia wobec niej wynikały z namiętności do Roberta, a kiedy ta wygasła, również Helena przestała mnie obchodzić. Po prostu już się nie liczyła.

Dwa dni później odwiedziłam w szpitalu Rachel Pearson, która miała być właśnie wypisana z oddziału psychiatrycznego. Załatwiłam to za pośrednictwem policji, choć ta okazała się niezbyt pomocna. Zaproponowali mi ochronę dla ofiar przestępstwa, ale się nie zgodziłam, miałam bowiem pewność, że ten upiór przestanie mnie prześladować dopiero po rozmowie z Rachel. Policjanci uważali to za bezcelowe i niechętnie udzielali mi informacji o szpitalu, w którym przebywała, i o formalnościach, jakich muszę dopełnić, aby uzyskać prawo wstępu. W końcu zadzwoniłam bezpośrednio do szpitala i skontaktowałam się z prowadzącym ją psychiatrą. Mówił ze śpiewnym, hinduskim akcentem, ale okazał się życzliwy i uczynny. Uznał, że rozmowa ze mną może przyczynić się do rehabilitacji pacjentki i sam potem oddzwonił, informując mnie, że Rachel zgodziła się na rozmowę.

Nie uprzedzałam nikogo, dokąd się wybieram. Po drodze do szpitala, który leżał przy obwodnicy na przedmieściach Basingstoke, zatrzymałam się przy pasażu handlowym i kupiłam w kwiaciarni bukiet białych i liliowych lewkonii. Ich ciężki zapach szybko wypełnił samochód. Wyglądały, jakby zerwano je w bezpretensjonalnym, wiejskim ogródku.

Do szpitala trafiłam łatwo, ale na parkingu dla odwiedzających siedziałam jakiś czas w samochodzie; po prostu się bałam. Dobrze, że zabrałam ze sobą Pilgrima, bo ilekroć zamknęłam oczy, widziałam przed sobą twarz Rachel wykrzywioną nienawiścią. Nie byłam pewna, czy nie popełniłam błędu, decydując się na tę rozmowę i czy byłam rzeczywiście gotowa do tej konfrontacji. W końcu jednak wyszłam z wozu, zamknęłam go i poszłam śmiałym krokiem w stronę bramy

szpitala.

Budynek pochodził z czasów króla Edwarda, ale do jego wymyślnej konstrukcji dobudowano wiele skrzydeł i aneksów. Przedstawiłam się w recepcji, gdzie skierowano mnie do poczekalni; stały tam plastikowe i metalowe foteliki, a na stolikach leżały stare czasopisma. Siedziałam tam sama, aż wreszcie rozległy się kroki i do sali wszedł młody Azjata, ubrany w zwykłe, codzienne ubranie i tenisówki. Przedstawił się jako psychiatra prowadzący Rachel. Uprzejmie uścisnął mi rękę i wyjaśnił, że nienormalne zachowanie Rachel było wynikiem załamania psychicznego. Zapewnił, że nie powinno się więcej powtórzyć, ponieważ pacjentka przeszła wszystkie stadia rekonwalescencji i wykazała skruchę z powodu swojego czynu. Miała podobno tremę przed spotkaniem ze mną, ale doktor Rajaphur uważał, podobnie jak ja, że przyniesie ono obopólne korzyści. Zaoferował się zaprowadzić mnie do niej i umożliwić nam rozmowę w cztery oczy, ale drzwi miały pozostać otwarte, a personel medyczny obecny w zasięgu głosu. „Nie ma pani powodu do obaw” powtórzył kilka razy, co tylko bardziej mnie zdenerwowało.

Przeszliśmy razem przez ciąg drzwi zamykanych na zamki szyfrowe, a potem wjechaliśmy windą na drugie piętro. Na korytarzu panowała dziwnie spokojna i senna atmosfera – czyżby wszystkim pacjentom podawano środki uspokajające? Doktor wprowadził mnie do małego pokoiku przemyślnie wykrojonego z większego pomieszczenia. Ściankę działową wieńczył ozdobny gzyms, a potężny grzejnik pracował całą parą, choć dzień był ciepły. Zapach lewkonii w tym zaduchu działał obezwładniająco i przyprawiał mnie o zawroty głowy. Ścianka działowa przedzielała także na dwie połowy okno, zasłonięte żaluzjami, przez co widok na parking był pocięty na paski i jakby nierzeczywisty. Pogłębiało to wrażenie izolacji od zewnętrznego świata. W pokoiku stały dwa fotele, a pomiędzy nimi stolik do kawy. Na ścianie wisały dwa obrazki przedstawiające żaglowce tnące fale morskie.

Doktor Rajaphur zostawił mnie na chwilę samą, po czym wrócił w towarzystwie kogoś, z kim rozmawiał ścisłym głosem. Była to Rachel, która teraz wydawała się drobniejsza, bardziej

krucha i starsza. Spojrzałyśmy na siebie i ona gwałtownym ruchem sięgnęła po moją rękę, ściskając ją w swoich dłoniach. Przemówiła głosem cichym i zdyszany:

– Co mogę powiedzieć? Tylko to, że bardzo żałuję tego, co zrobiłam.

– Dobrze już, wszystko w porządku – uspokoila ją. – Muszę jednak przyznać, że przestraszyła mnie pani śmiertelnie.

Uśmiechnęłam się, a ona nieśmiało odwzajemniła uśmiech. Skórę miała bladą i suchą jak papier, pociętą drobnymi zmarszczkami. Wyglądała na więcej niż pięćdziesiąt lat. Cienkie, ciemne, zwisające w strąkach włosy podbarwiła brzydką, miedzianorudą płukanką. Tylko oczy miała piękne, koloru fiołkowego, ale teraz przepelniał je smutek. Próbowałam wyobrazić sobie Roberta przygniatającego ją swoim potężnym cielskiem!

– Czy pani jeszcze czasem o nim myśli? – spytała Rachel.

– Owszem, ale niezbyt pochlebnie. Chciałaby pani o nim porozmawiać?

– Nie mam nic przeciwko temu. Po tak długiej kuracji tutaj mogę już o tym mówić spokojnie. A co pani chciałaby wiedzieć? Owszem, kochałam go, odkąd podjęłam pracę w jego firmie. Był dla mnie ideałem mężczyzny. Po moim rozwodzie, którego w pewnym stopniu był przyczyną, chociaż wtedy temu zaprzeczałam, zaczął mi okazywać jakby więcej czułości. Spałam z nim może ze trzy razy. Pogodziłam się z faktem, że jest żonaty i dzieciaty, ale nie mogłam znieść myśli, że kręci się wokół niego tyle innych kobiet. Nieraz podsłuchiwałam jego rozmowy telefoniczne lub widziałam, jak wracał rozgrzany po randce. Musiałam także odbierać telefony od tych kobiet i nadawać jego listy do nich. Ach, jak on lubił pisać listy! Pani najbardziej nienawidziłam, bo wiedziałam, że jest pani młoda i podejrzewałam, że ma pani większy wpływ na niego niż inne. Wybierał się już na emeryturę, więc czułam, że go stracę, jeżeli nie zostanę z nim jako jego kochanka. Pani jednak rozwiła moje nadzieje, nienawidziłam pani tym bardziej, odkąd zobaczyłam pani zdjęcie. Pamięta je pani? Zrobiono je na plaży, ma pani na sobie jego sweter i podwinięte džinsy, a długie blond włosy opadają pani na twarz...

– To nie moje! – zaprotestowałam. – Nigdy nie miałam takiego zdjęcia ani nie byłam z nim na plaży.

– Ja w każdym razie myślałam, że to pani. Dowiedziałam się, gdzie pani pracuje i gdzie mieszka, bo podejrzewałam, że przez cały czas jesteście razem. Dzwoniłam do pani tylko po to, aby usłyszeć pani głos, a w weekendy objeżdżałam pani domek w kółko, nawet po kilka razy. Czasem mijałam panią na polnej drodze. Siedziałam w tym samym barze, gdzie jadła pani lunch z innym przyjacielem, i byłam w tej samej przymierzalni w Bath, gdzie mierzyła pani sukienkę. Kiedy zobaczyłam pani duży biust i seksowną figurę, złękłam się, że jeśli porówna mnie z panią w łóżku, to już więcej na mnie nie spojrzy. Nieraz przecież śmiał się, że moje piersi przypominają bąble po ukąszeniach pszczoły i nazywał mnie chudzielcem. Do tego jeszcze ciężko przechodziłam menopauzę, a on ostatecznie mnie pogrążył, kiedy oświadczył, że wraca do Mary. Nie uwierzyłam mu, sądziłam, że to wybieg, a w rzeczywistości chce gdzieś wyskoczyć z panią. Wtedy porozumiałam się z Heleną, która postanowiła panią zamordować. Chciała posłużyć się mną i kazała mi wziąć nóż do chleba, ale wzięłam tylko atrapę, bo nie mogłabym naprawdę nikogo zabić!

Zrobiłam wielkie oczy. A więc Helena maczała w tym palce?

– Coś podobnego! A Robert przysięgał, że ona nie ma z tym nic wspólnego. Czy powiedziała pani o tym policji?

– Oczywiście. Podobno próbowali odszukać Helenę, ale ona w tym czasie przebywała za granicą. Nie przypuszczam, aby uwierzyli, że zrobiłam to za jej namową. Chyba nie sądzili, aby to miało jakieś znaczenie.

Dla mnie jednak miało jak najbardziej! Przecież to mnie chciała zabić. Dlaczego policja nie zainteresowała się tą wskazówką? Czy to nie czyniło Heleny współnikiem przestępstwa?

– Nie przypuszczam – wyznała Rachel. – Przecież nie poleciła mi wprost, abym panią zamordowała. To ja się jej zwierzyłam, że pewnie do pani chciał wrócić, a nie do Mary. Helena tak sobie, luźno rzuciła: „Ja bym na twoim miejscu ją załatwiła. Na co czekasz? Zaciukaj dziwkę nożem od chleba, a wyrządź nam obydwóm przysługę!”.

– No nie! Nie mogę w to uwierzyć! Przepraszam panią, ale czy ona nie zdawała sobie sprawy z pani stanu psychicznego? Nie przypuszczała, że może to pani potraktować dosłownie?

– Nie wiem, bo rozmawiałam z nią tylko dwa razy. Radziła, żebym próbowała dopaść panią w niedzielę rano, bo wtedy pani będzie jeszcze w łóżku... żeby wśliznąć się do środka, kiedy pani będzie wypuszczać psa... Zapewniała, że wtedy panią zaskoczę.

– Zaraz, zaraz... Skąd ona tyle o mnie wiedziała? Że mam psa i że długo śpię w niedzielę rano?

Rachel spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Ona wiedziała o pani na długo przedtem, nim rozmawiała ze mną. Myślę, że już od dawna panią śledziła.

Zrobiło mi się słabo. A więc przez cały czas, kiedy Robert mnie zapewniał, że Helena niczego nie podejrzewa, moje życie wisiało na włosku? Najwyraźniej bardzo mało znał swoje kobiety. Ukryłam twarz w dłoniach.

– Nie mogę tego słuchać, to okropne! Jak dowiedziała się o moim istnieniu i kiedy?

– Myślę, że niedawno. Wyjechała wtedy gdzieś z Robertem i podpatrzyła, że ciągle wysyłał do pani pocztówki. Po powrocie zawzięła się, że panią odnajdzie. Teraz jednak nie musi pani się jej obawiać. Odkąd z Robertem nie jesteście już razem, przestała ją pani interesować. Zresztą zawsze uważała, że odgrywa pani raczej podrzędną rolę.

– Ja podrzędną rolę? – Teraz dopiero poczułam się obrażona.

– Tak, nie uważała pani za poważną konkurentkę, raczej za przelotną miłostkę. Sądziła, że łatwo się pani pozbędzie. Zwróciłam jej uwagę, że wiek działa na pani korzyść, że Robert przy pani czuje się młodszy, że potrafi pani go rozśmieszyć... Przecież widziałam, w jakim był nastroju, kiedy od pani wracał!

Wiedziałam, że to głupie, ale Rachel sprawiła mi tym przyjemność. Cieszyłam się też, że dała Helenie trochę do myślenia.

– Śledziłam panią od jakiegoś czasu – przyznała się Rachel. – Próbowałam już przedtem dostać się do pani domu, ale zawsze była tam ta kobieta...

– Jaka kobieta?

– Ta, która z panią mieszka. Niska brunetka około

czterdziestki. Dwa razy widziałam ja w ogrodzie, więc musiałam jechać dalej, jakby nigdy nic. Raz po prostu stanęła w otwartych drzwiach, ale nigdy się nie odzywała.

Czyżby to była Loops?

– Jest pani pewna, że nie była wysoka i cudownie piękna?

– Skąd, wyglądała dosyć pospolicie. Miała na sobie długą suknię i fartuch.

I wtedy mnie olśniło. To musiała być Alicja!

Pielęgniarka przyniosła nam herbatę w grubych, ciężkich kubkach. Przy herbacie zagadnęłam Rachel:

– Czy pani go jeszcze wciąż kocha? I jak to właściwie z nim jest? Jak mógł zrobić coś takiego nam wszystkim? Pani i mnie, i Helenie?

– Tak mnie tu faszerują psychotropami, że już nic nie czuję. – Rachel się zamyśliła. – Właściwie dopiero świadomość tego, co uczyniłam, przywróciła mi zdrowy rozsądek. Myślę, że zawsze będę go kochać, ale nie pozwolę więcej temu uczuciu zawładnąć sobą. Muszę pogodzić się z faktem, że to była tylko przelotna miłostka.

Na razie Rachel nie przejawiała zainteresowania ani mną, ani moim związkiem z Robertem. Doszłam więc do wniosku, że miłość czyni każdego egocentrykiem.

– Czy mogę opowiedzieć pani, jak to wyglądało z mojego punktu widzenia? – zaproponowałam. – Robert od początku zapowiedział mi jasno, że mnie nie kocha. Nie jestem nawet pewna, czy jest zdolny do miłości, bo chyba za bardzo lubi wygodę. Myśli pani, że przez którąś z nas mógłby nie spać w nocy? Osobiście w to wątpię. Im mocniej jednak się w to angażowałam, tym więcej od niego żądałam. Wtedy dowiedziałam się o Helenie i wyszłam z siebie, bo nie chciałam dzielić go z nikim, a ona zdawała się mieć przewagę. Nie wiedziałam, że żył również z panią, bo nie uważał za stosowne mnie o tym poinformować. Po prostu odpowiednio nas zaszufladkował. Szukał kobiet, które miały niezaspokojone potrzeby i świadczył im swoje usługi. To pomagało mu zachować dobre samopoczucie. Biedna Helena rozstała się z mężem? Biedna Rachel wyszła za drania? Biedna Harriet dobiegała trzydziestki i wciąż była bez chłopa? W końcu sama zaczęłam powoli kapować, że ten związek

kosztuje mnie o wiele więcej niż jego, a uważałam, że zasługuję na coś lepszego niż kochanek z doskoku. Kiedy więc powiedział mi, że chce ze mną zerwać, miałam mieszane uczucia. Od początku nie zawsze panowała między nami sielanka, ale sądziłam, że z Heleną układa mu się lepiej. Pod koniec jej nienawidziłam mocniej, niż jego kochałam.

– Z nią też nie układało mu się najlepiej. – Rachel była dobrze poinformowana. – Często się kłócili, bo ona chciała organizować życie dla obojga. Potrzebowała go właściwie jako obstawy, aby mieć się z kim pokazać, a tego znów on nie mógł ryzykować. Myśmy z Heleną sądziły, że pani jest w korzystniejszej sytuacji. Przede wszystkim z powodu wieku – Robert zawsze lubił robić złośliwe przycinki i nieraz wytykał Helenie, że kiedyś była ładniejsza. A ja byłam tak głupia i ślepa, że wierzyłam, iż uda mi się go zatrzymać. Gdybym była wierna, lojalna i przystępna, wtedy na małą skalę mógłby mnie potrzebować w tych dniach, kiedy przebywał w Londynie...

Wyglądała, jakby za chwilę miała się rozpląkać. Pocierała usta niespokojnymi palcami, a ja zaczęłam nerwowo się rozglądać. Miałam nadzieję, że ktoś czuwa w pobliżu, na wypadek, gdyby znowu coś jej odbiło. Nie zniosłabym po raz drugi takiej samej sceny.

– Przecież on nie był dla nas taki najgorszy – próbowałam łagodzić. – Mnie podobno przesłał czek, chociaż nigdy go nie otrzymałam. Pewnie musiał wspólnie z Mary zdecydować, na jaką ma opiewać sumę. Panią chyba też spłacił i wydaje mu się, że postąpił cholernie szlachetnie. W gruncie rzeczy przez cały czas był z nami szczerzy, bo uważał, że znałyśmy reguły gry.

– Rzeczywiście, a myśmy były głupie, że godziłyśmy się na te warunki. Chociaż, jeśli mam być szczerą, poszłabym z nim na każdych warunkach.

– Proszę więc opowiedzieć mi o Helenie. Poświęcałam jej tyle swoich myśli, że chciałabym wiedzieć, jaka jest.

Rachel musiała się trochę zastanowić nad odpowiedzią.

– No, ma około pięćdziesiątki, ale jest elegancka i zadbana. I chyba silna, bo zawsze umiała przeforsować to, czego chce.

– Pewnie jest piękna?

– A skąd! Zupełnie jak siekiera. Wystający podbródek, ostry

nos i ostre zęby!

Obie parsknęłyśmy śmiechem.

– Pani jest dużo ładniejsza – orzekła Rachel, za co od razu ją pokochałam. Powiedziała to, co chciałam usłyszeć, nieważne, czy była to prawda, czy nie.

– Proszę, to dla pani! – Wręczyłam jej kwiaty. – Chciałabym życzyć pani wszystkiego najlepszego i zapewniam, że puściłam już wszystko w niepamięć. Tylko jeden warunek: musimy dać sobie słowo, że cokolwiek on powie lub zrobi – nie ma powrotu do przeszłości.

Rachel przeszła mnie przenikliwym wzrokiem.

– A co, myśli pani, że będzie jeszcze próbował nawiązać ze mną kontakt? Powiedział to pani?

IW jej głosie zabrzmiała nuta nadziei. Cokolwiek bym powiedziała i tak nie miało to już znaczenia. Widać było, że przypadek jest raczej beznadziejny. Wzruszyłam więc tylko ramionami, mruknęłam coś niezobowiązującego i wstałam, aby odejść.

A więc to ty, Alicjo, mnie strzegłaś! rozmyślałam w drodze powrotnej do domu. Nie próbowałam nawet znaleźć innego logicznego wyjaśnienia dla tajemniczej kobiety, którą widziała Rachel. Byłam tego tak pewna, że gdy weszłam w progi farmy „Jeruzalem” i stanęłam w mojej słonecznej kuchni, wyrzekłam na głos: „Dziękuję ci, Alicjo, za to, że nade mną czuwałaś”. Ściany starego domu trzeszczały, jak to zwykle bywa, gdy rozsychają się belki, ale brzmiało to, jakby ktoś chodził po pokojach na piętrze. Wiedziałam, że Alicja czeka na mnie u szczytu schodów, aby wyrazić radość z mojego powrotu.

Niedawno znalazłam na przykościelnym cmentarzu grób Alicji. Spoczywa tam wraz z mężem i trójką dzieci. Na płycie nagrobkowej wypisano nazwisko jej męża, a ona figuruje tam jako „...także jego żona, Alicja, lat 33”. Położyłam rękę na starym kamieniu pokrytym plamami żółtego porostu. Wokół panowała cisza, przerywana tylko krakaniem gawronów i beczeniem owiec, takim samym, jak przez wszystkie minione lata. Sam grób zamienił się w wokragły kopczyk trawy, po którym mogła przejeżdżać kosiarka.

Stanowczo Alicja była czymś więcej niż „także żoną”. Jej

odwaga i siła utrzymywały całą rodzinę. Sześć razy rodziła w bólach, aż chałupa się trzęsła od jej jęków; w tym czasie starsze dzieci wysyłano na podwórze. Te dzieci pielęgnowała, karmiła, odziewała, czuwała przy śmiertelnym łożu męża, nie spodziewając się już dla siebie lepszej przyszłości. Zamiatła te same pokoje, w których teraz mieszkam, myła podłogi, przekopywała ogród i złościła się, kiedy ogień pod kuchnią nie chciał chwycić ciągu. Opadała z sił, kiedy ostatniej zimy musiała dzielić się chlebem z dziećmi, a nocami wstrząsał nią kaszel. Nic dziwnego, że jej duch nie może zaznać spokoju i wciąż nawiedza ten dom.

Przykro było wspominać, jak to się skończyło. Z wioski przyjechał wóz po jej skromny dobytek i płaczące dzieci. Najmłodsza, trzyletnia zaledwie Lucy, nie mogła zrozumieć, dlaczego matka nagle je opuściła i leży teraz zimna i sztywna w sypialni. Wozak załadował rzeczy i dzieci, aby je odwieźć do przytułku w Shaftesbury tymi samymi drogami, po których ja teraz spacerowałam z Pilgrimem. Alicja odeszła, aby błąkać się niespokojnie po farmie „Jeruzalem”.

Moje rozmyślania zakłóciły dzieci z wiejskiej szkoły, których hałaśliwa gromada wysypała się na Cowpath Lane. Wyprzedziły swoje kolorowo ubrane, młode matki i na wyścigi pobiegły do sklepu po słodycze.

Ned tymczasem kupił w sklepie gazetę i czekał na mnie przy bramie kościoła. U jego nóg dyszała Fly, a Pilgrim stał i niespokojnie spoglądał w moim kierunku. Nie było rady, musiałam już iść.

– Alicjo, już pora, abyś odpoczęła – powiedziałam głośno, kładąc na grobie bukietek lawendy i rozmarynu. Lawenda rośnie przy tylnym wejściu do mojego domu, a rozmaryn to symbol pamięci.

Ned wyszedł *mi* na spotkanie do cmentarnej bramy i czekał z psem przy nodze.

– Ostatnia posługa? – spytał, otwierając przede mną bramę.

– Tak.

Byłam mu wdzięczna, że rozumie, jakie uczucia żywię względem Alicji i nie uważa tego za niemądrą zachciankę. Otoczył mnie ramieniem i przeszliśmy polną drogą prowadzącą na moją farmę. Pilgrim trącał nosem moją rękę, a ja miętosiłam

pieszczotliwie jego aksamitne ucho.

– Helena też należy już do przeszłości i Bóg z nią – dodałam.
Ned przytaknął bez słów, ściskając mnie za ramię.

Było to doprawdy urocze popołudnie. Słońce sączyło wiązki złocistego światła pomiędzy drzewami, a na ścieżce kłębiły się pienne, kremowe kwiatki krwawnika. Za ostatnim zakrętem serpentyny prowadzącej wokół pagórka leżała w załomie terenu farma „Jeruzalem”. Lubiałam tak zbliżać się piechotą i patrzeć, jak domek powoli wyłania się zza horyzontu, jakby na nas czekał. Spuściłam Pilgrima ze smyczy, pobiegł więc naprzód, ścigając się z Fly.

– On wie, jak trafić do domu – mruknął Ned, a ja nie spodziewałam się, że te słowa sprawią mi taką przyjemność. Dom Pilgrima, mój dom. Oboje przeszliśmy długą drogę, ale w końcu znaleźliśmy nasz dom.